MOC CZYTANIA | Co dalej na Bliskim Wschodzie ■ Koniec z pracą zdalną
Kościół zapłaci skrzywdzonym ■ Grynberg: spokój po zawale ■ Dom jak pejzaż

Kraków 22 – 28 października 2025 nr 43 (3981) cena 16 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

7 powodów, dla których namiętnie oglądaliśmy Konkurs Chopinowski

STRONY 28–31

TygodnikPowszechny.pl
Katolickie pismo społeczno-kulturalne



EKSTRA 16 STRON
TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl a2e572a013

REKLAMA

28. Międzynarodowe

TARGI KSIĄŻKI®

w Krakowie



23-26 października 2025

EXPO Kraków ul. Galicyjska 9

BILETY

Nie jestem maszyną Jestem człowiekiem

Władysław Reymont

Targi w Krakowie

EXPO KRAKOW

ksiazka.krakow.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Nie bójcie się seniorów*

Marek Rabij, pisząc w tym numerze o miejscu seniorów w sferze publicznej, zauważa, że już co czwarta osoba w naszym społeczeństwie ma ponad 60 lat. A ja nie mogę się oprzeć pokusie napisania o tych, którzy mają ponad 90. Nie sprawdzam, ilu nas takich jest, ale jesteśmy – i to liczniejsi niż kiedyś. Oczywiście, w tym wieku to i owo już lekko (lub ciężko) nawala, ale tego, co jeszcze wcale nieźle funkcjonuje, jest sporo i należy się w tej (nowej) sytuacji odnaleźć.

Na przykład spacery: muszą być znacznie skrócone, ale są. Albo słyszenie, zwłaszcza jeśli równocześnie mówi kilka osób, a jeśli mówią za głośno bądź za cicho, za cholerę nie da się zrozumieć, co mówią. I oczywiście nawala też pamięć, zwłaszcza jeśli miało się nawet niewielki kłopot z mózgiem. O, pamięć płata niezwykłe figle. Coś zostaje w niej nietknięte, coś kompletnie znika, ale też, o dziwo, coś z utraconych już wspomnień powraca. Niby jesteśmy tacy jak wszyscy, ale jednak inaczej, w sposób trudny do wyjaśnienia. Dlaczego jedno znika, a coś innego zostaje?... Nie wiadomo. W każdym razie jednak udawanie, że się pamięta coś, co się kompletnie z pamięci wymazało, zawsze jest ryzykowne.

To oczywiście są sprawy zewnętrzne i choć bywają kłopotliwe, to jednak są mniej niebezpieczne niż zmiany, jakie zachodzą w myśleniu. Oczywiście, staramy się zbytnio nie różnić od otoczenia, być jak inni, ale w wieku lat ponad dziewięćdziesięciu niewątpliwie coś się w głowie przestawia i – przynajmniej ja tak mam – na świat patrzy się inaczej.

Duży wpływ ma na to niewątpliwie świadomość rychłego końca. Po prostu człowiek w całkiem nowy sposób zdaje sobie z tego sprawę. Również z tego, że Bóg, niebo, zbawienie czy wprost – istnienie po śmierci, są zupełnie inne niż to, z czym przez całe życie w myślach eksperymentowaliśmy. Że samo słowo „istnienie” tylko w jakiejś mierze znaczy to, co znaczy dla nas w tym życiu. Że to wielka niewiadoma. Kiedy życie przeciąga się ponad średnią, pytania eschatologiczne nękają mnie uporczywie i z trudem sobie z nimi radzę – albo i nie radzę. Oczywiście, można powiedzieć „zobaczymy”, lecz dla człowieka, który przeżył cały ten ciąg lat z wiarą, kiepska to pociecha, a pytania nachodzą i spać nie dają.

Starość jest trudna, bo tracimy rozmaite sfery naszej aktywności. Gdy były w naszym życiu obecne, nawet nam przez głowę nie przeszła myśl, że kiedyś może ich zabraknąć. Zwykle wtedy czujemy się bezradni, skazani, odarci z części składowej nas samych i potrzeba sporo czasu, by się tego nowego sposobu istnienia nauczyć, żeby żyć normalnie, choć inaczej niż do tej pory. Że to trudne, można się przekonać, patrząc na ludzi, którzy się z tym nie mogli pogodzić i woleli przestać istnieć, niż istnieć w taki sposób.

Czy Polska do seniorów dojrzeje? Może z konieczności, czyli wskutek niedoboru młodszych, trochę się zmieni. Lecz nie sądzę, żeby zmiana nastąpiła szybko, przynajmniej w stosunku do starców. Dlatego chwała wszystkim, którzy starców się nie boją, nie skreślają ich za życia jak zmarłych, nie skazują na samotność i bycie niepotrzebnym. Którzy umieją słuchać starców, nawet jeśli ci nie zawsze mają rację.

Seniorom zaś zalecam cierpliwość, pogodzenie się z faktem, że są seniorami. Z oczekiwaniami innymi niż wtedy, kiedy byli młodzi. I z tym, że pole ich działania jest mniejsze niż kiedyś. Ale może jednak nie tak całkiem małe: bo bywa przecież, że starcy jednak rację mają. ©℗



GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP KOLEJNY NUMER „TYGODNIKA”: SPECJALNIE NA DNI ZADUSZNE:

ANNA GOC:
Zmarli, a wciąż bliscy. Reportaż o utracie, pamięci i relacjach z tymi, których już nie ma — od ludowych wierzeń po symulacje AI.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
„W ponad 20 punktach zaplanował swoje odchodzenie i niebycie”. Do czego przydaje się testament życia i co nam dają rytuały pożegnania.

MAREK KITA:
Co o życiu wiecznym mówi współczesna teologia? Jak się to ma do wyobrażeń, do których przyzwyczaili nas księża i katecheci?

Stanisław Przybyszewski okropnie złościł się na wszystkich, którzy muzykę Fryderyka Chopina uważali za „rozgrymaszoną” czy zupełnie nie po męsku „rozbeczaną”. Znając co nieco temperament kontrowersyjnego młodopolskiego pisarza, próbuję wyobrazić sobie jego opinie na temat gry uczestników tegorocznego **KONKURSU CHOPINOWSKIEGO**. Ciekawe, co powiedziałby o mazurkach Erica Guo, sonatach Vincenta Onga czy polonezach Piotra Alexewicza. Sam Przybyszewski na fortepianie grał tak sobie. Świadom braku umiejętności i warsztatowych błędów (nazywał siebie co najwyżej natchnionym dyletantem) – grywał Chopina znajomym artystom w Berlinie, nadrabiając niedociągnięcia ogromnym entuzjazmem.

Dziś, gdy emocje związane z finałem Konkursu jeszcze nie opadły, warto przypomnieć, że już dobre sto lat temu Przybyszewski był przekonany, że jest świadkiem najprawdziwszego szału na Chopina. „Nigdy tak silnie i tak gorąco nie żył Szopen, jak teraz żyje” – pisał w jednym z esejów. Jak wyglądał ten szał w początkach minionego wieku? Objawiał się, co ciekawe, nawet w języku. „Szopenizować stało się u Niemców przysłowiem” – donosił Przybyszewski. „Jeżeli ktoś użył jakiejś dziwacznej, zbyt śmiałej metafory, jeżeli dowolnie przekształcał język, a raczej wydobywał z niego nieznane dotąd walory, nazywało się, że szopenizuje język. Ktoś popełnił niebywałą ekstrawagancję, było to szopenizowaniem życia”. Młodzieżowe słowo roku 1910.

W muzyce Chopina widział skądinąd Przybyszewski nasz jedyny towar eksportowy. Uważał ją za jedyny wytwór naszej romantycznej kultury, który jest wystarczająco komunikatywny, zrozumiały dla Europejczyków. Nie żaden tam Mickiewicz ani Słowacki, to mazurki i polonezy pozwolą światu pojąć polską duszę, przekonywał. I chyba miał sporo racji.



Dziś mamy oczywiście także wielu innych artystów, którzy są w stanie skomunikować nas ze światem, ale jest w Konkursie Chopinowskim coś, co wzbudza nieporównywalne z niczym emocje. **DARIUSZ KOSIŃSKI** znalazł siedem powodów, dla których namiętnie (Przybyszewski powiedziałby: „dziko”) oglądaliśmy w telewizji i internecie Konkurs Chopinowski, na bieżąco komentując występy pianistek i pianistów. Jestem ciekawa, czy odnajdą się Państwo w jego rozpoznaniach. ©℗

MONIKA OCHĘDOWSKA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i kierowniczka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.



60 Zadośćuczynienie po polsku
PAULINA GUZIK:
Watykańska komisja ochrony nieletnich mówi jasno o konieczności reparacji dla skrzywdzonych. Czy polscy biskupi jej posłuchają?



78 Skaczę po dwa schody
MIKOŁAJ GRYNBERG, PISARZ:
Przez pół roku po wyjściu ze szpitala zajmowałem się wyłącznie dbaniem o swoją formę. Mówiłem do żony: „Idę na rower!”, i szedłem jeździć. To było i jest euforyzujące.



94 Misja mieszkanie
JOANNA JURGA, PROJEKTANTKA:
Jak urządzić wnętrze? Warto odwoływać się do zieleni iglastych lasów i bezu piasku bałtyckich plaż.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MAREK MALISZEWSKI / REPORTER // MICHAŁ BOROWCZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL // ALEKSANDRA ZABOROWSKA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Chiny przykręcają śrubę
MARIA WIŚNIEWSKA

7-11 Komentarze i wydarzenia

■ ■ KRAJ

18 Zdalni do wszystkiego
MAREK RABIJ:
Czy to już koniec pracy zdalnej?

21 Nie chcemy cię, Moskwo
MATEUSZ PEROWICZ *o tym, jak zderusyfikowaliśmy większość aspektów naszego życia*

23 W zamku Gargamela
ROZMOWA Z EKONOMISTKĄ ANNĄ GOŁĘBICKĄ:
Bywa, że w szpitalu lekarz ma część etatu tylko po to, by móc podleczyć pacjentów ze swojego prywatnego gabinetu. Co za tym stoi? Pieniądze?

■ ■ OPINIE

28 Chopin w każdym domu
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Dlaczego Konkurs Chopinowski stał się dla nas tak ważnym wydarzeniem?

■ ■ ŚWIAT

50 Pogrom w Torre Pacheco
AGNIESZKA ZIELIŃSKA *o hiszpańskim miasteczku, w którym strach, fake newsy i polityczne manipulacje przeradzają się w polowanie na ludzi*

54 Traumaland po węgiersku
DOMINIK HÉJJ:
Strategia Viktora Orbána generuje coraz większe napięcia z otoczeniem. Ostatnio z Ukrainą i Unią Europejską

56 Zerwane połączenie
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
Relacje francusko-algierskie już dawno nie były tak napięte. Zakładnikami tej „zimnej wojny" są znani pisarze

■ ■ WIARA

60 Zadośćuczynienie po polsku
PAULINA GUZIK

TEMAT TYGODNIKA

12
Bilans dwuletni
MAREK MATUSIAK

Trump ogłosił „świt nowego Bliskiego Wschodu". Są jednak powody, by sądzić, że ustępstwo Izraela w sprawie rozejmu w Gazie jest taktyczne. Mimo to spróbujmy pokazać, jak Bliski Wschód zmienił się przez minione dwa lata. I zapytać, co dalej.



DAWOUD ABU ALKAS / REUTERS / FORUM

■ ■ STRONY SPECJALNE ■ ■

33 TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU
90 NOWA WYSTAWA NA WAWELU

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA
59 ELIZA KĄCKA
92 PAWEŁ BRAVO
98 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

64 Busola czy kotwica
PAWEŁ RAKOWSKI:
Katechizm Kościoła Katolickiego nie jest nieomylny

66 Gdy Duch Święty był kobietą
ANNA BRZEZIŃSKA *o tym, że idea kapłaństwa kobiet znana była już w średniowieczu*

69 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

70 Dziewczyna z jadeitu
ALEKSANDER R. MICHALAK:
Nie tylko Polska próbuje odzyskać „sztukę utraconą" – robią to też Chiny

■ ■ NAUKA

74 Skąd się wzięły małpy
ŁUKASZ KWIATEK:
Wiele rzeczy musiało się stać na świecie, zanim mogły narodzić się małpy, z których wyewoluował człowiek

■ ■ KULTURA

78 Skaczę po dwa schody
ROZMOWA Z PISARZEM MIKOŁAJEM GRYNBERGIEM

82 Hej, Flo
DAWID IWANIEC *zapowiada nową płytę Florence and the Machine*

84 Kombinat sztuki
DOROTA KOZIŃSKA:
Czy Teatr Wielki – Opera Narodowa odrodzi się za sprawą zmian wprowadzanych przez nowego dyrektora?

87 Polecamy nowe książki o sztuce i dizajnie

88 Wyznania szpiega
ANITA PIOTROWSKA *o dokumencie Tomasza Wolskiego „Wielki Szef"*

89 Uwiedzenie
LEKTOR *o biografii Józefa Czapskiego autorstwa Erica Karpelesa*

■ ■ ZMYSŁY

94 Misja mieszkanie
ROZMOWA Z PROJEKTANTKĄ JOANNĄ JURGĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
SPRAWDŹ AKTUALNĄ JESIENNĄ OFERTĘ NA STRONIE 46

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA



CHINY PRZYKRĘCAJĄ ŚRUBĘ

Pekin po raz pierwszy sięga po eksterytorialne restrykcje eksportowe, uderzając tym w fundament zachodniej gospodarki. Stawką jest nie tylko kolejna runda konfliktu handlowego Chiny–USA, lecz przyszłość Zachodu. Technologiczna i militarna.

MARIA WIŚNIEWSKA

Chiny od lat wykorzystują swoją dominującą pozycję w wydobyciu i przetwarzaniu metali ziem rzadkich oraz w produkcji magnesów – kluczowych „składników" nowoczesnej gospodarki. Teraz jednak Pekin sięga po nowe narzędzie nacisku.

Ograniczenia eksportowe, ogłoszone 9 października przez chińskie ministerstwo handlu, obejmują nie tylko surowce i technologie do ich wytwarzania. Wprowadzono też wymóg uzyskania zgody chińskich władz na eksport produktów wytworzonych przy ich użyciu. Dla przykładu: w teorii kontrole mogą objąć zakup przez polską firmę amerykańskich silników, jeśli tylko zawierają ułamek chińskich minerałów. Kontrole – i ewentualne weto.

Restrykcje sprawiają więc, że światowa gospodarka zdana jest na łaskę Chin, które odpowiadają za 60 proc. wydobycia i 90 proc. przetwarzania pierwiastków ziem rzadkich, używanych dziś do produkcji właściwie wszystkiego – od samochodów elektrycznych, przez drony i myśliwce, po turbiny wiatrowe. Dla Chin to niewielkie wyrzeczenie (metale ziem rzadkich stanowią zaledwie promil ich całkowitego eksportu), ale dla reszty świata – widmo upadku kolejnych gałęzi przemysłu i poważny problem dla ich bezpieczeństwa.

WYMIAR STRATEGICZNY | To nie przypadek, że decyzja o restrykcjach zapadła tuż przed planowanym na koniec października spotkaniem Donalda Trumpa i Xi Jinpinga w Seulu, do którego ma dojść po miesiącach napiętych rozmów między dwiema największymi gospodarkami świata; ich tematem są taryfy celne.

Działania chińskich władz mają pokazać, że to one rozdają karty w negocjacjach. Pekin doskonale wie, że na amerykańskim prezydencie największe wrażenie robi siła – i liczy, że ta eskalacja przyniesie oczekiwane ustępstwa.

POWYŻEJ:
Kopalnia metali ziem rzadkich w Bayan Obo, Chiny

Jeśli strategia okaże się skuteczna, w dogodnym momencie Chiny mogą wycofać się z części restrykcji. I pewnie wreszcie to zrobią.

Jest to jednak także posunięcie o głębszym znaczeniu strategicznym, które wykracza poza bieżące przepychanki handlowe. Po pierwsze, pokazuje, że urzeczywistnia się nowy globalny ład, w którym to Chiny dyktują warunki, a inne kraje występują w roli petenta. Ten najnowszy ruch z pewnością nie będzie ostatnią decyzją, z pomocą której Chiny, dzięki dominacji w metalach ziem rzadkich, wezmą w geopolityczny jasyr kraje, z którymi mają porachunki.

CIOS W OBRONNOŚĆ | Po drugie, władze Państwa Środka będą grały metalami ziem rzadkich, aby wzmocnić swoją pozycję przemysłową i militarną kosztem rozwoju technologicznego reszty świata, a zwłaszcza swojego głównego adwersarza – Ameryki.

W pewnym sensie Pekin próbuje pokonać USA ich własną bronią. Waszyngton – chcąc spowolnić rozwój technologiczny Chin – już wcześniej stosował podobne restrykcje na eksport z USA półprzewodników i maszyn do ich wytwarzania. Teraz chińskie władze wykonują tu ruch: blokując dostęp do własnych metali ziem rzadkich, mogą poważnie zaszkodzić amerykańskim zdolnościom do wytwarzania chipów.

Szczególne powody do zmartwienia ma zachodni przemysł obronny. Pekin uzasadnia swój ruch względami bezpieczeństwa narodowego i pragnieniem zapobiegania rozprzestrzenianiu się w świecie uzbrojenia. Dlatego firmy produkujące broń z zasady nie dostaną od Chin zezwoleń na import surowców. A nawet gdyby chciały spróbować, to – zgodnie z nowymi przepisami licencyjnymi – oznaczałoby to konieczność przekazania przez nie Pekinowi poufnych danych o swoich liniach produkcyjnych czy klientach. Co jest oczywiście wykluczone.

ULGA DLA ROSJI | Można się przy tym spodziewać, że nowe zasady będą stosowane wybiórczo: restrykcje najprawdopodobniej uderzą przede wszystkim w państwa NATO, usiłujące dziś przyspieszyć zbrojenia w obliczu rosyjskiej agresji i coraz śmielszych poczynań Chin w regionie Indo-Pacyfiku. Natomiast Rosja będzie zapewne nadal otrzymywać z Chin komponenty potrzebne do produkcji broni – tak jak dzieje się to dziś, mimo zachodnich sankcji.

Konsekwencje nie ominą też tych sektorów gospodarek, które nie mają wiele wspólnego z obronnością. Choć Pekin zapewnia, że wnioski o eksport do użytku cywilnego będą zatwierdzane, to wydawanie licencji zajmie czas, co dla firm oznacza utrudnione planowanie w produkcji, a dla konsumentów – wzrost kosztów.

Szczególnie duże obawy ma branża motoryzacyjna, która po wcześniejszych przerwach w dostawach chińskich minerałów nie może sobie pozwolić na kolejny przestój. Zwłaszcza że konkuruje z coraz bardziej popularnymi na europejskich drogach samochodami z Chin.

CO MOŻEMY ZROBIĆ? | Optymiści widzą jednak w tej sytuacji także szansę. Ograniczenia mogą wymusić na Zachodzie budowę „demokratycznych łańcuchów dostaw" – alternatywnych wobec chińskich. Złoża pierwiastków ziem rzadkich w istocie nie są tak rzadkie i w dużej koncentracji występują na całym świecie, m.in. w Brazylii, Indiach, Australii i USA.

Problem w tym, że wydobycie i przetwarzanie tych pierwiastków jest bardzo trudne i kosztowne (i to stąd ich nazwa), Chiny zaś przez lata zmonopolizowały technologie ich rafinacji i obróbki. Eksport tych technologii z Chin również będzie podlegać teraz restrykcjom.

Zachód może zatem próbować uniezależnić się od Pekinu, ale zajmie to lata i będzie wymagać ogromnych inwestycji, silnej woli politycznej i jedności, o którą ostatnio coraz trudniej. Jak na razie więc Chiny trzymają w rękach klucz do technologii jutra – i wydaje się, że doskonale wiedzą, jak go użyć. ©

BERT VAN DIJK / GETTY IMAGES



To, co niezmienne

WOJCIECH KONOŃCZUK

Rosyjski dyktator wiedział, co robi. W czwartek 16 października to on zadzwonił do Białego Domu. Efektem rozmowy jest kolejny zwrot Trumpa i zapowiedź jego następnego spotkania z Putinem. Ma się odbyć w Budapeszcie. Pytanie tylko – po co? Rosja nie zmienia podejścia do Ukrainy, za to sięga po nowy zestaw retorycznych chwytów. Ich adresatem jest Trump, który niezmiennie zdaje się wierzyć, że z Putinem jest o czym rozmawiać. Prezydent USA wykazuje zadziwiającą skłonność do przyjmowania jego słów za dobrą monetę. Tymczasem Kreml z trudem skrywa satysfakcję, że drobnymi gestami, okraszonymi pochlebstwami i wizją kontaktów biznesowych, jest w stanie przez kolejne miesiące skutecznie zwodzić Trumpa.

Nie przybliża to końca wojny, za to wzmacnia legitymizację Putina, a zarazem ośmiesza administrację USA.

Dzień po rozmowie Putina z Trumpem doszło do trzeciej w tym roku wizyty Wołodymyra Zełenskiego w Białym Domu. Przebiegła w napiętej atmosferze i nie przyniosła żadnych decyzji. Według doniesień „Financial Times" Trump był wulgarny, sięgał po narrację rosyjską, nalegając, by Kijów zaakceptował warunki Kremla, inaczej „Rosja zniszczy Ukrainę". Odmówił sprzedania pocisków dalekiego zasięgu Tomahawk, czego kilka dni wcześniej nie wykluczał (w ostatnich tygodniach Kijów zaktywizował zabiegi o ich uzyskanie).

Tomahawki są wystrzeliwane wyłącznie z systemów zainstalowanych na okrętach podwodnych i nawodnych, których Ukraina nie posiada. Ale nawet gdyby w przyszłości je otrzymała, nie wpłynie to na przebieg wojny. Ucichły natomiast dyskusje o przekazaniu przez Niemcy pocisków Taurus, co jeszcze w lipcu wykluczył kanclerz Merz.

Wygląda na to, że relacje Trumpa z Ukrainą znów są w impasie. Tymczasem na froncie Rosja stale naciska – choć nic nie wskazuje, by wkrótce mogło dojść do niekorzystnego dla Ukrainy zwrotu. Towarzyszą temu intensywne działania Kremla na froncie dyplomatycznym. Ich cel minimum to powstrzymanie USA przed dozbrojeniem Ukraińców i wprowadzeniem nowych sankcji. Nowy szczyt Putin–Trump odsuwa ten scenariusz. Plan maksimum zakłada zaś, że Trump w końcu zniechęci się Ukrainą i mimo wojny odpowie na zabiegi Rosji o nawiązanie z USA współpracy biznesowej.

Choć obecny świat jest pełen niepewności, jedno pozostaje niezmienne: Rosja będzie dążyć do złamania Ukrainy. Putin rozumie, że bez załatwienia „problemu ukraińskiego" nie może myśleć o osiągnięciu swego kluczowego celu, jakim jest rewizja systemu bezpieczeństwa w Europie na jego warunkach. ©



Sędziowie znowu protestują

MAREK KĘSKRAWIEC

Minister Waldemar Żurek (na zdjęciu) przyspieszył tak mocno, że spora część prawników protestujących w czasach Zbigniewa Ziobry teraz jego bierze na celownik. Nie chodzi nawet o ustawę dotyczącą 3 tys. neosędziów, wedle której legalizacja wejścia do zawodu młodych prawników byłaby automatyczna, natomiast wobec sędziów awansowanych powtórzono by konkursy, nie odbierając im na razie stanowisk – usunięci z zawodu byliby tylko ci, których niekonstytucyjna KRS powołała spoza środowiska sędziów.



FILIP NAUMIENKO / REPORTER

To wersja, jak na Żurka, kompromisowa (samemu ministrowi ostatnio nie przeszkadzał fakt, że w jego własnej sprawie frankowej orzekała – korzystnie – neosędzia), ale i tak nie ma szans na podpis prezydenta. Dobrze jednak, że w ogóle powstała, bo przypomina, że problem upolitycznienia sądów trzeba rozwiązać, zanim zaleją je kosztowne pozwy obywateli.

Szkoda, że w tym samym czasie minister sprawiedliwości uderza w niezależność środowiska, którego sam był częścią, rezygnując z jednej z niewielu dobrych rzeczy, którą zrobił Ziobro, czyli losowania sędziów do spraw. System nazywany pogardliwie ziobrolotkiem, był akurat realizacją postulatu wielu środowisk. Teraz składy wieloosobowe – rzekomo w trosce o to, by nie zasiadali w nich neosędziowie – ustalą według własnych zasad prezesi sądów. Tych zaś właśnie powymieniał Żurek na zaufane osoby, nie czekając do końca kadencji poprzedników – i nie zawsze chodziło o ulubieńców PiS.

Co to ma wspólnego z przywracaniem sprawiedliwości, nie wiedzą kolegia sędziowskie w wielu regionach Polski, bezskutecznie protestujące przeciwko rewolucyjnym posunięciom Żurka, który sam latami sprzeciwiał się manipulacjom władzy wykonawczej. Dziś sam ją reprezentuje i promuje system, na temat którego już pojawiają się zarzuty, że prezesi sądów będą ustalać składy pod sprawę i pod oskarżonego – by go wybronić od kary lub skazać „za niewinność".

To nie tak miało wyglądać. Zemsta jest złym doradcą. ©℗

NA PUNKTY

NAJBLIŻSI
PSL i Lewica przedstawiły wspólnie rządowy projekt w sprawie statusu osoby najbliższej w związku, regulujący m.in. kwestie stosunków majątkowych, prawa do mieszkania i alimentów oraz dostępu do informacji medycznej. Co zrobi prezydent w sprawie i tak dość ostrożnego dokumentu? „Nie zgodzi się, żeby poprzez nowe rozwiązania budować alternatywę dla małżeństwa" – zapowiedział szef jego gabinetu Paweł Szefernaker.

FUTERKA
Nie wiadomo również, co będzie z przegłosowaną przez Sejm ustawą o zakazie hodowli zwierząt na futra. Nawet jednak jeśli Karol Nawrocki złoży pod nią podpis, na wprowadzenie nowych przepisów przewidziano 8-letni okres *vacatio legis*.

ZADOWOLONY
W sumie to o wielu planach rządzących niewiele wiadomo. Jedno się wszakże wyjaśniło: „100 konkretów było na 100 proc. władzy – powiedział Donald Tusk w podkaście pp. Wojewódzkiego i Kędzierskiego. – Dostałem jedną trzecią władzy i jedną trzecią zrealizowałem. Z mojej sytuacji jestem zadowolony". ©℗



Sygnały ostrzegawcze

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Najpierw informacja dobra: w 2024 r. aż o 600 tys. spadła liczba Polaków tkwiących w skrajnym ubóstwie – czyli w położeniu, które na dłuższą metę może zagrażać życiu i zdrowiu. O tym pozytywnym bilansie rok do roku (2,5 mln vs. 1,9 mln) przypomina za statystykami GUS ogłoszony właśnie raport „Poverty Watch 2025", a więc coroczna mapa polskiej biedy, rysowana w ramach działań Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu.

Co się przez tych dwanaście miesięcy wydarzyło, że ponad pół miliona Polaków straciło niekorzystny status? Do góry poszła płaca minimalna, a 500 plus zmieniło się w 800 plus – podwyżka flagowego polskiego świadczenia zmieniła zwłaszcza położenie rodzin z dziećmi. W dodatku w 2024 r. spowolniła szalejąca wcześniej inflacja.

Są też informacje gorsze. Po pierwsze, wzrósł wskaźnik tzw. biedy relatywnej. W 2024 r. wydatki mniejsze niż 50 proc. przeciętnych miało aż 5 mln naszych rodaków (przy 4,6 mln rok wcześniej). Prof. Ryszard Szarfenberg, badacz zjawiska biedy i autor „Poverty Watch" określa ten rosnący wskaźnik sygnałem ostrzegawczym: „w okresie ożywienia gospodarczego i spadku inflacji tempo wzrostu konsumpcji uboższej części społeczeństwa – wskazuje naukowiec – nie nadąża za resztą społeczeństwa, co powiększa dystans i poczucie wykluczenia".

A skoro mowa o nienadążaniu, z reakcjami na biedę spóźnia się znowu polskie państwo. Tak było za poprzedniej władzy, która walkę z ubóstwem miała wypisaną na sztandarach. Tak jest i teraz: prawie milion Polaków, czyli z grubsza połowa tych najbiedniejszych, jest równocześnie „zbyt bogata", by załapać się na waloryzowane ledwie co trzy lata zasiłki z pomocy społecznej. A powtarzany regularnie postulat, by „pilnie wprowadzić mechanizm corocznej, automatycznej waloryzacji kryteriów dochodowych" – trafia w próżnię. Pilny on może i jest, ale dla garstki działaczy i badaczy, a także dla „ledwie" miliona Polaków. Na pewno nie dla kolejnych rządów. ©℗



Język do uratowania

ANNA GOC

Dy zełst ni ny ufhjyn cy weła” – czytam w mailu, który chwilę po naszej rozmowie wysyła dr Tymoteusz Król, socjolingwista, etnolog i folklorysta, adiunkt w Instytucie Slawistyki PAN. Prosi, by je zacytować, bo od razu wiadomo, że nie mamy do czynienia z językiem polskim, śląskim czy niemieckim – tylko wilamowskim.

Miał 11 lat, gdy zaczął nagrywać najstarszych mieszkańców Wilamowic, niewielkiego miasta w powiecie bielskim w woj. śląskim. Na rozmowy zgodziło się ponad sto osób, zarejestrował dwa tysiące godzin nagrań. Gdy pytam, skąd ten pomysł w głowie ucznia podstawówki, odpowiada, że się bał. Po pierwsze tego, że język wilamowski, którego nauczył się od babci, wyginie. Po drugie, że choć zna inne języki, w żadnym nie będzie mu tak dobrze jak we własnym.

Język wilamowski wyewoluował z języka osadników z zachodu, którzy pojawili się na ziemiach obecnych Wilamowic w XIII w. Skąd dokładnie pochodzili i jakim językiem się posługiwali? Nie wiadomo.

Prezydent Karol Nawrocki właśnie zawetował nowelizację ustawy, dzięki której język wilamowski mógł uzyskać status języka regionalnego (podobnie jak kaszubski). W 17-stronicowym uzasadnieniu czytamy, że decyzja nie miała „charakteru uznaniowego czy politycznego”. Wśród powodów podano m.in. różne opinie lingwistów: „Niektórzy z językoznawców twierdzą, że tradycyjna mowa najstarszych mieszkańców Wilamowic stanowi odrębny język, natomiast przez innych naukowców etnolekt ten jest przypisywany do zachodniej grupy języków germańskich”.

– Tym wetem prezydent powiedział nam, że nasz język nie dostanie wsparcia państwa, które gwarantuje wpisanie go do ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym – komentuje dr Król. – Nie chodzi tylko o wsparcie z budżetu państwa na naukę wilamowskiego w szkołach, lecz także o uznanie naszego języka za część polskiego dziedzictwa, a przez to także uznanie historii ludzi, którzy się nim posługiwali i posługują. Historii, w której były zakazy używania wilamowskiego i prześladowania z tym związane.

Starania o prawne uznanie języka wilamowskiego trwają od ponad dekady.

Dziś po wilamowsku mówi kilkadziesiąt osób. Wśród nich zaledwie kilka z najstarszego pokolenia i ponad dwadzieścia z najmłodszego. Wilamowianie zamierzają dalej rewitalizować swój język, przywracać go do życia. Bo – tłumacząc pierwsze zdanie tego tekstu z wilamowskiego na polski – „nie powinno się nigdy przestać chcieć”. ©℗



DOMENA PUBLICZNA

Kobiety w odświętnych tradycyjnych strojach wilamowskich



Prawo do ojca

MARTA GLANC

Grupa badawcza powołana przez Papieską Komisję ds. Ochrony Małoletnich rozmawia z córkami i synami księży katolickich z całego świata. Tę informację ujawniliśmy z Szymonem Piegzą, dziennikarzem Onetu, w ubiegłym tygodniu, chociaż grupa rozpoczęła prace już rok temu. Ale jeszcze w marcu członkinie grupy przekonywały mnie w rozmowie online, że jest za wcześnie, by mówić o tym oficjalnie. Tym razem, na prośbę Piegzy, pracowniczka komisji, Emer McCarthy, podzieliła się szczegółami badań.

Watykan zauważył nas – dzieci księży – stanowczo za późno. Ja zdecydowałam się powiedzieć głośno, że mój ojciec jest księdzem katolickim, dopiero jako dorosła osoba, opisując dzieciństwo i dorastanie w książce „Córka księdza”. Mój ojciec, do którego musiałam mówić „wujku”, nadal jest proboszczem niewielkiej parafii w Wielkopolsce. Jego przełożony – abp Wojciech Polak – nie chciał ze mną rozmawiać. Na moje pytanie o sytuację dzieci księży, przesłane do Konferencji Episkopatu Polski, niepodpisany przedstawiciel Biura Prasowego KEP odpowiedział na piśmie, że episkopat nie zajmuje się recenzowaniem książek.

Po tych doświadczeniach rozmowa z przedstawicielkami papieskiej komisji była dla mnie wydarzeniem przełomowym. Choć prace komisji wcale nie muszą nim być. Komunikowane są enigmatycznie, jako „badanie podatności dzieci księży na skrzywdzenie i występującej zależności władzy”. Do oficjalnych przeprosin za złamane życie droga wciąż daleka.

Instytucja, której przepisy i zwyczaje pomagają uniknąć mężczyznom odpowiedzialności za potomstwo, która woli ukrywać ich tożsamość (lub – w najlepszym wypadku – akceptować ich podwójne życie), powinna zabrać głos.

Oczekują go nie tylko synowie i córki księży, ale także matki tych dzieci. Wiem jednak, że samo zaproszenie do rozmowy przez Watykan dla osób takich jak ja jest bardzo ważne. Zaczęłam już dostawać pytania od innych dorosłych dzieci księży, jak skontaktować się z grupą badawczą. Po latach życia w ukryciu to dla nas ważny krok w zdrowieniu. Przyjście na świat z piętnem dziecka, którego nie powinno być, obciąża i utrudnia normalne życie. Nie mija z wiekiem, a jedynie się pogłębia.

Tli się we mnie naiwna nadzieja, że Kościół zauważy, iż „podatność dzieci księży na skrzywdzenie” mogłaby zniknąć wraz z celibatem. ©

POŻEGNANIE



STADT LEIPZIG

Friedrich Magirius pod pomnikiem polskich ofiar II wojny. Lipsk, 1 września 2019 r.

„Widziałem pierwsze chwile wolności”

To była najpiękniejsza przygoda jego życia. Tak Friedrich Magirius – pastor ewangelicki, rocznik 1930 – nazwał czas, gdy był uczestnikiem, a potem przez prawie dekadę (1973-82) przewodniczącym Akcji Znaków Pokuty w NRD. Oddolnej organizacji, przez komunistów ledwie tolerowanej (i inwigilowanej). Jej uczestnicy, zwykle młodzi, od lat 60. XX w. jeździli do miejsc, gdzie III Rzesza zostawiła świeże jeszcze rany. Głównie do Polski: tu, pracując na terenie kacetów lub przy budowie kościołów (np. w Nowej Hucie) i szpitali, chcieli być żywymi znakami pamięci. Nikt ich nie zmuszał, był to głos sumienia. Przekonanie, że Niemcy są coś winni – w sytuacji, gdy władze NRD odrzucały odpowiedzialność za III Rzeszę. W gruncie rzeczy ci, którzy angażowali się w Znaki Pokuty, wypowiadali posłuch systemowi. Nie była to jeszcze opozycja, ale sprzeciw już tak.

Dlaczego jednak „najpiękniejsza przygoda”? Nie tylko zresztą dla niego: w relacjach wielu Niemców z NRD, którzy jechali wtedy do Polski, pojawia się taka myśl. „U was oddychałem trochę swobodniej” – mówił Magirius, gdy rozmawialiśmy w 1992 r. (w „TP” ukazał się wtedy jego portret). U was, mówił, otwierały się nam oczy na to, co się dzieje w świecie. Był tu, gdy zaczynała się Solidarność: „Widziałem pierwsze chwile wybuchającej wolności. Zazdrościłem”.

W stanie wojennym organizował pomoc: „Wysyłaliśmy paczki. Oczywiście dużo skromniejsze niż te z Niemiec zachodnich. Ale przyjaciele mówili mi potem, że te paczki, choć skromne, były niezwykle ważne”.

Dla tych, którzy przeszli przez Znaki Pokuty, było to coś jeszcze: lekcja zaangażowania. Wielu odnalazło się potem w opozycji. On w niej nie był, za to w 1989 r., jako proboszcz kościoła św. Mikołaja w Lipsku, negocjował z władzą, by nie użyła siły. Po zjednoczeniu był aktywny w samorządzie.

Friedrich Magirius zmarł 13 października.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Kraków bez Herty Müller

PROTESTY ▪ Protesty przed spektaklami Frljicia i przed promocjami książek Grossa. Grzegorz Braun zrywający wykład Jana Grabowskiego. Wszechpolacy uniemożliwiający rozmowę z Oksaną Zabużko. Rzec by można, patrząc z realizmem na skromną ochronę instytucji kultury oraz opieszałość policji w podobnych sytuacjach: trudno się dziwić Cricotece i Międzynarodowemu Centrum Kultury, że wobec pogróżek propalestyńskich aktywistów zdecydowały się odwołać spotkanie z Hertą Müller, a w zamian zaproponować noblistce, by zgodziła się na rozmowę wideo.

W liście organizatorów do Müller nie było przecież intencji zamknięcia jej ust, cenzurowania poglądów, opowiedzenia się po którejś ze stron konfliktu izraelsko-palestyńskiego, a tylko przyznanie się do imposybilizmu. Tak. Jesteśmy za wolnością debaty publicznej. Tak. Podziwiamy autorkę, która swoim pisaniem i swoimi wyborami życiowymi rzuciła wyzwanie tyranii Ceaușescu. Tak. Chcemy słuchać tego, co ma do powiedzenia, nie tylko o „Piosenkach, które odpędzają strach” – pokazanego w Cricotece spektaklu na podstawie jej prozy. Tak, w ogóle lubimy duże i piękne słowa. Tylko, wiecie, to jest Polska, i Kraków, i rok 2025. My po prostu nie jesteśmy w stanie zorganizować tu spotkania publicznego w taki sposób, żeby zapewnić jego uczestnikom bezpieczeństwo, jeśli gość lub temat budzą kontrowersje.

To konkluzja bardziej przygnębiająca niż stwierdzenie faktu, że skłonność do przemocy i zamykania ust ludziom o odmiennych poglądach nie ogranicza się do przedstawicieli „ciemnogrodu” czy „naziolstwa”. Albo że ludzie tak chętni do przekraczania tabu, gdy chodzi np. o czyjeś uczucia religijne, z łatwością ustanawiają własne tabu, naruszone ponoć przez noblistkę w jej wypowiedziach o europejskim antysemityzmie i terrorystach z Hamasu. I że w tym wszystkim najmniej chodzi o literaturę.

W 2013 r. we Wrocławiu narodowcy i pseudokibice zakłócili wykład Zygmunta Baumana. Prezydent miasta wezwał wówczas antyterrorystów, którzy wyprowadzili z sali blisko sto osób. Bauman dokończył wykład. Po roku kilkunastu najbardziej agresywnych osobników skazano na kary aresztu i grzywny. Pytanie do wszystkich stron – i tej protestującej przeciwko zaproszeniu Herty Müller do Krakowa, i tej krytykującej list organizatorów spotkania do noblistki, i tej nadzorującej funkcjonowanie instytucji kultury oraz odpowiedzialnej za bezpieczeństwo publiczne – czy są gotowe wejść na tę ścieżkę.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI



JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

Spotkania z Hertą Müller w Krakowie, 17 kwietnia 2013 r.

Wiemy, dlaczego kosmos jest piegowaty

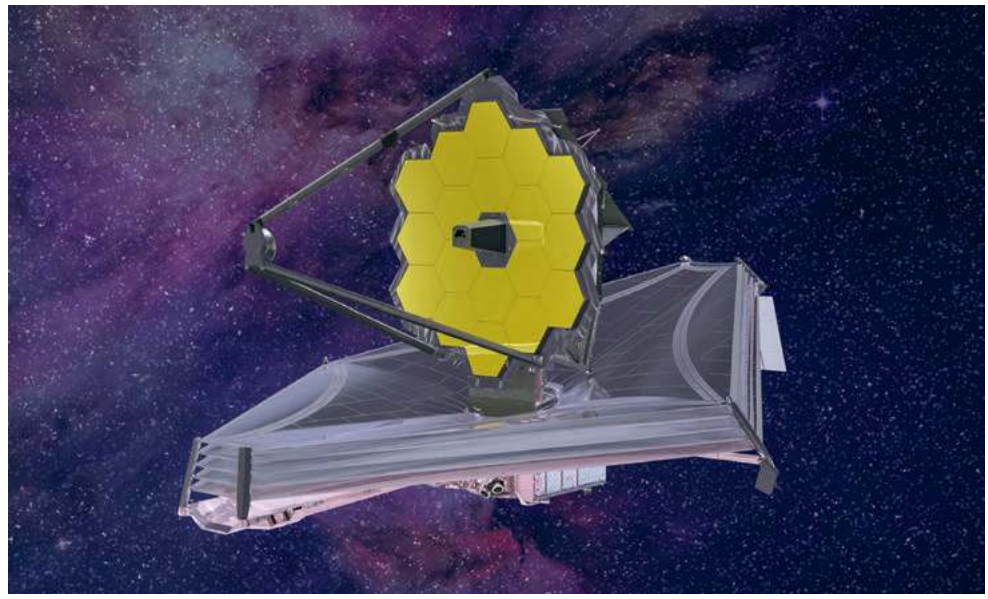

NASA

Wizualizacja Kosmicznego Teleskopu Jamesa Webba

KOSMOLOGIA ▪ Na obrazach z Kosmicznego Teleskopu Jamesa Webba (JWST) astronomów zaskoczyły małe czerwone kropki. Teraz zbliżają się do rozwiązania zagadki. Wiodąca teoria mówi, że to czarne dziury zamknięte w lśniącym kokonie z kosmicznego pyłu.

Już pierwsze obrazy zebrane w 2022 r. przez JWST przyniosły niespodziankę. Młody wszechświat, znajdujący się poza zasięgiem wzroku wcześniejszych teleskopów, okazał się... piegowaty.

Tajemnicze obiekty pojawiły się 500 milionów lat po Wielkim Wybuchu i niebo było nimi usiane przez niecały miliard lat. Nazwano je właśnie Małymi Czerwonymi Kropkami, bo emitują światło o niskich częstotliwościach i są (w kosmicznej skali) niewielkie – 50 razy mniejsze od naszej galaktyki. Kropki wywołały sensację, bo nie przypominają galaktyk ani typowych czarnych dziur. Obecnie, wraz z napływem danych, badacze zyskują pewność, że zaobserwowali nowy rodzaj ciała niebieskiego.

Jak jednak stwierdzić, czy ciało niebieskie należy do znanej już klasy, czy jest czymś zupełnie nowym? Naukowcy muszą działać jak detektywi wykluczający kolejnych podejrzanych na podstawie zebranych dowodów – tę rolę pełnią charakterystyki światła emitowanego przez obiekt. Kropki na pierwszy rzut oka zdają się świecić jak odległe galaktyki, lecz galaktyka tak mała i świecąca tak jasno jak kropka nie mogłaby być stabilna – gęsto upakowane gwiazdy po prostu by na siebie spadły.

Drugą podejrzaną jest supermasywna czarna dziura, bo wirujący wokół niej pył może świecić odpowiednio mocno. Jednak znane nam czarne dziury świecą w charakterystyczny sposób – w innych częstotliwościach niż galaktyki. Ponadto, żeby rachunki się zgadzały, postulowana młoda czarna dziura musiałaby być bardzo ciężka: 10 razy cięższa od tej w centrum Drogi Mlecznej, która pochłania materię już miliardy lat!

Kropki muszą zatem należeć do nowej klasy obiektów, a na faworyta wśród zaproponowanych modeli godzących paradoksalne własności wyrósł model czarnej dziury-gwiazdy (*black hole star*). Kropki opisuje jako czarne dziury (masywne, ale nie aż tak!), otoczone gazem tak gęstym, że przypomina on powierzchnię gwiazdy. Energii potrzebnej do świecenia nie zapewnia fuzja termojądrowa, ale efekty magnetyczne, które nagrzewają opadający gaz.

Choć wiemy coraz więcej o Kropkach, nie wiemy, jakie warunki sprzyjają ich powstaniu. Nie znamy też ich roli w procesie galaktycznej ewolucji. Ze względu na ich ogromną liczbę badacze przypuszczają, że pokazują one przeszłość ciał niebieskich znanych z naszego kosmicznego sąsiedztwa. Może nasza galaktyka spędziła młodość jako czarna dziura-gwiazda...

Na razie pewne jest, że kolejny rozdział badań nad wszechświatem otworzy Mała Czerwona Kropka.

© MARTA LOTKA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

BILANS DWULETNI

Trump ogłosił „świt nowego Bliskiego Wschodu”. Są jednak powody, by sądzić, że ustępstwo Izraela w sprawie rozejmu w Gazie jest taktyczne. Mimo to spróbujmy pokazać, jak Bliski Wschód zmienił się przez minione dwa lata. I zapytać, co dalej.

MAREK MATUSIAK



Po dwóch latach od ataku Hamasu z 7 października 2023 r. wywołana nim reakcja łańcuchowa, która objęła zasięgiem większość Bliskiego Wschodu, uległa spowolnieniu.

Występując w izraelskim parlamencie 13 października, Donald Trump ogłosił nie tylko koniec wojny w Gazie, ale też „początek epoki wiary, nadziei i Boga", „wielkiej zgody i trwałej harmonii", a także „świt nowego Bliskiego Wschodu". Tego samego dnia podpisał deklarację współpracy dla pokoju w regionie z Egiptem, Turcją i Katarem. Trump sygnalizuje też otwartość na rozmowy z Iranem, negocjuje nową umowę obronną z Arabią Saudyjską, popiera stabilizację Libanu i *de facto* (choć nie *de iure*) uznał nowe władze w Syrii.

I nawet jeśli sytuacja w regionie nie dorasta do jego bombastycznej retoryki, to trzeba przyznać, że główne działania wojenne w Gazie zatrzymały się (może tylko chwilowo), izraelscy zakładnicy (20 osób) zostali wymienieni na część przetrzymywanych przez Izrael Palestyńczyków (niemal 2 tys. osób), a zdecydowana większość Bliskiego Wschodu szczerze trzyma kciuki, aby ten konflikt rzeczywiście już się skończył.

Wszystko to w dużej mierze zasługa prezydenta USA. Jednak jak długo stan ten się utrzyma? Czy realizacja planu pokojowego wyjdzie poza doraźny rozejm? Czy sam Trump nie zmieni zdania i za tydzień nie da zielonego światła dla nowych bombardowań Gazy lub dla nowego ataku na Iran?

Do tych pytań wrócimy na końcu. Najpierw przyjrzyjmy się bilansowi tych dwóch lat.

Spojrzenie krytyczne

Z perspektywy Izraela – państwa, które 7 października 2023 r. poniosło druzgocącą porażkę, a w kolejnych dwóch latach było głównym sprawcą niemal wszystkiego, co się działo w regionie – można na ten okres patrzeć dwojako.

W artykule, który opublikował niedawno brytyjski think tank Chatham House, Ksenia Svetlova – renomowana izraelska ekspertka ds. Bliskiego Wschodu i była deputowana Knesetu – ocenia politykę Benjamina Netanjahu skrajnie krytycznie. Pisze, że jego „koncepcje polityczne waliły się jedna po drugiej", a jego obietnica „całkowitego zwycięstwa" nad Hamasem i przechwałki, że Izrael zakończy wojnę na swoich warunkach, nie wytrzymały konfrontacji z realiami.

Zarzuca mu też, że zamiast – przed 7 października – podejmować próby politycznego rozwiązania konfliktu z Palestyńczykami, tylko nim zarządzał, m.in. wspierając rozbicie między Hamasem w Gazie a Autonomią Palestyńską na Zachodnim Brzegu.

W zamyśle Netanjahu miało to uniemożliwić powstanie jednego partnera do rozmów pokojowych, a przez to też państwa palestyńskiego. I w efekcie doprowadzić do sytuacji, gdy sprawa palestyńska spadłaby z międzynarodowej agendy (jako beznadziejna), a Izrael miałby otwartą drogę do nawiązywania relacji ze światem muzułmańskim bez konieczności jakichkolwiek ustępstw.

„Klęska linii Netanjahu"

Svetlova uważa, że 7 października 2023 r. to podejście poniosło klęskę. Tym głębszą, że plan pokojowy Trumpa sugeruje, iż to Autonomia Palestyńska (uprzednio zreformowana) mogłaby w przyszłości przejąć odpowiedzialność za zarządzanie Gazą. Miałoby się więc wydarzyć to, czego Netanjahu próbował przez lata uniknąć.

Kolejnym jej zarzutem jest ograniczona autonomia polityki zagranicznej premiera. Zgoda na porozumienie w sprawie rozejmu z Hamasem (a według Trumpa w sprawie „zakończenia wojny") nie była – w jej ocenie – wynikiem strategicznej decyzji władz Izraela, ale presji zewnętrznej, zwłaszcza USA. W jej ocenie to, że Netanjahu się jej podporządkował, podważa jego deklaracje o niezależności Izraela.

Wszystko to ma być równoznaczne z upadkiem koncepcji politycznych, które przez lata definiowały podejście Netanjahu do konfliktu z Palestyńczykami i do regionu w ogóle.

USA–Izrael: wsparcie bezprecedensowe

Jest to argumentacja racjonalna, spójna, oparta na prawdziwych przesłankach i wśród krytyków premiera Izraela rozpowszechniona. I to przede wszystkim z tego ostatniego względu została – jako punkt odniesienia – przytoczona tu *in extenso*. Na kwestię tę można bowiem spojrzeć także inaczej. Zacznijmy niejako od końca, tj. od relacji Izrael–USA.

Zgodnie z wyliczeniami Uniwersytetu Browna w ciągu ostatnich dwóch lat Stany przeznaczyły na obronę Izraela bezpośrednio i pośrednio 31-34 mld dolarów (dodatkowo do 3,8 mld pomocy wojskowej, które Izrael i tak corocznie otrzymuje od USA).

Według izraelskiego resortu obrony od października 2023 r. do maja 2025 r. USA dostarczyły Izraelowi 90 tys. ton amunicji, bomb i innego sprzętu (w 800 lotach transportowych i 140 dostawach morskich). Dzięki tym dostawom Izrael mógł prowadzić niemal równocześnie działania wojenne w Gazie, na Zachodnim Brzegu, w Libanie, Syrii, Jemenie i Iranie.

Dodatkowo przeciwlotnicze baterie rakiet Patriot i bateria rakiet THAAD (USA mają tylko siedem takich systemów) broniły izraelskiego nieba przed irańskimi rakietami (w tym drugim przypadku zużywając nawet 20 proc. całego amerykańskiego zasobu pocisków). Amerykańskie lotniskowce wzmacniały izraelskie odstraszanie strategiczne. Wreszcie, armia USA uczestniczyła w atakach przeciw jemeńskim Hutim oraz w czerwcowych bombardowaniach Iranu.

Wyznanie rzecznika Millera

To nie koniec. Do rozmiarów amerykańskiego wsparcia doliczyć należy także roztaczany nad Izraelem parasol polityczny.

W ciągu ostatnich dwóch lat Stany sześciokrotnie wetowały rezolucje Rady Bezpieczeństwa ONZ dotyczące Gazy (wzywające m.in. do natychmiastowego zawieszenia broni). Ponadto nałożyły sankcje na przedstawicieli Międzynarodowego Trybunału Karnego w odwecie za wydanie międzynarodowych nakazów aresztowania wobec Benjamina Netanjahu i byłego ministra obrony Jo'awa Galanta. Konsekwentnie powtarzały też izraelską narrację na temat wojny w Gazie przy pełnej świadomości, że jest ona często nieprawdziwa.

W sierpniu 2025 r. były rzecznik prasowy Departamentu Stanu USA w administracji Joego Bidena, Mathew Miller, przyznał w rozmowie z Kanałem 13 izraelskiej telewizji, że na przestrzeni roku 2024 to Izrael (a konkretnie jego premier) ↦

Witany przez Beniamina Netanjahu, Donald Trump przybywa do Izraela, by ogłosić początek „wielkiej zgody i trwałej harmonii". Tel Awiw, 13 października 2025 r.

CHIP SOMODEVILLA / GETTY IMAGES

↦ sabotował amerykańskie wysiłki na rzecz rozejmu w Gazie. Pomimo to Biały Dom konsekwentnie publicznie oskarżał o to samo Hamas, uznając, że ujawnienie prawdy „pomogłoby Hamasowi".

Stany Zjednoczone udzieliły Izraelowi także wsparcia gospodarczego – w postaci m.in. gwarancji kredytowych czy zakupu papierów dłużnych.

Podsumowując można stwierdzić, że od ataku Hamasu z 7 października 2023 r. amerykański podatnik, tamtejszy aparat administracyjny, przemysł zbrojeniowy, sektor prywatny, a zwłaszcza siły zbrojne w jeszcze większym stopniu niż zwykle wspierały Izrael w realizacji jego interesów narodowych. I to z doskonałym (dla Izraela) rezultatem.

Waszyngton za nos wodzony

Nasuwa się zatem pytanie: jaki poziom sprawczości Stany uzyskały w zamian?

W ciągu ostatnich dwóch lat Izrael rutynowo puszczał mimo uszu dochodzące z Waszyngtonu wezwania do zachowania „proporcjonalności" działań w Gazie. Szereg razy sabotował także – jak przyznał wspomniany Mathew Miller – amerykańskie próby doprowadzenia do zawieszenia broni. Otwarcie zignorował nawet wytyczoną przez prezydenta Bidena „czerwoną linię" (jaką miała być inwazja południa Strefy).

Ponadto, w marcu 2025 r. to Netanjahu zerwał wynegocjowane dwa miesiące wcześniej zawieszenie broni (uwiarygodniane autorytetem obu ostatnich amerykańskich prezydentów). W czerwcu zaatakował Iran (w trakcie zainicjowanych przez Trumpa negocjacji z tym państwem). Wreszcie we wrześniu – nie uprzedzając USA – zbombardował Dohę, stolicę Kataru, bliskiego sojusznika Waszyngtonu.

Słowem, jak na państwo, którego wysiłek wojenny i bezpieczeństwo uzależnione są od USA, Izrael zachował imponujący zakres suwerenności.

Uderzenie w Dohę okazało się dla Donalda Trumpa jednym mostem za daleko. Jak stwierdził w niedawnym wywiadzie jego zięć Jared Kushner, prezydent USA „odniósł wówczas wrażenie, że to, co robią Izraelczycy, zaczyna wymykać się spod kontroli, i że nadszedł moment, żeby być bardzo zdecydowanym i powstrzymać ich przed robieniem rzeczy, które według niego [Trumpa] nie są w ich długoterminowym interesie".

Plan bez jednego podpisu

Spójrzmy jednak, jak w praktyce wyglądało „przymuszenie" Izraela do pokoju.

Treść 20-punktowego planu pokojowego Trumpa, ogłoszonego pod koniec września, nie była konsultowana z Palestyńczykami (żadnymi). Była natomiast szeroko konsultowana z Izraelem.

I tak, Izrael miał możliwość wprowadzania poprawek do planu, łącznie z zapisami umożliwiającymi mu de facto bezterminowe utrzymywanie wojsk w Gazie czy też prawo do recenzowania tego, czy ze zobowiązań wywiązują się Palestyńczycy. W wyniku izraelskiej interwencji do maksimum rozwodnione zostały też odniesienia do politycznej przyszłości Gazy i ewentualnej roli Autonomii Palestyńskiej, a także do palestyńskiej państwowości.

Ponadto plan Trumpa jest dokumentem, pod którym nie widnieje podpis premiera Izraela. Jedyne formalne zobowiązania, jakie Izrael dotąd na siebie przyjął, dotyczą tzw. pierwszej fazy planu, czyli wstrzymania walk i wymiany ludzi. Natomiast wszystko inne ma być przedmiotem dalszych negocjacji.

Wreszcie, zachowanie prezydenta Trumpa – w tym jego ciągłe deklaracje, że doprowadził do zakończenia wojny (choć stanowisko Izraela w tej sprawie jest znacznie bardziej powściągliwe), a także zorganizowanie pompatycznego „Szczytu Pokoju" w Egipcie (podczas którego o pokoju dyskutowało 30 państw, ale akurat Izrael był nieobecny) – sprawia wrażenie zaklinania rzeczywistości. Oraz próby ograniczenia Izraelowi pola manewru tak, aby powrót do wojny w Gazie nie był możliwy.

Ustępstwo tylko taktyczne?

Fakt, że prezydent USA musi uciekać się do tego rodzaju zabiegów (nie będąc przy tym pewnym rezultatów), nie sygnalizuje jego siły. Nie sygnalizuje jej także konieczność wysłania do Izraela wiceprezydenta J.D. Vance'a, który – zaledwie tydzień po ogłoszeniu przez Trumpa „pokoju" – ma w tych dniach naciskać na Izraelczyków, żeby wywiązywali się ze zobowiązań.

POŻEGNANIA

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Profesora Mariana Tischnera

lekarza weterynarii, zasłużonego naukowca, dobrego człowieka.
Bratu Kazimierzowi, synom Łukaszowi i Markowi oraz wszystkim Bliskim składamy wyrazy serdecznego współczucia.

Przyjaciele z Miesięcznika i Wydawnictwa Znak

Łukaszowi Tischnerowi

wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci

Taty

składają

Koleżanki i Koledzy
z Katedry Historii Literatury Polskiej XX wieku WP UJ



DAWOUD ABU ALKAS / REUTERS / FORUM

Według oficjalnych palestyńskich statystyk w Gazie zginęło 69 tys. ludzi, w ogromnej większości cywili. Faktycznie straty są jednak bez wątpienia wyższe – wiele ciał jest pod gruzami. Strefa Gazy, 18 października 2025 r.

Już w pierwszym tygodniu „końca wojny" Izrael odszedł bowiem od realizowania zapisów porozumienia – obciążając odpowiedzialnością Hamas. Ograniczył dostawy pomocy humanitarnej, a następnie – na początku bieżącego tygodnia – wznowił bombardowania.

To ostatnie oficjalnie nastąpiło w odpowiedzi na śmierć w Gazie dwóch izraelskich żołnierzy (w niejasnych okolicznościach; niewykluczone, że przyczyną był niewypał). Natomiast śmierć 38 Palestyńczyków – zabitych przez Izrael już po „zakończeniu wojny" – było zdaniem tego państwa całkowicie uzasadnione.

Podsumowując: są powody, aby sądzić, że izraelskie ustępstwo w sprawie „pokoju" ma w dużej mierze charakter taktyczny. Oraz że jest podyktowane dążeniem do uniknięcia bezpośredniej konfrontacji z Trumpem. Rząd Izraela wie doskonale, że Amerykanie nie są zdolni wywierać na niego w żadnej sprawie konsekwentnej, skutecznej, długotrwałej presji. Mogą ją wywierać punktowo.

Wtedy zaś – będąc izraelskim rządem – należy zrobić krok w tył i przeczekać. I to właśnie, jak się wydaje, ma obecnie miejsce.

„Ustąp, aby zwyciężyć"

Wróćmy do punktu wyjścia tych rozważań. A zatem alternatywna – wobec tej przedstawionej przez Ksenię Svetlovą – interpretacja sytuacji byłaby taka, że Netanjahu nie tyle ugiął się pod naporem Trumpa, co zastosował zasadę, której każdy adept dżudo uczy się na pierwszej lekcji: „ustąp, aby zwyciężyć".

Będąc bardzo doświadczonym w swej roli, izraelski premier wie bowiem doskonale, że polityka jest niekończącym się procesem, w którym nic nigdy nie jest ostateczne, i w którym – jak przy czytaniu wykresów – kluczowe nie są konkretne wartości, ale ogólny trend.

Odpowiedź na pytanie, które z tych dwóch państw, USA czy Izrael, posiada w tym scenariuszu większy poziom politycznej sprawczości, pozostawić należy czytelnikowi.

Svetlova krytykuje Netanjahu także za to, że nie zdołał zrealizować obietnicy pokonania Hamasu, a jego polityka sabotowania palestyńskiej państwowości poniosła porażkę. Byłoby to jednak prawdą tylko przy założeniu, że „pokonanie Hamasu" było kiedykolwiek rzeczywistym celem izraelskiego premiera, a palestyńska państwowość posiada obecnie lepsze perspektywy niż dwa lata temu.

Jeśli natomiast przyjąć na chwilę, że „pokonanie Hamasu" było jedynie hasłem umożliwiającym prowadzenie wojny tak długo, jak długo się chce (cóż to bowiem oznacza i kto stwierdza, że się dokonało?), a faktycznym celem Netanjahu było to samo, co zawsze – a zatem: sabotowanie palestyńskiej państwowości, niszczenie podstaw palestyńskiej egzystencji i rozszerzenie izraelskiego stanu posiadania – wówczas bilans wojny wypada zgoła inaczej.

I z pewnością nie jest to porażka.

Gaza i Zachodni Brzeg

Jaki jest bilans tej wojny dla Strefy Gazy? W ciągu dwóch lat całkowicie lub częściowo zniszczonych zostało tam 70 proc. budynków. Ogromne części zabudowy miast Rafah, Chan Junus i Gaza zostały metodycznie starte z powierzchni ziemi (z pomocą buldożerów i materiałów wybuchowych). Niektóre miejscowości, jak Chuza'a, całkowicie przestały istnieć.

Według oficjalnych palestyńskich statystyk zabitych zostało 69 tys. osób (rzeczywiste straty są bez wątpienia wyższe, wiele ciał jest pod gruzami), w tym w ogromnej większości cywili. Ci zaś, którzy przeżyli, doświadczyli głodu, utraty bliskich i wielokrotnych wypędzeń.

W tym samym czasie na Zachodnim Brzegu Jordanu (drugim z trzech palestyńskich terytoriów okupowanych) zabitych zostało około tysiąca Palestyńczyków, a przemoc ze strony izraelskich osadników osiągnęła nienotowaną wcześniej skalę.

Jeśli spojrzeć na wymiar terytorialny, to po „zakończeniu wojny" w Gazie Izrael ↦

↦ kontroluje ponad połowę jej powierzchni, a perspektywy, że się z nich wycofa, są mgliste. W ciągu ostatnich dwóch lat przyspieszył też proces przejmowania ziemi na Zachodnim Brzegu z rąk Palestyńczyków. Np. w maju tego roku rząd izraelski zatwierdził ponad 20 nowych osiedli (12 istniejących oraz dziewięć całkowicie nowych).

Wybór Palestyńczyków

Plan Trumpa rzeczywiście zawiera wzmiankę o palestyńskiej państwowości (to dziewiętnasty z dwudziestu punktów) i wspomina o przyszłej roli Autonomii Palestyńskiej. Są to jednak zapisy na tyle niekonkretne i obwarowane tyloma warunkami – ich spełnienie oceniać będzie Izrael – że trudno traktować je inaczej niż jako estetyczny ornament, a tym bardziej opierać na nich nadzieje na przyszłość.

Zwłaszcza w epoce, która optymizm lat 90. XX w. co do możliwości pokonfliktowego state-buildingu zostawiła daleko w tyle, a liberalny świat, gotowy w ogóle o takich rzeczach rozmawiać, raczej się rozpada, niż konsoliduje.

Brutalna prawda jest zaś taka, że położenie Palestyńczyków przypomina – aby znów posłużyć się tą samą metaforą – pikujący wykres, na którym zdarzyć mogą się wypłaszczenia, a nawet chwilowe odbicia, jednak następuje to na coraz niższym poziomie i w żaden sposób nie może zatrzymać, a tym bardziej odwrócić ogólnego trendu.

Stojący przed Palestyńczykami wybór jest z samej swej istoty tragiczny. Przy biernej postawie pętla na ich szyi (w postaci okupacji, przemocy, upokorzenia, utraty ziemi i perspektyw na przyszłość) zaciska się konsekwentnie, lecz powoli. Natomiast przy gwałtownym ruchu (w przypadku ataku z 7 października 2023 r. – szaleńczym i zbrodniczym) następuje to szybko i ze zwielokrotnioną siłą. I nic z tego, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach, nie ma szansy tego zmienić.

> Na ruinach Gazy i na zgliszczach palestyńskiej państwowości, rzeczywiście kształtuje się nowy Bliski Wschód. Izrael jest w nim regionalnym supermocarstwem.

Przesunięcia w regionie

Na koniec spojrzeć należy na wymiar regionalny ostatnich dwóch lat.

W porównaniu z tym z jesieni 2023 r., obecny Bliski Wchód jest regionem ze znacząco słabszym Iranem, bez porównania mocniejszym Izraelem, z powodami do ostrożnego optymizmu co do sytuacji w Libanie i Syrii, z Arabią Saudyjską i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi rozdartymi między cichą satysfakcją z osłabienia Iranu a autentycznym zaniepokojeniem poziomem agresywnej samowoli Izraela, wreszcie ze wzmocnioną Turcją (dzięki upadkowi reżimu Asada) oraz z coraz ważniejszym Katarem.

Dla Izraela, który osiągnął obecnie status regionalnego supermocarstwa, bilans tego okresu jest doskonały. I nie zmienia tego ani powtarzana przez państwa arabskie i muzułmańskie krytyka jego działań w Gazie (mimo popełnionego tam ludobójstwa żadne państwo świata nie zerwało relacji dyplomatycznych z Izraelem), ani nawet wyrażane przez nie oburzenie atakiem na Dohę.

Państwa te doskonale zdają sobie bowiem sprawę, że jakakolwiek próba sił z państwem izraelskim, popieranym przez USA, nie ma sensu. Oraz że ewentualne korzyści z normalizacji stosunków z Izraelem byłyby bardzo znaczące. Dotyczy to większości świata muzułmańskiego, włącznie z Arabią Saudyjską.

Otwarte pozostaje natomiast pytanie o miejsce Iranu w porządku regionalnym. Będzie ono bowiem zależeć nie tylko od wniosków, do jakich po serii dotkliwych porażek dojdzie kierownictwo w Teheranie, ale także od tego, czy – uskrzydlony zwycięstwami Izrael – będzie dążył jedynie do jego izolacji i osłabiania, czy też podejmie kolejną próbę ataku zbrojnego, mającego już na celu obalenie tamtejszego reżimu.

Co teraz?

Podsumowując: na zgliszczach Gazy i szans na palestyńską państwowość rzeczywiście rodzi się pod wieloma względami nowy Bliski Wschód. Region, w którym wiodącą rolę polityczną i militarną odgrywa Izrael – korzystający z zasobów amerykańskiego globalnego supermocarstwa, a jednocześnie, dzięki przełożeniu na amerykańską politykę wewnętrzną, niepoddający się (jak dotąd) amerykańskiej presji.

Jak w tej sytuacji wyglądają szanse na pokój na Bliskim Wschodzie? Znakomicie. O ile tylko region zaakceptuje, że sprawa palestyńska jest izraelską kwestią wewnętrzną, i że w polityce regionalnej Izraela nie obowiązują żadne reguły.

Sytuację tę zmienić mógłby tylko nagły, trwały i konsekwentny wzrost amerykańskiej asertywności. To zaś – jakkolwiek możliwe – wydaje się nadal bardzo mało prawdopodobne.

© MAREK MATUSIAK

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, stale współpracuje z „TP”.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Zastępczyni red. naczelnego: EWELINA BURDA
Redakcja: www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl
promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny



- **Jarmark Bożonarodzeniowy Striezelmarkt**
  26.11.-24.12.2025
- **Jarmarki Bożonarodzeniowe Neumarkt i Augustusmarkt**
  do 04.01.2026
- **Świąteczna Parada Górnicza Große Bergparade**
  20.12.2025
- **Karnawał Nadłabsko-Wenecjański Elbvenezianischer Carneval**
  13.-15.02.2026

Adwent i Nowy Rok w Dreźnie i Krainie Łaby!
Świąteczny, uroczysty nastrój, chwile wytchnienia i radości, magiczny blask świateł, atmosfera tradycji. Pośrodku przystrojonego miasta czy w jego malowniczych okolicach.
Miło będzie Was spotkać!
www.visit-dresden-elbland.de/weihnachten

SACHSEN. LAND VON WELT.

Reklama współfinansowana ze środków podatkowych na podstawie budżetu uchwalonego przez członków parlamentu Saksonii (Sächsischer Landtag).

Dresden. Elbland.

REKLAMA

ZDALNI DO WSZYSTKIEGO

Zapowiedź końca pracy z domu rozwścieczyła polskie białe kołnierzyki. Jednak w tej irytacji nie chodzi tylko o samą organizację pracy, ale także o to, komu i gdzie wkrótce może jej braknąć.

MAREK RABIJ



DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Katarzyna, jak sama podkreśla, lubi konkrety, dlatego od razu przechodzi do meritum. – W mojej firmie na razie nikt nie wspomina o ograniczeniu pracy zdalnej. Ale po ponad dwóch latach w tym miejscu na ziemi nie chcę już żyć bez tego widoku – mówiąc to, energicznym ruchem przestawia laptopa kamerą w stronę okna.

Obraz przestaje tańczyć i łapie ostrość. Na pierwszym planie, na parapecie, małe papryczki zasadzone w starej donicy. Za szybą, przez ścianę niskich chmur, majaczy las. Bardziej lasek, koryguje od razu Kasia, ale zielony, ładnie pachnie i szumi.

A najważniejsze, że z dala od miasta. Po mniejsze zakupy, choćby do apteki, można wyskoczyć do oddalonej o kwadrans Bystrzycy Kłodzkiej. Do Kłodzka dalej, około czterdziestu minut autem. Do Wrocławia to już ze dwie godziny, ale nie po to – jak mówi Kasia – się stamtąd wyprowadziła, żeby narzekać na brak metropolii. W swojej wsi ma niezły internet, dobrze zaopatrzony sklep spożywczy i paczkomat, do którego można zamówić, co dusza zapragnie.

– Przeprowadzka do Kotliny Kłodzkiej była jedną z najlepszych decyzji w moim życiu, choć wymusiły ją okoliczności – znów uprzedza pytanie.

Siedziałyśmy i płakałyśmy

Listopad 2020 r. Katarzyna nerwowo drepcze po mokrym od deszczu chodniku przed Uniwersyteckim Szpitalem Klinicznym we Wrocławiu. W końcu dzwoni ktoś z wewnątrz: mama za chwilę wyjdzie.

Nie wychodzi. Wyjeżdża na wózku z pomocą pielęgniarza. Może lekarza, Kasia nie wie, wszystko dzieje się szybko. Między stopami mamy dostrzega butlę z tlenem. Pielęgniarz wciska jeszcze córce w dłoń kilka kartek wypisu. W optymistycznym scenariuszu już do końca życia mama będzie musiała wspomagać tlenem z butli pracę zniszczonych przez covid płuc. W pesymistycznym – zaznacza ściszając głos – „do końca życia" może oznaczać kilka tygodni.

– Wsiadłyśmy do mojego subaru, jechałam wolno, żeby nie męczyć mamy, nawet radio wyłączyłam – wspomina Katarzyna. – Jedziemy, milczymy, aż nagle mama cichutko mówi, że przed śmiercią chciałaby jeszcze zobaczyć swój ukochany masyw Śnieżnika. Zjechałam na pobocze, wyłączyłam silnik i zaczęłam wyć. Obie tak siedziałyśmy w tym aucie, deszcz bębnił w dach i płakałyśmy. Ale jak się już wyryczałam, to poprzysięgłam sobie, że mama swój Śnieżnik zobaczy.

Kasia jest programistką. W swojej firmie kieruje zespołem dbającym o cyfrowe bezpieczeństwo. Z racji kontraktów dla armii, które realizuje zakład, zgodę na każdą rozmowę z mediami musi podstemplować szefostwo, dlatego Katarzynie łatwiej rozmawiać z „Tygodnikiem" *incognito* – mimo że nic złego o pracodawcy nie ma do powiedzenia. No, może – jak żartuje – poza tym, że na e-mail z prośbą o dwumiesięczny bezpłatny urlop w związku z chorobą mamy szef odpisał jej w pierwszym odruchu: „Jaja sobie robisz?".

– Ale zaraz potem zadzwonił do mnie i zaczęliśmy wspólnie główkować, jak moją pracę pogodzić z opieką nad mamą. Szczyt pandemii, cały świat idzie „na online", a szefowa działu bezpieczeństwa chce zniknąć na osiem tygodni – śmieje się Kasia. – W sumie to on sam w trakcie tej rozmowy natchnął mnie pomysłem, żeby zabrać mamę z Wrocławia i pracować zdalnie.

Skąd widać szczyt

Luty 2021 r. Katarzyna sprzedaje dwa pokoje z kuchnią, w których się wychowała i mieszkała z rodzicami do matury. Od wyjścia ze szpitala mama i tak rezyduje u niej. Pięć miesięcy później Kasia jest już właścicielką nieźle utrzymanego, ale wymagającego remontu domu w Kotlinie Kłodzkiej. Sprzedający zapewnia, że przy dobrej pogodzie z okien widać masyw Śnieżnika.

Nie kłamie. Latem 2022 r. obie z mamą oglądają już górę, popijając lemoniadę na wyremontowanym ganku swojego nowego domu. Kasia wraca do biegania, okoliczne ścieżki wprost zapraszają do takiej aktywności. Wieczorami, z pomocą sąsiada, doprowadza do porządku zdziczały sad za domem. W rozmowach z przyjaciółmi coraz częściej nazywa nowy adres „moim miejscem na ziemi".

We wrześniu mama umiera. Zgodnie z jej ostatnią wolą, Katarzyna chowa ją obok ojca na wrocławskim cmentarzu. Przed wyjazdem odwiedza jeszcze pośrednika nieruchomości. Kupiec na jej trzy pokoje w centrum Wrocławia znajduje się błyskawicznie.

– Pożegnałam się z miastem, z którym mam więcej złych wspomnień niż dobrych – mówi Kasia. – Dlatego nie wiem, prawdę mówiąc, jak przyjmę polecenie powrotu do pracy biurowej na więcej niż jeden dzień w tygodniu. Lubię swoją pracę, dobrze zarabiam, ale nie mam pewności, czy warto temu poświęcić całą resztę? Po cichu liczę, że mój pracodawca też zdaje sobie z tego sprawę i nie skoszaruje nas znowu w biurze.

Państwu już dziękujemy

Gdyby sytuację na polskim rynku pracy opisywać dziś wyłącznie w oparciu o głosy z forów i serwisów typu LinkedIn, otrzymalibyśmy obraz bliski katastrofie. Wściekłość białych kołnierzyków wywołały informacje o kolejnych polskich oddziałach zagranicznych korporacji, które zamierzają cofnąć lub znacząco ograniczyć możliwość pracy zdalnej. Powrót do biur, w mniejszym lub większym wymiarze godzinowym, nakazały już Amazon, Google, Uber, Intel, Dell, Infosys, Meta, IBM i Microsoft. Część pracowników nie przyjęła zmiany warunków i złożyła wypowiedzenie – jak choćby wielu członków załogi gdańskiej spółki technologicznej Amazona, AGI Data Services.

Nic dziwnego, że w branżowych komentarzach często pojawiają się przypuszczenia, że za tymi decyzjami stoi w istocie chęć pozbycia się części zbędnego personelu bez ogłaszania kosztownych, także wizerunkowo, zwolnień. Coś może być faktycznie na rzeczy. Sektor technologiczny, który w okresie pandemii intensywnie zwiększał zatrudnienie, aby sprostać skokowemu zapotrzebowaniu na swoje usługi, spowodowanemu przejściem gospodarki na tryb zdalny, obecnie tnie etaty. Inne branże też częściowo wracają do biur i nie potrzeba im tylu ludzi do rozwoju oraz wsparcia usług IT.

Powrót do pracy stacjonarnej trwa od miesięcy, teraz jedynie przyspieszył tam, gdzie najbardziej rzuca się w oczy, czyli u podwładnych gigantów z Doliny Krzemowej. Wedle szacunków firmy doradczej Grant Thornton, już w zeszłym roku odsetek dużych i średnich firm w Polsce, które pozwalały na pracę zdalną, spadł z 71 do 62 proc. Autorzy badania przeprowadzonego w tym samym czasie przez Experience Institute szacowali, że pracować zdalnie miało możliwość ok. 70 proc. aktywnych zawodowo ↦

↦ Polaków, czyli mniej więcej 12 mln osób. Korzystało z tej opcji aż 80 proc. – czyli około 9,6 mln pracowników. Około 3,2 mln Polaków obowiązki służbowe wykonywało w ub. roku całkowicie zdalnie. Reszta korzystała z trybu hybrydowego.

W oparciu o informacje od samych pracodawców firma doradcza Hays Polska już na początku tego roku szacowała, że w krajowym krajobrazie korporacyjnym dominuje model z czterema dniami w biurze i jednym z pracą zdalną. W ten sposób pracowało aż 42 proc. firm w Polsce. Drugim najczęstszym (33 proc.) porządkiem były trzy dni stacjonarne i dwa zdalne – ale już kilka miesięcy temu analitycy Hays sygnalizowali, że pracodawcy coraz częściej albo myślą o pełnej likwidacji pracy zdalnej, albo takie decyzje już podjęli.

Kasia: – Byłam niedawno na branżowej konferencji, te same twarze od lat, znamy się jak łyse konie. Przesadziłabym, gdybym powiedziała, że w kuluarach kipiało od emocji wokół końca pracy zdalnej, ale temat faktycznie wracał. Jedna koleżanka w maju skończyła remont mieszkania, żeby wyodrębnić sobie gabinet do pracy. W lipcu dostali z centrali maile, że koniec ze zdalnym. Inna zmieniła firmę, żeby pracować stale z domu, nawet przeniosła dzieci do szkoły bliżej miejsca zamieszkania. Od nowego roku dwa dni w tygodniu musi być w biurze, po drugiej stronie Wisły w Warszawie.

Niewygodne związki

Gdzieś w tle tych obaw o przyszłość zdaniem Katarzyny przebija także żal. Gdy pięć lat temu pandemia wywróciła codzienność do góry nogami, firmy nie pytały przecież o możliwość uwłaszczenia się na prywatnej przestrzeni pracowników. Niektóre wpakowały się w nią wręcz ordynarnie, stawiając personel przed wątpliwą alternatywą: zgadzasz się na *home office* (bez zwrotu za internet czy prąd) albo do widzenia. U Kasi w biurze pod pretekstem niebezpiecznej usterki instalacji elektrycznej przeprowadzono podczas lockdownu gruntowny remont. Jeśli ktoś nie mógł pracować wtedy z domu, siedział czasem osiem godzin w aucie i podgrzewał się silnikiem. Trudno pójść na pół dnia do kawiarni.

Pracować zdalnie miało możliwość w ub. roku 12 mln Polaków. Skorzystało z tej opcji **9,6 mln zatrudnionych, w tym 3,2 mln pracowało tak cały czas.**

Prędzej czy później musiało więc nastąpić i to, co widać od jakiegoś czasu w badaniach, czyli spadek społecznej akceptacji dla pracy z domu. Ze wspomnianej już wyżej analizy Experience Institute wynika, że pomiędzy rokiem 2022 a 2024 odsetek Polaków, którym taki tryb odpowiada, zmalał z 77 do 70 proc. – choć jednocześnie zauważalnie przybyło (z 52 do 60 proc.) takich, którzy uważają, że zdalnie pracuje się im po prostu efektywniej. Wysoko oceniamy także przygotowanie pracodawców do pracy w takim trybie, zwłaszcza zaplecze technologiczne. A skoro nie chodzi o samą organizację pracy i jej wyniki, to w rachubę muszą wchodzić trudniejsze do zdefiniowania, pozalogistyczne czynniki, w tym zjawiska ze spektrum opisywanego zwykle angielskim terminem *work-life balance*. Po kilku latach tego specyficznego koktajlu prywatności i życia publicznego, czasu wolnego i czasu pracy, wielu z nas może od tego po prostu mdlić.

– Znam dwie osoby, które na początku lockdownu dla psychicznej higieny „szły" do pracy, robiąc codziennie rano po kilka kółek wokół swojego bloku – wylicza Kasia. – A mój kolega z pracy umówił się z dwiema sąsiadkami, które też były na zdalnym, że będą wspólnie wychodzić na fajkę przed dom, jak w biurze. Mnie się udało tego uniknąć, ale początkowo też miałam trudności z oddzieleniem czasu pracy od czasu wolnego. Potrafiłam wieczorem zerwać się z fotela, bo mi się coś przypomniało. Albo poprawiałam coś, co mogłam bez problemu zrobić nazajutrz.

Skąd więc tak gwałtowne reakcje i gniewne komentarze na decyzje pracodawców, które w sumie sprowadzają się do powrotu do biurowej normalności? Po pierwsze, zwolenników pracy zdalnej, zwłaszcza w modelu hybrydowym, jest nadal więcej niż przeciwników. Po drugie, po latach działania w prawnej i proceduralnej szarej strefie *home office* został wreszcie uregulowany i ucywilizowany. – A gdy już wydawało się, że wiemy, na czym stoimy – dodaje Kasia – pracodawcy ponownie wywrócili reguły gry, zgodnie z korporacyjną logiką, w której jedyną stałą jest zmiana.

500 tys. usług wspólnych

To nie zbieg okoliczności, że na zarządzony koniec *home office* najostrzej zareagowali właśnie pracownicy z sektora IT oraz z branży, którą nazywa się usługami wspólnymi. Centra księgowe, wsparcie techniczne, prawne i logistyczne – wszystko to, bez czego nie może się obyć żadna korporacja i co można stosunkowo łatwo kupić na zewnątrz – stało się w ostatnich latach wręcz *spécialité de la maison* polskiej gospodarki. Z raportu branżowego stowarzyszenia ABSL wynika, że udział takich usług w PKB naszego kraju sięgnie w tym roku 5,7 proc., a wartość samego eksportu usług wspólnych do biur rozsianych po całym świecie sięgnie 42,3 mld dolarów. Tylko pomiędzy styczniem 2024 a kwietniem br. w całej Polsce otworzono 61 nowych centrów usług wspólnych, w których zatrudnienie znalazło 5,4 tys. osób. Łącznie działa ich już ponad dwa tysiące, a liczba miejsc pracy w branży w szybkim tempie dobija do 500 tys.

A raczej szybko dobijała. Tradycyjne polskie atuty, na czele ze świetnie wykształconymi kadrami, coraz lepszą infrastrukturą publiczną i wreszcie z korzystnym położeniem geograficznym w sercu Europy, zaczynają bowiem blednąć w zestawieniu z szybko rosnącymi kosztami zatrudnienia.

O polskim rynku pracy można opowiadać z różnych perspektyw narracyjnych, które w dodatku prowadzić będą do innych zakończeń. Swoisty *happy end*, jakim z punktu widzenia sa-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

mych zatrudnionych jest bez wątpienia utrzymujący się od lat rynek pracownika, pracodawcom może jawić się bardziej jako słodko-gorzka historia. Polska gospodarka niewątpliwie nabrała w ostatniej dekadzie tempa, które można porównywać jedynie z sukcesami słynnych azjatyckich tygrysów. Tylko pomiędzy rokiem 2014 a 2024 nominalne PKB naszego kraju wzrosło aż o 68 proc. W tym samym okresie przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto w gospodarce narodowej skoczyło jednak aż o 116 proc., czego niemal połowę stanowiły wzrosty notowane w ostatnich czterech latach, naznaczonych wysoką inflacją.

Koniec podwyżek i premii

Część firm szuka w tej sytuacji oszczędności i znajduje je na Dalekim Wschodzie oraz w usługach sztucznej inteligencji. W Krakowie, który zdążył wyrosnąć na polską stolicę usług wspólnych, tylko od stycznia do sierpnia br. do Grodzkiego Urzędu Pracy wpłynęły zawiadomienia o planach redukcji 2350 etatów, głównie w sektorze przetwarzania danych, hostingu, rachunkowości i doradztwa podatkowego. W gruncie rzeczy nadal mamy jednak do czynienia z najwyżej drobną korektą zatrudnienia w branży usług wspólnych, która w samym Krakowie daje pracę 98 tysiącom osób. Stowarzyszenie ABSL szacuje, że w przyszłym roku, pomimo szumnie komentowanych zwolnień, pracowników będzie nadal przybywać.

– Ale w biurach zgęstnieje atmosfera, ludzie poczują, że ryzyko utraty pracy nie jest tylko teoretyczne – przewiduje Katarzyna. – Nam, programistom, co rusz zapowiadają zatrudnieniowy armagedon. Nic takiego na razie nie następuje, ale kończą się czasy podwyżek co pół roku i sowitych premii. Pracodawcy, którzy do tej pory obawiali się, że pracownik rzuci kwitami, teraz ewidentnie przejmują inicjatywę. Nakaz powrotu do biur nadaje się do tego idealnie.

Kasia jeszcze raz wraca do myśli z początku rozmowy: – Nie wiem, co wtedy zrobię, ale nie będę sobie zaprzątać głowy sprawami, na które nie mam wpływu. Idę pobiegać w lesie. Wciąż mam blisko.

©℗ MAREK RABIJ



GAZ-SYSTEM / MATERIAŁ PRASOWY

Połączenie gazowe Polska-Słowacja. Starchocina w powiecie sanockim, maj 2022 r.

Nie chcemy cię, Moskwo

MATEUSZ PEROWICZ

GOSPODARKA | Handel bez Rosji, kultura bez Rosji, sport bez Rosji. Kilkanaście lat temu wydawało się to niemożliwe, ale wszystko zmieniło się po 2014 roku. Zderusyfikowaliśmy większość aspektów naszego życia.

Przed agresją na Ukrainę jedenaście lat temu Rosja wciąż była jednym z głównych partnerów handlowych Polski. Zajmowała siódme miejsce w naszym eksporcie oraz trzecie w imporcie, po Niemczech i Chinach. Gdy doszło do aneksji Krymu, współpraca się załamała, m.in. z powodu sankcji nałożonych przez Unię oraz rosyjskiego odwetu w postaci embarga na liczne europejskie towary, w tym wiele produktów z Polski.

Symbolem gospodarczej wojny stały się jabłka, bo właśnie do Rosji wysyłaliśmy ich najwięcej. Cała sprawa budziła wówczas kontrowersje, powstawały zarówno grupy protestujące przeciwko zamykaniu się na wschodniego sąsiada, jak i te nawołujące do bojkotu rosyjskich produktów. Ikoniczna stała się zwłaszcza akcja pod hasłem „Jedz jabłka na złość Putinowi", do której odwoływali się artyści, np. Szymon Majewski, który przedstawił satyryczny sposób na obejście embarga i przemyt kapusty oraz jabłek w piłkach futbolowych. Po wprowadzeniu sankcji i odwetowego embarga w mediach toczyła się też najzupełniej poważna dyskusja, w której było dużo alarmujących komentarzy, wieszczących liczne negatywne konsekwencje, w tym marną przyszłość wielu polskich rolników i hodowców. Na szczęście lament trwał krótko, a my podjęliśmy wysiłek, by znaleźć sposoby na trwałe uniezależnienie się od Rosji. Tak opisywał to w swych materiałach z 2018 r. Związek Przedsiębiorców i Pracodawców: „Reasumując, zarówno politycy, jak i duża część ekspertów, uważali, że rosyjskie embargo na polską żywność w istotny sposób wpłynie na rodzimych przedsiębiorców i całą gospodarkę, i to bardzo negatywnie. Rzeczywistość jednak okazała się być znacznie bardziej łaskawa dla polskich producentów, którzy w tych niewątpliwie trudnych chwilach wykazali się wytrwałością i niespotykaną kreatywnością".

Polak potrafi

Polscy producenci błyskawicznie znaleźli alternatywne rynki zbytu, także dzięki rządowemu programowi ↦

↦ „Go Africa" z wiosny 2015 r., którego celem było instytucjonalne wsparcie polskich firm w zdobywaniu nowych rynków m.in. w Kenii, Tanzanii, Senegalu, Angoli i Mozambiku. Przedsięwzięcie okazało się dużym sukcesem, a w krajach objętych programem polski eksport notował nawet 50-procentowe wzrosty.

Szybko zaczęliśmy zapominać, jak ważnym rynkiem była dla nas Rosja, ale jej udział w polskim imporcie jeszcze w 2019 r. wynosił 6,1 proc. Kiedy w lutym 2022 r. doszło do pełnoskalowej agresji na Ukrainę, postanowiliśmy zupełnie odciąć się od imperium – w 2023 r. import z Rosji spadł już do poziomu 0,72 proc. Radzimy sobie doskonale bez współpracy z dawnym hegemonem, który jeszcze jako ZSRR był dominującym oraz dyktującym warunki partnerem gospodarczym PRL.

Przez ostatnie lata działalność rosyjskich firm w naszym kraju dosłownie zamierała. Co prawda bracia Andriej i Siergiej Sznajderowie kilkukrotnie próbowali wprowadzić do Polski swoją sieć sklepów, ale z ambitnych planów budowy ponad 100 placówek handlowych nic nie zostało. W naszym sektorze spożywczym też nie działa już żadna znacząca rosyjska marka, a pieczątkę na derusyfikacji postawiła firma Maspex, przejmując w 2022 r. rosyjską firmę handlującą alkoholem: CEDC International Sp. z o.o. W efekcie udało się zrepolonizować kilka kultowych marek mocnych alkoholi. Po tej transakcji w polskich sklepach nie ma już w zasadzie rosyjskich produktów.

Z gazem do Mołdawii

O tym, że potrafimy się umiejętnie uniezależniać od Rosji, świadczy też sektor energetyczny. Szereg kluczowych inwestycji, takich jak gazoport w Świnoujściu, łączący nas z Norwegią gazociąg Baltic-Pipe czy połączenia gazowe z Litwą i Słowacją – pozwoliły nie tylko na zbudowanie energetycznej suwerenności, ale także na derusyfikowanie sąsiednich państw. Już w 2021 r. dostarczyliśmy gaz do Mołdawii, i była to pierwsza nierosyjska dostawa tego surowca dla Kiszyniowa. Warto dodać, że udana dywersyfikacja energetyczna to konsekwencja działania ponad podziałami politycznymi. Umowę w sprawie połączenia z Litwą podpisywała Ewa Kopacz, a wstęgę na uroczystym otwarciu inwestycji przecinał Andrzej Duda. Podobny konsensus nie był już niestety możliwy w przypadku połączenia gazowego z Czechami. Prace nad projektem przerwano w 2019 r., wznowiono je w 2023 r., ale po niedawnej zmianie władzy w Pradze znów nie wiadomo, czy projekt zostanie ukończony.

Jeszcze dekadę temu tylko z Niemiec i Chin sprowadzaliśmy więcej towarów niż z Rosji. **Dziś jej udział w naszym imporcie spadł do poziomu 0,72 procent.**

Na szczęście w Polsce zapanowała zgoda w kwestii uniezależnienia się od rosyjskich surowców, choć i ta historia mogła potoczyć się inaczej. W 2022 r. przestała obowiązywać bardzo niekorzystna dla Polski umowa z Gazpromem, który wcześniej musiał też wypłacić PGNiG ok. 1,5 mld dolarów odszkodowania – zgodnie z wyrokiem Trybunału Arbitrażowego w Sztokholmie, który uznał, że ceny gazu w kontrakcie jamalskim były zawyżane i nierynkowe.

Ostatnim kamieniem milowym w derusyfikacji polskiego sektora energetycznego było przejęcie majątku firmy EuRoPol Gaz, czyli koncernu, który miał stać na straży rosyjskiego imperializmu energetycznego. W 2022 r. Orlen uzyskał kontrolę nad siecią przesyłową, a Dom Development przejął niedokończony budynek firmy. Szpecący panoramę Warszawy symbol rosyjskiej dominacji zniknie już niedługo z krajobrazu stolicy.

Również na odcinku wojskowym dokonaliśmy głębokich zmian. Rosyjski sprzęt był przez lata stopniowo wycofywany z użytku, a znaczącym symbolem stało się wycofanie 11 września ostatniego myśliwca SU ze służby w polskiej armii. Zostało nam już tylko 14 myśliwców MiG-29.

Bez Rosji jest łatwiej

W procesie odcinania się od Moskwy pomogły nam również sankcje nałożone na nią w dziedzinach dalekich od gospodarki. Staliśmy się m.in. beneficjentem wykluczenia Rosji z najważniejszych rozgrywek sportowych. Trudniej byłoby o srebrny medal siatkarzy na ostatnich igrzyskach olimpijskich, o złoto Ligi Narodów czy brąz mistrzostw świata, gdyby trzeba było pokonać jeszcze jedną, bardzo silną drużynę – Rosję.

To również z Rosją miała grać Polska w barażach o mistrzostwa świata w piłce nożnej w 2022 r., jednak za sprawą wykluczenia jej reprezentacji mieliśmy do rozegrania jeden mecz mniej. Ostatnio zaś dużo mówi się o tym, że polska Ekstraklasa może awansować na 10. miejsce w rankingu europejskich lig UEFA. Dzięki temu mistrz Polski miałby zagwarantowane prawo do gry w Lidze Mistrzów bez eliminacji, których nie udaje nam się przebrnąć od lat. Taki awans jest możliwy m.in. dzięki temu, że nie musimy przeganiać Rosji, która przed inwazją na Ukrainę zajmowała miejsce w pierwszej dziesiątce. Trochę to przypomina sytuację naszych hokeistów, którzy zagrali (niestety, przez moment) w elicie hokeja na lodzie w 2024 r. właśnie dzięki wykluczeniu z rozgrywek Rosji i Białorusi.

Rosjanie zniknęli też z polskiej przestrzeni kulturalnej. Nie odbywa się już (fakt, dobrze oceniany) festiwal rosyjskich filmów „Sputnik nad Wisłą". Anulowano również pomysł, by rok 2015 uczynić rokiem rosyjskiej kultury w Polsce i polskiej kultury w Rosji. Reprezentanci Rosji nie biorą udziału w Konkursie Chopinowskim, a zamiast Akademickiego Zespołu Pieśni i Tańca Armii Rosyjskiej koncertuje w Polsce Kijowska Orkiestra Symfoniczna.

70 procent antypatii

Odcięliśmy się od największego państwa na świecie na kilku ważnych płaszczyznach. Nie jesteśmy jednak do końca świadomi tej zmiany i jej wielowymiarowego sukcesu – społecznego, gospodarczego i politycznego. Mieliśmy być zapleczem kremlowskiego imperializmu i bazą wypadową na potrzeby dalszych ekspansji. Staliśmy się jednak hamulcowym tego procesu i wyraźnym przykładem na arenie międzynarodowej, że trwały rozwój gospodarczy bez współpracy z Rosją jest możliwy.

To wszystko ma swoje konsekwencje. Z najnowszych badań Centrum Lewady wynika, że 70 proc. Rosjan ma do Polski negatywne nastawienie – jesteśmy drugim najbardziej nielubianym krajem po Ukrainie. © MATEUSZ PEROWICZ



MARCIN BIELECKI / PAP

Wiele naszych problemów rozwiązałby zinformatyzowany system umawiania wizyt. Wówczas nie dałoby się umówić nikogo spoza oficjalnej kolejki.

W zamku Gargamela

ANNA GOŁĘBICKA, EKONOMISTKA:

OCHRONA ZDROWIA | Bywa, że w szpitalu lekarz ma część etatu tylko po to, by móc podleczyć pacjentów ze swojego prywatnego gabinetu. Co za tym stoi? Pieniądze? A może dobra wola i chęć zapewnienia szybkiej ścieżki dla najbardziej chorych? To ciężko odłuskać od siebie.

JERZY DZIEKOŃSKI: Czy lekarze zarabiają za dużo?

ANNA GOŁĘBICKA: W systemie ochrony zdrowia kij ma zwykle dwa końce i wszystko trzeba rozpatrywać w kontekście innych zjawisk. Biorąc pod uwagę, że płatnik jest publiczny, niektórzy lekarze zarabiają na pewno za dużo w stosunku do możliwości systemu i zarobków innych jego pracowników.

Pytam o to, gdyż kolejne ekipy rządzące za trudną sytuację placówek ochrony zdrowia obwiniają lekarzy, a w zasadzie stwarzaną przez nich presję płacową. Kilka miesięcy temu premier Donald Tusk podczas swojego wystąpienia, może nie dosłownie, ale wskazał lekarzy jako grupę, która czerpie z systemu zbyt wiele.

Niektórzy zarabiają bardzo dużo, gdyż posiadają specjalizację, do której przypisane są dobrze wycenione procedury, i umieją odpowiednio ustawić się do systemu. Są też lekarze zarabiający wielokrotnie mniej, bo bardziej przejmują się pacjentami niż walką o swoją pensję – tak już mają. I zapewne ktoś powiedziałby, że wygrywają w ten sposób konkurs na frajera. Ich koledzy, najczęściej zabiegowcy, poustawiali sobie świat, pracując w kilku szpitalach, a oni zostają z pacjentami wymagającymi długiej diagnostyki i opieki, powikłanymi, z wielochorobowością. Bywa, że zajmują się nimi po godzinach, bo właśnie ktoś wyprosił, żeby przyjąć jeszcze jedną osobę. I na koniec dnia zostają ze wskaźnikiem płacowym na poziomie 1,45 średniej krajowej plus dodatek stażowy i dyżury.

Przez takie różnice ludzie w szpitalach są poróżnieni. Przecież obok 120 tys. pracujących w Polsce lekarzy mamy jeszcze ponad 200 tys. pielęgniarek. Jeśli mają magistra i specjalizację, to ustawa gwarantuje im minimalną pensję niewiele mniejszą niż lekarzom, ale jeśli nie mają specjalizacji – różnica robi się znacząca. Ustawowa regulacja płac spowodowała, że medycy zarabiają godnie, ich wynagrodzenia stały się znaczącą częścią przeznaczonego na ochronę zdrowia budżetu, ale na pewno nie jest tak, że pensje lekarzy zjadają większość.

To gdzie tkwi problem?

System daje niektórym nadmierne możliwości, a wyceny świadczeń bywają naprawdę niesprawiedliwe, bo jak to inaczej określić, jeśli system wycenia poród – przy którym często potrzeba nawet kilkunastu osób – na około 8 tys. zł, a operację palucha koślawego na ponad 20 tys. zł. Obecnie jeszcze zwiększono wycenę za punkt, czyli wszystkie najbardziej przecenione zabiegi będą jeszcze bardziej przecenione.

U podstawy problemu leżą takie niesprawiedliwości i nieprzejrzystości. Niby mamy trochę informatyzacji, ale systemy cyfrowe się nie widzą. Chciałabym, żebyśmy na potrzeby naszej rozmowy mogli wcisnąć trzy klawisze i otrzymać dokładną informację, ile kosztują nas lekarze na umowie o pracę czy na kontrakcie, a ile pielęgniarki i inne zawody w publicznej ochronie zdrowia. Niestety takich klawiszy nie ma i wszystko wygląda jak konsekwentne wprowadzanie zasady „dziel", ale czy „rządź"? Tutaj pewności nie mam.

Za to biurokracja i sprawozdawczość trzymają się dobrze. Papierologii przybywa, rosną wydatki, ale kolejki pozostają takie same albo się wydłużają. Dekadę temu na zdrowie wydawaliśmy 77 mld zł, w przyszłym roku budżet ten ma być trzykrotnie większy, ale pieniędzy będzie wciąż za mało. Gdzie leży błąd?

Koszty utrzymania placówek rosną, wynagrodzenia rosną. Cały czas odkręcamy bardziej kurek i dokładamy do koszyka świadczeń nowe terapie, darmowe leki i z tak szerokim koszykiem, z programami 65 plus i 18 minus, dziwimy się, że pieniędzy brakuje. Z drugiej strony nie robimy niczego, aby ten system dostosowywać do demografii, automatyzować procesy, cyfryzować, efektywizować, wykluczać dublowanie kosztów. Jest trochę tak, ↦

↦ jakbyśmy chodzili na zakupy, wprawdzie z nieco większym wynagrodzeniem w portfelu, ale do coraz droższych sklepów – i kupowali więcej i więcej.

Od lat nie zmieniliśmy niczego w systemie, z którym wielu uczestników nauczyło się grać. Jeszcze kilka lat temu nie mieliśmy takiego zawodu jak koder, a dzisiaj placówki już wiedzą, jak kodować świadczenia, żeby dostać więcej pieniędzy. I nagle okazuje się, że Polacy najczęściej chorują na choroby najlepiej wyceniane. Za moment nie będziemy wiedzieli, na co tak naprawdę chorujemy, bo w sprawozdaniach pacjenci są klasyfikowani w taki sposób, żeby bardziej się to opłacało szpitalowi. W wyniku tej inżynierii poprawia się wynik finansowy szpitala, ale pacjentowi korzyści to nie przynosi.

Wiele świadczeń jest wycenionych poniżej realnych kosztów, więc szpitale kombinują, żeby przetrwać. Inaczej na mapie zdrowotnej kraju szybko znikłyby kolejne punkty.

Żyjemy w paradygmacie, wedle którego w każdym mieście ma być szpital, bo wówczas mieszkańcy czują się bezpiecznie. Panuje u nas myślenie, że jeżeli coś się zamyka, to jakbyś wyłączył żelazko z gniazdka, koniec. To budzi niepokój. Ale prawda jest taka, że powinniśmy mądrze policzyć, ile potrzebujemy miejsc w skali województwa. W przypadku najgłośniejszego aktualnie położnictwa: ile mamy porodów, ile patologii ciąży, i w oparciu o te informacje budować zaplecze. Tak jakbyśmy budowali ten system od początku, uwzględniając odległość, żeby kobietom się wygodnie dojeżdżało. Trzeba też pomyśleć, jak zorganizować miejsca pierwszej pomocy na wypadek, gdyby coś działo się z ciążą. Nie powinniśmy myśleć o tym, jak utrzymać każdy szpital, tylko jak zorganizować kobietom świetną opiekę przez całą ciążę. Jeżeli patrzymy na świat tylko takimi kategoriami, że szpital to świetny pracodawca i jego zamknięcie oznacza zwolnienia, nie uda nam się zreformować systemu. Najpierw stwórzmy projekt zmian, a później zastanówmy się, co zrobić z personelem.

A co można z nim zrobić?

Można spróbować zagwarantować szybką ścieżkę przekwalifikowania, aby położne zdobyły kompetencje np. w geriatrii. Porodów jest coraz mniej, za to coraz więcej osób starszych. Brakuje nam też przestrzeni i organizacji opieki nad ludźmi z chorobami przewlekłymi, tu rozwiązaniem są interny z pododdziałami opiekuńczymi. Nie możemy w nieskończoność dorzucać pieniędzy do systemu działającego w oderwaniu od zachodzących w społeczeństwie procesów, nowych potrzeb i naszych możliwości, bo nas na to nie stać. Obecnie system wygląda trochę jak zamek Gargamela: tu dobudówka, tam przybudówka i za chwilę nie wiesz w ogóle, gdzie jesteś. W efekcie mamy okropny patchwork, który nie może dobrze działać.

Za moment nie będziemy wiedzieli, na co chorujemy, bo pacjenci są klasyfikowani w taki sposób, żeby bardziej się to opłacało szpitalowi.

Zarządzałam różnymi organizacjami oraz firmami i pamiętam, że gdy dobudowywały nowe przestrzenie, które przestawały się widzieć, to w pewnym momencie trzeba było wyrzucić wszystko z „szafy" i poukładać od początku z uwzględnieniem potrzeb, celów i swoich możliwości. O porodówkach i reformie szpitali rozmawiamy już kolejny rok i jaki jest efekt? Kobiety coraz bardziej się boją, politycy i lokalni decydenci odcinają kupony, a temat dalej pozostaje nierozwiązany. Stoją w Polsce porodówki niemal bez zajęcia, szpital utrzymuje cały zespół i my za to płacimy. A są też miejsca, w których kobiety boją się, że nie będą miały gdzie urodzić.

Rozmowy o mapach potrzeb zdrowotnych toczą się od dekady. Mapy są tworzone, aktualizowane, ale mam wrażenie, że za wiele z tego nie wynika.

Odnoszę podobne wrażenie. Gdybyśmy mieli porównywać ją do firm, to polska ochrona zdrowia jest trochę takim Kodakiem, który nie zauważył rosnącej popularności fotografii cyfrowej.

Kolejny chłopiec do bicia: pacjent. Często podnoszona jest kwestia, że ludzie nie chodzą na wizyty, na które się umawiają, a odsetek ten sięga w niektórych placówkach nawet kilkunastu procent. To wydłuża kolejki i generuje straty, ale to przecież po stronie systemu leży zaprojektowanie aplikacji, która ułatwiałaby zapisanie się do kolejki i w razie konieczności odwołanie spotkania.

W skali wszystkich wizyt, a przekroczyliśmy już dawno liczbę 300 mln rocznie, te nieodwołane nie stanowią wielkiego problemu; według szacunków przekraczają corocznie milion. Jednak każda zmarnowana wizyta to szansa na zdrowie dla kogoś innego. W poprawie tego stanu mogłaby pomóc centralna e-kolejka, ale nie dość, że resort zapowiedział jej wprowadzenie dopiero za pięć lat, to i obywatele mają co rusz jakieś „ale". Po pierwsze, że taki system dyskryminowałby osoby starsze, wykluczone cyfrowo. Po drugie, kogo należy zaprosić na wcześniejszy termin? Czy tego, który jest następny, czy tego, który jest na końcu albo najbardziej cierpi? Każda, zdawałoby się, najprostsza decyzja, która w sferze komercyjnej wydarzyłaby się na pstryknięcie palcem, przez to nasze gargamelostwo, przez jedną ustawę nieprzystającą do innej, przez rozporządzenia zmieniające rozporządzenia, przez spory polityczne – staje się trudna.

Świat mógłby być dużo łatwiejszy, niż nam się wydaje. Dla wykluczonych cyfrowo: wsparcie telefoniczne i pomoc w placówce. Jeśli zaś zwalnia się wizyta, to np. wpada do puli ogólnej i można ją wykorzystać w wersji *last minute*.

Poruszmy w tym miejscu temat koszyka świadczeń gwarantowanych. Nowe leki, coraz doskonalsze urządzenia do obrazowania, techniki operacyjne. Żyjemy w czasach potężnego rozwoju i choć nie ma systemu, który nadążałby za nowinkami, to chcielibyśmy być leczeni najskuteczniejszymi metodami. Czy stać nas na to, żeby koszyk świadczeń był stale uzupełniany?

Popatrzmy na słynny myślowy „dylemat wagonika". Jedzie pociąg, na torach siedzi pięć przywiązanych osób. Jeżeli przełożymy zwrotnicę, przeżyją, ale na drugim torze siedzi jedna osoba, która na pewno umrze. Czy powinniśmy przeło-

żyć zwrotnicę, żeby uratować pięć osób i poświęcić jedną? Z takimi paradoksami mierzy się każdy system ochrony zdrowia. W ekonomii, jeśli ilość zasobów jest ograniczona, a zawsze jest, trzeba je jak najrozsądniej i jak najefektywniej podzielić. Tymczasem kategoria potrzeb jest zawsze nieograniczona, szczególnie przy rosnącym i rozwijającym się rynku. Z pełną świadomością, nie jak pięcioletnie dzieci, zadajmy sobie pytanie, czy zgadzamy się na to, by wszyscy dostawali wszystko, włączając najbardziej kosztowne terapie? Odpowiedź zapewne będzie brzmiała: oczywiście, że tak! Ale przecież wtedy składka lub podatek będzie większy o X procent. I tu natychmiast pojawia się opór – niech inni płacą, nie ja.

To dość naturalna reakcja. Czy da się z nią coś uczynić?

Potrzebna nam edukacja, musimy wypracować świadomość i zgodę społeczną, żeby na zdrowie składali się wszyscy, a nie tylko ci, którzy pracują na etacie, którzy mają emeryturę czy ludzie prowadzący biznes. Często słyszymy narzekanie: gdybym nie musiał płacić składki „na NFZ", to przez całe życie zgromadziłbym środki na najlepszą możliwą opiekę. Tyle że w systemie chodzi o to, że składamy się na tych najbardziej chorych, bo 20 proc. pacjentów konsumuje 80 proc. budżetu na zdrowie, a statystycznie najwięcej kosztuje ostatni rok naszego życia. Tu nie ma rynkowości, jest za to solidaryzm społeczny. Nie płacimy na siebie, bo to nie jest nasz fundusz emerytalny, tylko składamy się na tych, których los nie oszczędził. I wszyscy powinniśmy się modlić, żeby dać innym te pieniądze i nigdy z nich nie skorzystać. A technologie tylko na początku są kosztem inwestycji, potem stają się oszczędnością.

Skąd więc aż taki opór przed reformą systemu?

Ze wszystkich mediów ciągle docierają informacje, że system nie działa, a lekarz zarabia za dużo, co tylko w części jest prawdą. Nie widzimy tych poważnie chorych pacjentów potrzebujących innowacyjnych, drogich terapii, za które nigdy nie byliby w stanie zapłacić z własnej kieszeni, a jednak otrzymują te świadczenia. Nie zdajemy sobie sprawy, ile kosztują system nasze badania. Wtedy mówimy – płacę podatki i wymagam – ale często mówią tak ci, którzy akurat najmniej się na to składają.



MATERIAŁY PRASOWE

ANNA GOŁĘBICKA jest ekonomistką, zajmuje się strategiami zarządzania i komunikacji, a także mediacjami, m.in. w branży medycznej. Od sierpnia członkini Rady Narodowego Funduszu Zdrowia.

Gdybyśmy chcieli zbudować system od podstaw i ustalić, że wszyscy płacimy na zdrowie inaczej, załóżmy że w podatku VAT, to aby zebrać tyle, ile planujemy wydać w 2026 roku, musielibyśmy ten podatek podwyższyć o jakieś 70 proc. Jak społeczeństwo zareagowałoby na taką zmianę? Mielibyśmy bunt.

Wynika z tego, że jako społeczeństwo trochę nie pojmujemy skali kosztów ochrony zdrowia.

Chcemy mieć ciastko i zjeść ciastko. Tymczasem kolejny rok z rzędu mamy ogromny deficyt, na granicy ram bezpieczeństwa budżetowego. Rośnie dług publiczny, którego obsługa wyniesie za rok 90 mld złotych, a na zdrowie planujemy wydać 247,8 mld. Fajnie jest żyć na kredyt, tylko musimy mieć świadomość, że państwo również może zbankrutować, a gdy tak się dzieje, to w pewnym momencie jego obligacje przestają być atrakcyjne, a pieniądz na pokrycie deficytu kosztuje więcej. Zresztą, wtedy nikt już nie chce pożyczyć. Fundusze się kończą, dług jest ogromny, nie ma jak zapłacić urzędnikom, lekarzom, nauczycielom, policji, wojsku. Panuje anarchia. W erze niepokojów jest to wymarzona sytuacja dla agresywnego kraju, który chciałby powiększyć swoje terytorium.

Naprawdę powinniśmy pomyśleć o tym poważnie. To nie jest historia ani o PiS, ani o Platformie, ani o Konfederacji – tylko o nas, Polkach i Polakach. Jesteśmy trudni i nieufni jako społeczeństwo, bo wyrośliśmy z pańszczyzny, zaborów, okupacji nazistowskiej i sowieckiej. Kiwaliśmy każdego, kto nami rządził. I tak nam trochę zostało, tyle że teraz to już kiwamy często samych siebie.

A dzieje się to najczęściej na styku prywaty i systemu publicznego. Myślę, że wielu z nas spotkało się z takim schematem: wizyta prywatna u profesora, zabieg na koszt NFZ na oddziale, gdzie profesor jest ordynatorem, i kontrole po leczeniu prywatnie u profesora. W przypadku poważnych powikłań pacjenta znowu przejmuje system publiczny.

Wszystko zależy od intencji. Nie jestem lekarzem, ale przyglądam się praktykom i wiem, jak to wygląda. Do poradni przyszpitalnej trafia starszy pacjent. Jest w takim stanie, że lekarz sam sadza go na wózek i wiezie na oddział. I później ten lekarz dyskutuje ze swoimi kolegami, żeby tego przysłowiowego starszego pana przyjęli, bo zwykle nie ma miejsc. Można by tu przykleić łatkę – wpychanie poprzez przychodnię. Ale dzięki takim ludziom niejednokrotnie pacjent przeżywa, wychodzi ze szpitala na własnych nogach – bo intencją lekarza było uratowanie mu życia. Bywa też tak, że z gabinetów prywatnych lekarze kierują chorych „do siebie" na oddział, ale wcale nie biorą za to więcej niż rynkowa cena za wizytę. Robią tak, bo są do tego wskazania kliniczne i nie umieją takiego człowieka zostawić samemu sobie; taką postawę uznaję za medyczne *sacrum*.

Mamy zarazem drugą stronę, *profanum*, gdy ktoś intencjonalnie prowadzi gabinet, w którym wizyta kosztuje krocie, bo elementem ceny jest możliwość zaproszenia pacjenta na „swój" oddział publicznego szpitala. Istnieje rynek usług prywatnych, którego nie da się zakazać. Tu i tu pracują te same osoby. Bywa tak, że w szpitalu dany lekarz ma część etatu tylko po to, żeby mieć możliwość podleczenia pacjentów ze swojego prywatnego gabinetu. Co za tym stoi? Pieniądze? A może dobra wola i chęć zapewnienia szybkiej ścieżki dla najbardziej chorych? To ciężko odłuskać od siebie, gdyż nie jest ↦

↦ tylko czarne i białe. Trzeba jasno powiedzieć, że nie należy wrzucać wszystkich do jednego worka. Trzeba tak budować system, aby pacjent nie musiał korzystać z tak zwanych „złotych wrót".

Mam wrażenie, że młodzi lekarze stanowią tu przeciwwagę. Walczą o siebie i o pacjentów, próbując rozbić folwarczne zwyczaje.

Hierarchiczność jest dla nich czymś niezrozumiałym. Oni mówią: jak jesteś w porządku, to super, ale jak nie jesteś, to nie interesuje mnie, czy jesteś profesorem belwederskim, czy zwykłym lekarzem: nie chcę z tobą pracować. A wracając do kombinatorstwa, myślę, że problem rozwiązałby dobrze pomyślany, zinformatyzowany system kolejkowy. Wówczas nie dałoby się wcisnąć pacjenta spoza oficjalnej kolejki. Musiałby mieć konkretne, jasno określone, zweryfikowane wskazania pochodzące z wyników badania, aby wejść „na cito". Wszystkich obowiązywałyby takie same zasady.

Chaos wynika też z tego, że jedni lekarze są na kontraktach, inni na etatach. Jedni zarabiają więcej, drudzy mniej. Czy zróżnicowane formy zatrudnienia mają wpływ na jakość pracy szpitali i poradni?

W systemie ochrony zdrowia na umowach o pracę pracuje około 20 proc. lekarzy. Reszta – w oparciu o umowy cywilno-prawne. Są szpitale, gdzie lekarze zatrudnieni są tylko na kontraktach zadaniowych, w ramach których nie tylko wykonywane są zabiegi, ale sprawowana jest cała opieka przed- i pozabiegowa. Nie ma żadnego przerzucania się pacjentem i to bardzo dobrze działa. Są oddziały, które zatrudniają tylko w oparciu o umowę o pracę, i to też dobrze działa. To, co nie działa, to hybryda, w wyniku której jeden zarabia mało, drugi dużo, i to przekłada się na fatalną atmosferę. Uważam, że w gestii dyrektorów szpitali leży, żeby kwestię tę ujednolicić na poziomie każdej placówki.

W Polsce są porodówki niemal bez zajęcia, gdzie szpital utrzymuje cały zespół i my za to płacimy. A jednocześnie są też miejsca, w których **kobiety boją się, że nie będą miały gdzie urodzić.**

Podsumowując, co Pani zdaniem uzdrowiłoby sytuację w polskiej ochronie zdrowia?

Po pierwsze: medycyna prewencyjna zamiast naprawczej. Badania przesiewowe i leczenie chorób wtedy, kiedy dają się z dużym prawdopodobieństwem sukcesu i stosunkowo tanio wyleczyć, a nie wtedy, kiedy wymagają długiej i kosztownej terapii ze słabym rokowaniem, a może i smutnym końcem.

Po drugie: koordynacja wszystkich elementów, żeby nie dublować wizyt, badań i nie gubić pacjenta po drodze. Pacjent skoordynowany czuje się bezpieczny, zaopiekowany, rozumie, czego lekarz od niego wymaga. Koordynacja optymalizuje ścieżkę chorego ekonomicznie, organizacyjnie i emocjonalnie. Do tego jest potrzebny system informatyczny z rejestracją online i dostępnością wszystkich danych dotyczących stanu zdrowia, wyników badań, koincydencji leków.

Po trzecie: sprawiedliwa wycena świadczeń z marżowością zero. Szpital nie musi zarabiać, tylko dobrze leczyć. Ma się zamknąć na zero. To oznacza koniec z panującym modelem: pacjent opłacalny i pacjent nieopłacalny.

Po czwarte?

Kontrakty placówek adekwatne do ich możliwości i potrzeb zdrowotnych w danym regionie. „Sieciowanie" i „hubowanie" placówek: wysoko referencyjne zajmują się trudnymi pacjentami, a szpitale na niższych poziomach mniej wymagającymi. Musi nastać koniec mitu: w każdym miasteczku wielospecjalistyczny, wysoko referencyjny szpital. Może się zdarzyć, że np. w Zamościu jest wyspecjalizowana ginekologia, ale wówczas ma ona obsługiwać cały region, i przede wszystkim ma chodzić o zapewnienie opieki pacjentce, a nie istnienie budynku z szyldem. W tym kontekście ważne jest wsparcie terapii możliwościami cyfrowymi, np. monitorowanie pacjenta na odległość, zamiast wielu wizyt w gabinecie, albo usprawnienie przez cyfryzację opieki ambulatoryjnej. Nowe technologie oszczędzają czas i pozwalają pacjentom szybciej wrócić do sprawności.

Ważne jest również przywrócenie roli i rangi lekarza rodzinnego jako leczącego pacjentów w podstawowym zakresie i monitorującego ich ścieżkę. Lekarz rodzinny to lekarz specjalista, który powinien zabezpieczać całą opiekę podstawową. Ale nie tylko on, konieczna jest współodpowiedzialność pacjentów za zdrowie, profilaktyka, stosowanie się do zaleceń. Do tego wszystkiego potrzebna jest uczciwość, a co za tym idzie: odbudowanie wzajemnego zaufania.

© Rozmawiał JERZY DZIEKOŃSKI

POŻEGNANIE

Żegnam

Ś.†P.

Profesora Adama Strzembosza

Przyjaciela będącego nie tylko autorytetem moralnym,
ale Osobą wskazującą innym drogę prowadzącą
do służenia dobru wspólnemu.

Zawsze pełnego troski o ochronę praworządności
i sprzeciwiającego się politycznemu egoizmowi.

Andrzej Zoll

OLGA

Drenda:
Kto na czym siedzi



W niedawnej luźnej rozmowie usłyszałam, że w Polsce bardzo, bardziej niż gdzie indziej, wzięliśmy sobie do serca ochronę prywatności i wizerunku. Gdy pojawiło się stosowne prawo, zaczęliśmy z niego ochoczo korzystać. Może nie dotyczy to wszystkich obszarów życia (podobno chęć skorzystania z okazji zakupowych jednak częściej zwycięża), w niektórych jednak widać to dobitnie, zwłaszcza w fotografii. Ludzie nie chcą być fotografowani i częściej odmawiają lub okazują dezaprobatę, a jeśli już, to starają się maksymalnie kontrolować sposób, w jaki ich portret może zostać wykorzystany. Spontanicznych twarzy widujemy więc na zdjęciach coraz mniej.

Nie jest to zaskakujące, gdy pomyślimy o tym, jak szybko zostały zaadaptowane u nas inne rozwiązania „prywatnościowe". Domofony, ogrodzenia wokół osiedli, monitoring nie wymagały szczególnych zachęt ze strony telemarketerów, użytkownicy jakby na nie czekali. Trudno już tłumaczyć ich popularność obawą wobec powszechnych kiedyś włamań i rozbojów, ta fala – w niebezpiecznych latach transformacji istotnie poważny problem – zdążyła się raczej zatrzeć w powszechnej pamięci. Rzekomo masowa lękliwość Polaków też w moich oczach stanowi raczej eufemistyczną wymówkę, bo łatwiej usprawiedliwić się tym, że się czegoś boimy, niż tym, że wolimy, by nas po prostu zostawiono w spokoju.



OLGA DRENDA

Oni i tak wiedzą o wszystkim, co się dzieje

Ale za tym drugim przemawia więcej subtelnych przejawów obyczajowości. Dezaprobata wobec głośnych rozmów przez telefon komórkowy („nie chcę znać szczegółów z pani życia!"), dążenie rodziców, by dziecko miało osobny pokój w domu, czy ekspresowy niemalże zanik niezapowiedzianych wizyt. O takich odwiedzinach czasami słyszy się jeszcze w tonie nostalgicznym, że „dzisiaj tak się już nie robi". Jednak chociaż nikt przecież tego nie zabrania, to jednocześnie nikt też szczególnie nie pali się do reaktywacji zwyczaju. I za tym mogą stać powody pragmatyczne: może chcemy mieć prawo do tego, by w domu mieć umiarkowany bałagan i wolimy, by nikt nie zaskoczył nas bez spodni.

I też nie sprawili tego ani kosmici, ani telewizja czy internet, ani kapitalizm i kultura konsumpcyjna. A co czujniejsi obserwatorzy codzienności i obyczaju wyłapali swymi radarami to zjawisko wcześniej.

Włodzimierz Pawluczuk, znakomity badacz kultury ludowej i potocznej, zauważył tę tendencję już w latach 70. Kiedy w ramach eksperymentu urbanistycznego planowano w Białymstoku wprowadzenie na osiedlach rozwiązań wzmacniających więzi sąsiedzkie i zachęcających do bardziej intensywnego kontaktu społecznego, przeciwstawili się temu sami mieszkańcy. Ich argumenty były dobitne: nie po to przenosiliśmy się do miasta, żeby teraz odtwarzać życie w stylu wiejskim. I nie chodziło bynajmniej o snobizm czy zadzieranie nosa, lecz o potrzebę prywatności, której w społeczności połączonej więziami pomocy wzajemnej, ale i wzajemnej kontroli być nie mogło, i gdzie „wiedzieli sąsiedzi, kto na czym siedzi". Podobnymi obserwacjami dzielił się przed laty również Ludwik Stomma, wspominając, że wyglądające na bardzo tradycyjne społeczności bywają w rzeczywistości przygotowane na zmianę i gdy tylko pojawia się sposobność, błyskawicznie porzucają nawyki, które wydawałyby się wiecznotrwałe. Zmieniają się pozornie w innych ludzi, lecz słuszniej byłoby się może zastanowić, czy nie jest to zrzucenie niewygodnego, choć przez jakiś czas jedynego kostiumu.

Wygląda na to, że choć jesteśmy, owszem, społeczeństwem o pochodzeniu w znacznym stopniu wiejskim, to nie mamy tendencji do życia kolektywnego: wolimy prywatność, święty spokój, osobne zacisze. Mam hipotezę, że raczej wymuszały to na nas okoliczności – jak kiedyś brzydko mówiono, było to „życie na kupie" – i poddawaliśmy się im z konieczności, lecz bez entuzjazmu. Obserwacje o samotności czy powierzchowności więzi we współczesnym świecie są, owszem, słuszne i źle byłoby je bagatelizować, ale gdy o nich rozmawiamy, warto się zastanowić, czy nie są kosztem realnej potrzeby. Potrzeby, którą po długim czasie udało się, być może nadmiarowo i ze zbyt wielkim apetytem, zrealizować – ale która mimo to nie przestaje być realna. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

OPINIE

CHOPIN W KAŻDYM DOMU

Konkurs Chopinowski stał się dla nas ważnym wydarzeniem. Dyskusje o nim wykraczają poza wąskie środowisko melomanów. „Zwycięża muzyka” – mówią z dumą organizatorzy. Z pewnością, ale czy tylko ona?

DARIUSZ KOSIŃSKI

Na początek muszę się zastrzec: nie jestem ekspertem muzycznym i piszę o Konkursie jako o wydarzeniu społecznym. Jak większość zainteresowanych obserwuję je z odległości, za pośrednictwem mediów. Z pewnością inne oceny i interpretacje co do tego, czym to wydarzenie jest i co robi, formułować mogą wyróżnieni spotykający się w warszawskiej Filharmonii. Moje doświadczenie, nawet jeśli słabsze niż ich, jest jednak właściwe zdecydowanej większości tych, którzy, jak to się w popularnym skrócie mówi, „żyją Konkursem”, choć słuchają go w różnych mediach – starych i nowych.

Co to za zbiorowość (a może już nawet wspólnotę?) tworzymy i do czego ten Chopin jest nam potrzebny?

W środkach przekazu

Pierwsza, najbardziej oczywista odpowiedź na pytanie o siłę Konkursu brzmi: jest on wydarzeniem medialnym, to znaczy takim, któremu rangę nadaje stała obecność w „środkach przekazu”, jak już dobrze wiemy – niczego nie przekazujących, ale wytwarzających własną wersję rzeczywistości. W tej rzeczywistości właśnie i głównie w niej powstaje wrażenie, że Konkursem Chopinowskim interesuje się duża grupa wpływowych osób, choć tak naprawdę jest ich garstka i nie mają większego znaczenia.

Tego typu podejrzenia można odrzucić, jeśli weźmie się pod uwagę media tradycyjne: telewizję, radio czy prasę. Oczywiście wokół Konkursu pojawia się pewien szum medialny, częściowo wzmacniany przez zamieszanie wokół premiery filmu „Chopin, Chopin!”, nieprzypadkowo wszak zaplanowanej w pobliżu daty konkursowych zmagań, ale nie zajmuje on centralnych miejsc w najpopularniejszych kanałach. Wprawdzie wiadomości na jego temat nieodmiennie mówią o bardzo ważnym wydarzeniu, wysokim poziomie, rosnącym zainteresowaniu itd., co pewnie oddziałuje nawet na tych, którzy nigdy transmisji z kolejnych etapów nie włączą, ale trudno uznać, że tradycyjne, „stare” media rzeczywiście wytwarzają Konkurs jako wydarzenie o szerokim zasięgu.

W globalnej sieci

Inaczej rzecz się ma z nowymi mediami, które oczywiście mają dziś o wiele większe znaczenie, sprawiając, że dawne tezy o wytwarzaniu rzeczywistości, budowane głównie w odniesieniu do telewizji, są w większości nieaktualne. Nasze uniwersum medialne istnieje głównie w globalnej sieci i polega



APAYO / PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

nie na monopolistycznym dyktacie, ale na miękkim dostosowywaniu się i podstępnej personalizacji, która stopniowo ogranicza pole widzenia.

Nowością nie jest więc to, że Konkurs jest obecny w internecie, bo zmagania młodych pianistów można było obserwować na specjalnie utworzonej platformie już w roku 2015. Nowym czynnikiem wydaje się dynamika wymiany między oficjalnymi i nieoficjalnymi materiałami, wypowiedziami i komentarzami, sprawiająca, że Konkurs żyje na zasadzie samorozrastającej się całości, jakiejś wciąż rosnącej plechy bez jednego centrum.

W tym kontekście zaryzykowałbym tezę, że istotna nowość XIX edycji polega na tym, że w krąg słuchaczy nie tylko weszło, ale też go zdominowało pokolenie żyjące w przestrzeni nazywanej „wirtualną" i wytwarzające w niej jak najbardziej realne zjawiska, wpływy i hierarchie wartości. Aktywność w sieci ma to do siebie, że każdy może stać się jej częścią, zabrać głos, wypowiedzieć swoje zdanie. Nawet jeśli będzie to gniewne burknięcie, że Chopin jest nudny, opinia taka przyczyni się do rozrostu sieciowego bytu Konkursu.

Na dodatek dzisiejsze media żywią się sobą nawzajem, więc to, co pojawia się jako komentarz indywidualny na portalu społecznościowym, stać się może wydarzeniem relacjonowanym przez te „informacyjne". W ten sposób „faktami medialnymi" stały się narzekania na słuchaczy kaszlących w czasie koncertów, krytyka formatu napisu z nazwą Konkursu na ścianie Filharmonii czy podobieństwo jednego z prowadzących do Chopina.

Ale dynamika sieci nie wyjaśnia całości zjawiska, bo wśród osób je współtworzących jest z pewnością wiele takich, które nie korzystają z mediów społecznościowych, nie czują się w tej przestrzeni dość pewnie i nie mają nawyku komentowania w niej wszystkiego, co się im przydarza. Internet z pewnością przyczynia się do wzmocnienia obecności i zasięgów Konkursu, ale nie on decyduje.

Za kulisami

Inna popularna (i to od dawna) teza wiąże zainteresowanie Konkursem z rywalizacją. Kolejne etapy, które ktoś przechodzi lub nie, kibicowanie swoim faworytom, w tym szczególnie „naszym", oczekiwanie na „czarnego konia", a i nadrzędna władza sędziów, których zdania podważyć się nie da – wszystko to upodabnia Konkurs ↦



↦ do podstawowego dla kultury współczesnej formatu spektakularnego, czyli widowiska sportowego, powiększając atrakcyjność występów kolejnych pianistek i pianistów.

Potęguje ją także i to, że kolejne konkursowe występy to widowiska same w sobie. Obejmują one nie tylko technikę pianistyczną i sposoby wykonywania poszczególnych elementów kompozycji, interpretację utworu, ale też wygląd, strój, zachowanie osoby grającej. W przypadku pianistów takim szczególnym elementem jest mimika twarzy, która staje się niejako główną sceną tego, czym dla wykonawcy jest albo też raczej – staje się to, co gra. Dla profana, któremu niedostępne są tajniki wykonawstwa chopinowskiego, ta właśnie sfera stanowi najłatwiej dostępne pole ekspertyzy. Każdy wszak może wypowiedzieć się na temat płaczu pianistki czy fryzury pianisty, któremu grzywka wydaje się przesłaniać oczy, albo włączyć się do nierozstrzygalnej dyskusji o tym, czy na Konkursie bezwzględnie obowiązuje strój wieczorowy.

Te aspekty wzmacnia transmisja telewizyjna, która w relacjach z XIX Konkursu nieodmiennie tworzy powtarzający się schemat: oczekująca na swoją kolej osoba pokazywana jest w kuluarach, w sytuacji pozornie „prywatnej". To w tym właśnie fragmencie pojawiają się charakterystyczne gadżety: termosy, pluszowe misie czy ogrzewacz do rąk w kształcie Pikachu, służące oczywiście zwróceniu uwagi i pomagające w zapamiętaniu danej osoby. Także po zakończeniu występu i obowiązkowym ukłonie kamera pokazuje pierwsze reakcje za kulisami – zazwyczaj bardzo krótko, ale to wystarcza zupełnie, by obramować występ jako osobną, klasycznie skomponowaną całość: wstęp, rozwinięcie, zakończenie.

Ten element widowiskowy jest lekceważony lub wręcz krytykowany przez środowisko muzyczne. W głośnym wywiadzie prof. Krzysztof Jabłoński, juror Konkursu, ostro zaatakował jego uczestniczki i uczestników, że nie dbają o ścisłe czytanie „czystej" muzyki, ale starają się elementami z nią niezwiązanymi wywrzeć wrażenie na publiczności, zdobyć poklask. Szczerze mówiąc – zatkało mnie. Wiem, że świat muzyczny jest szczególnie konserwatywny, ale wydawało mi się, że jakaś podstawowa świadomość roli występu jednak w nim istnieje.

W telewizji Konkurs Chopinowski śledziło prawie 90 tys. osób. **Transmisje na YouTubie oglądało i komentowało średnio 310 tys. osób.**

Muzyka musi być wykonywana, każde wykonanie jest zaś występem na żywo, czynionym przez żywego, konkretnego człowieka wobec innych ludzi, w konkretnej sytuacji. Fryderyk Chopin też zdobył sławę jako charyzmatyczny wykonawca, więc zarzucanie młodym muzykom, że traktują swoją pracę całościowo, jest nieporozumieniem, zwłaszcza w sytuacji, gdy znaczna część prawdziwych miłośników Konkursu ma z nim kontakt wyłącznie przez nieuchronnie widowiskowe media.

Jak w serialu

Telewizyjne formatowanie i wyodrębnienie występu wiąże się z następnym czynnikiem ważnym dla popularności Konkursu – jego seryjnością, by nie powiedzieć: serialowością. Kolejne występy osób grających częściowo te same utwory stanowią – jak każdy dobry serial – kompozycję uczącą swoich widzów własnych reguł. Oczywiście posiadanie wcześniejszej wiedzy na temat Chopina, pianistyki i muzyki klasycznej jest przydatne, by „żyć Konkursem", ale nie wydaje mi się, żeby był to warunek konieczny. Wystarczy otwartość na samo wydarzenie, podstawowa ciekawość i gotowość do słuchania muzyki „poważnej".

Włączenie transmisji – w dowolnym medium – i pewna cierpliwość wystarczą, by uruchomić mechanizm znany z seriali: zaczynamy czuć sympatię do jednej osoby, druga nas irytuje, więc chcemy się dowiedzieć, co z nimi będzie. Nawet gdy znudzi nas jeden występ, to niedługo zacznie się następny, więc można zrobić sobie małą przerwę i wrócić albo (gdy się ogląda rejestrację) po prostu przejść od razu dalej.

Jak każdy dobry serial, Konkurs operuje też dialektyką stałości i zmienności: repertuar jest częściowo taki sam, co nawet profanowi pozwala na wypowiedzenie jakichś swoich sądów, a też i uczy z czasem rozpoznawania poszczególnych utworów i ich charakterystycznych miejsc. Tego rodzaju słuchacz samouk oczywiście nie zostanie ekspertem, ale otrzymuje podstawę do posiadania i wygłaszania własnego zdania. Skoro słyszał grę kolejnych wykonawców, ma prawo powiedzieć choćby: „mnie się gra tamtego podobała bardziej".

Ważną częścią serialu konkursowego są występy ekspertów. Tu ujawnia się charakterystyczny paradoks dzisiejszego świata medialnego. Dzięki internetowi wypowiedzieć się może każdy, ale nie każdy posiada społecznie akceptowalny autorytet, by wypowiadać się jako ekspert. Ten można oczywiście zdobyć w sieci, ale właśnie – trzeba go tam dopiero zdobyć.

Natomiast sceną główną autorytetu eksperckiego są jednak „starsze" media, z założenia zapraszające „nie każdego", a już na pewno nie „byle kogo". Bardzo dobrze widać to w audycjach TVP Kultura, realizowanych w niezwykle anachronicznym formacie, czasem wręcz sprawiających wrażenie nieporadnych. Ale ten ich anachronizm jest właśnie bardzo na miejscu, bo biorą w nich udział autorytety w „starym" stylu: dostojne profesorki Akademii wypowiadające się okrągłymi zdaniami, muzycy i krytycy pełni atencji i formułujący swoje sądy w odpowiednio kwiecisty sposób. Całe to towarzystwo ewidentnie czuje się w telewizji źle i nie najlepiej w niej wypada, ale właśnie dlatego jest w Chopinowskim serialu na miejscu.

Za sprawą ambicji

Bo częścią fenomenu Konkursu jest jego przeszłość, pamięć o dawnych edycjach i świadomość, że bierze się udział w czymś, co wielkie znaczenie ma od dawna. Konkurs jest oczywiście zakorzeniony w przedwojennej, apoteozowanej tradycji II RP, ale Bogiem a prawdą swoją specyfikę i rangę zawdzięcza raczej losom powojennym. Większość edycji Konkursu (jedenaście) odbywała się wszak w czasach PRL-u, kiedy był on skutecznie wykorzystywany jako jeden z elementów *soft power* „ludowego" państwa.

Jego władcy o wiele lepiej znali się na kulturze niż obecnie nami rządzący (niezależnie od partii – to naprawdę na jedno wychodzi). Byli mistrzami w polityce wspierania oraz używania kultury i jako

wentyla bezpieczeństwa, i jako przestrzeni zastępczych emocji, i jako narzędzia polityki wizerunkowej, adresowanej do publiczności międzynarodowej. Konkurs Chopinowski stał się ich oczkiem w głowie, bo doskonale nadawał się do stworzenia obrazu PRL jako państwa dbającego o wysoką kulturę, otwartego na „czyste" wartości i świat je reprezentujący („arystokrację ducha").

Niejako ubocznym efektem poparcia udzielonego Konkursowi przez władze PRL było powołanie święta inteligencji – socjologicznie trudnej do zdefiniowania, a bardzo wpływowej grupy, która odgrywała w Polsce „ludowej" szczególną rolę. Tworzyła ona warstwę pozostającą w różnych relacjach z władzą, ale zarazem konsekwentnie wytwarzającą ton jej nieprzyjazny, oznaczający ją jako „łże-elitę". Bo prawdziwa elita to ta, która słucha Chopina, chodzi do Teatru Współczesnego, śmieje się ze skeczy Dudka, czyta Saganke i Cortázara. Dostęp do niej był długo ograniczony, aż wreszcie dzięki mediom pojawiła się szansa zapośredniczonego wprawdzie, niemniej jednak częściowo realnego współudziału.

Oglądanie Teatru Telewizji, zachwyt Kabaretem Starszych Panów, słuchanie Programu 2 (dla młodszych potem także Programu 3) Polskiego Radia pozwalało przybliżyć się do tej wyróżnionej grupy. Konkurs Chopinowski szczególnie potęgował to doświadczenie, choćby dlatego, że odbywał się rzadko i dotyczył dziedziny uznawanej powszechnie za wyjątkowo elitarną, a jednocześnie – dzięki transmisjom – był coraz szerzej dostępny. Przynależność do grona jego słuchaczy pozwalała poczuć się częścią elity, zarazem niejako ją rekonstruując.

Z tęsknoty za sensem

Świat się bardzo zmienił, nie ma już mowy o jednym ośrodku władzy, monopolu medialnym itd. A jednak mam wrażenie, że to, co się w tym roku wytwarza wokół Konkursu Chopinowskiego, ma coś wspólnego z tamtym dawnym świętem. I nie jest to tylko nostalgia. Być może jest tak, że w świecie wszechobejmującego hałasu, w którym każdy może powiedzieć wszystko, następuje proces rekonstrukcji pozainstytucjonalnych i pozapartyjnych elit, dla których punktem orientacyjnym stają się te elementy kultury, które w najmniejszym stopniu podlegają dowolności interpretacyjnej.

Oczywiście – od interpretacji nie da się uciec. Wprawdzie eksperci muzyczni nadal wierzą w mit „czystej" muzyki, zapisanej jakoby wyłącznie w partyturach, które wystarczy „właściwie" odczytać (odwoływał się też do niego przywoływany już Krzysztof Jabłoński), ale to fikcja. Nigdy nie usłyszymy kompozycji Chopina tak, jak on je słyszał, choćby dlatego, że żył w innym świecie dźwięków niż my. Każdy, kto czyta partyturę, nie mówiąc już o wykonaniu, robi to przy pomocy niepowtarzalnego historycznego „ja" i nawet gdy wierzy, że robi to, czego chciał Chopin, to i ta jego wiara jest interpretacją.

Trzeba jednak przyznać, że w muzyce klasycznej jej wpływ jest ograniczony przez względnie wysoką precyzję zapisu nutowego oraz specjalne wymagania, które sprawiają, że nie każdy umie go odczytać. W efekcie muzyka klasyczna najbardziej opiera się władzy interpretacji i maksymalnie ogranicza jej wpływ, co widać jasno, jeśli porówna się ją z literaturą, nie mówiąc już o totalnie podbitym przez interpretację teatrze.

Z podziwem

Najbardziej też i najwyraźniej eksponuje techniczny trud i wirtuozerię wykonania. To podstawowe źródło zachwytu i uznania osób śledzących Konkurs: ileż pracy i wysiłku muszą włożyć ci młodzi, żeby tak grać! To ów trud nadaje niekwestionowaną wartość temu, czemu jest poświęcony, będąc zarazem w radykalnej opozycji do łatwości i dowolności, jaka dominuje w świecie współczesnym.

Wygląda na to, że pojawienie się w naszym cyrku bylejakości wydarzenia ujawniającego istnienie zupełnie innej hierarchii wartości przyciąga osoby mające dość władzy świata widowisk, w którym największą popularnością cieszą się osoby znane z tego, że są znane, choć w rzeczywistości niczego naprawdę nie umieją, a udający inteligentów politycy dla słupków poparcia w sondażach są w stanie błyskawicznie zmienić o sto osiemdziesiąt stopni poglądy w kwestiach tak fundamentalnych jak prawa człowieka.

Koniec końców odważyłbym się więc powiedzieć tak: radosny fenomen odnajdywania wagi i znaczenia Konkursu Chopinowskiego może być sygnałem procesu rekonstrukcji inteligencji po okresie zachłyśnięcia się kapitalizmem i uznania, że ta dziwna grupa nie jest już potrzebna, bo zastąpi ją klasa średnia.

Nie twierdzę, że inteligencja odrodzi się w dawnym stylu i odzyska dawne wpływy, bo przecież świat jest dziś zupełnie inny. Ale po klęskach, jakie ostatnio spotkały ludzi choćby tylko z nostalgią odwołujących się do inteligenckiego etosu i praktyk (a grupa to wcale nie tak mała i całkiem wpływowa), XIX Konkurs Chopinowski może być dla nich szczególną okazją do poczucia się znowu u siebie, znalezienia mocnego punktu oparcia. Czy wystarczy on do poruszenia świata? Trudno rzec. Ale przynajmniej jest się o co w płynnej ponowoczesności zaczepić.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA" DODATEK SPECJALNY

Festiwal Ars Cameralis – Strach

Przedstawiamy gości, idee tegorocznej edycji i szczegółowy program festiwalu

Województwo Śląskie

Ars Cameralis Silesiae Superioris

ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 29 PAŹDZIERNIKA

REKLAMA

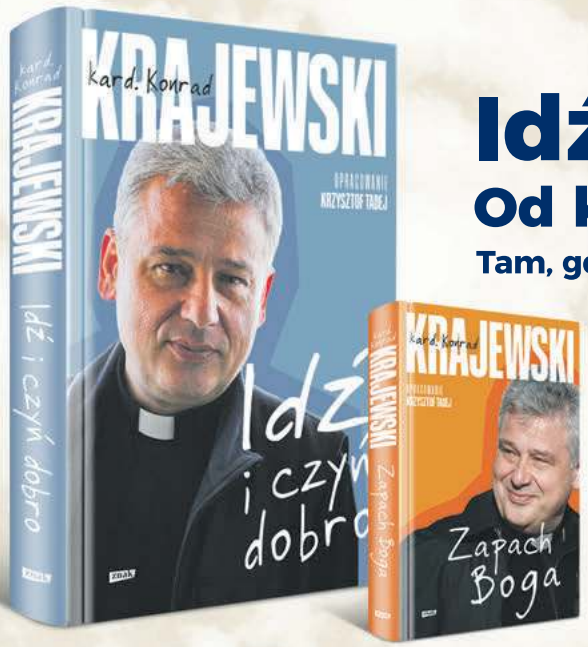

Idź i czyń dobro.

Od kiedy? Od zaraz. Gdzie?

Tam, gdzie jesteś. Idź i czyń dobro. Tyle i aż tyle.

Sięgnij po książkę kard. Konrada Krajewskiego, papieskiego jałmużnika, biskupa ulicy.



Wyrusz w niezwykłą podróż przez

historię ludzkiego umysłu

i koncepcję duszy.



Dwa autorytety, dwa spojrzenia - jedna odważna rozmowa. Prof. Bogdan de Barbaro i ks. Grzegorz Strzelczyk mierzą się z pytaniem:

gdzie kończy się psychoterapia, a zaczyna duchowość?

znak FB/Wydawnictwo Znak

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 43/2025

TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU





SEBASTIAN DUDEK

Uczestnicy warsztatów dla seniorów w redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Kraków, 3 października 2025 r.

Oddać babci dowód

MAREK RABIJ

W polskim społeczeństwie, w którym już co czwarta osoba ma więcej niż 60 lat, seniorzy nadal funkcjonują jako przedmiot, a nie podmiot debaty publicznej.

W roli agregatora stereotypów ChatGPT jest na razie niezastąpiony, dlatego to on otrzymał to zadanie. Miał odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób pobudzić kreatywność u osób w wieku 60+. Bądźmy szczerzy, sztuczną inteligencję tym razem obsadziliśmy w roli, w której nie miała szans błysnąć cechą przypisywaną jej w nazwie. Nie szukaliśmy odpowiedzi. Chodziło jedynie o to, by z pomocą algorytmów sprawnie wyłowić z odmętów sieci coś na kształt społecznego konsensusu w tej kwestii. Udało się – jeśli można tak powiedzieć – aż za bardzo.

I ty zostaniesz Czerwonym Kapturkiem

Oto garść sugestii wprost z trzewi internetu dla tych, którzy chcieliby wnieść do codzienności bliskich sobie seniorów nieco więcej światła. Na pierwszym miejscu malowanie, rysowanie, rzeźba. Dlaczego? Bo nie trzeba talentu, jak zauważa nakarmiony stereotypami ChatGPT, jeno podstawowych narzędzi plastycznych do wyrażania siebie samego. Dalej mamy rękodzieło, zwłaszcza robótki ręczne, które świetnie wpływają na nadgryzioną zębem czasu motorykę. Nie może również zabraknąć pamiętnikarstwa: seniorów warto zatrudnić do zapisywania wspomnień, aby w ten sposób gimnastykowali umysł i pamięć. A może odrobinę kultury?

Oczywiście, starsi członkowie społeczeństwa mogą – sufluje pewna swej inteligencji sztuczność – odtwarzać „proste scenki teatralne” dla najbliższych, bo

w ten sposób również zagonią zwoje mózgowe do roboty. Mniejsza nawet o skandaliczne z gruntu założenie, że ktoś w wieku emerytalnym poradzi sobie najwyżej z „prostą scenką". Znamienna w tej ostatniej poradzie jest funkcjonalna i społecznościowa etykietka, którą ewentualnym seniorskim ambicjom artystycznym dokleiła od razu internetowa mądrość zbiorowa. Jeśli jesteś na emeryturze, na scenie teatralnej możesz chcieć stanąć jedynie po to, by zagrać dla wnuczka lub wnusi babcię z Czerwonego Kapturka lub inną bajkową postać. Bo kto by chciał grać po sześćdziesiątce Hamleta lub deklamować Wielką Improwizację?

Klątwa babci i dziadka

Według najnowszego spisu powszechnego w Polsce mieszka już 10,1 mln osób w wieku powyżej 60 lat. Tymczasem w naszej mentalności, ale też w przestrzeni publicznej, polski senior z rzadka pojawia się jako odrębny byt, z własnymi planami na przyszłość, aspiracjami, prawem do odrębnego zdania. Najczęściej posługujemy się figurą starszej osoby albo pod opieką bliskich, albo przeciwnie – opiekującego się wnukami. To odpodmiotowienie słychać nawet w potocznej polszczyźnie, która osoby w podeszłym wieku nazywa najczęściej – trochę z czułością, ale i lekceważąco – babcią i dziadkiem. Problem, o którym mowa, korzeniami sięga oczywiście epoki, w której rodzina wielopokoleniowa była fundamentem polskiego społeczeństwa, a najstarsi jej członkowie pełnili w niej funkcje ograniczone właśnie do opieki nad wnuczętami; ewentualnie sami potrzebowali opieki. Z tamtych czasów zostały nam jednak wyłącznie bukoliczne teksty kultury w rodzaju „Samych swoich". Dziadek i babcia częściej mieszkają dziś na drugim krańcu Polski niż w drugim pokoju. Do tego coraz częściej w pojedynkę. Z danych przywołanego już spisu powszechnego wynika, że wśród 3,7 mln jednoosobowych polskich gospodarstw domowych aż połowę stanowią właśnie gospodarstwa osób po sześćdziesiątce.

Schorowany jak Polak

Pokolenie, które wprowadziło Polskę do grona krajów wysoko rozwiniętych, udany pościg za Zachodem opłaciło wypaleniem, a nierzadko też fizycznym wyniszczeniem. W drugiej edycji ogólnopolskiego badania PolSenior przeprowadzonego wśród osób w wieku od 55 do 64 lat, aż 18 proc. Polaków oceniło swój stan zdrowia jako zły lub bardzo zły, podczas gdy w całej Unii takiej samej odpowiedzi udzielało 11 proc. ich rówieśników. Statystyczny polski 62-latek w chwili przejścia na emeryturę ma za sobą średnio 34 lata pracy, aż siedem więcej od przeciętnego Norwega. Ale i to się zmienia. W polskiej gospodarce, która przez dekady stała głównie rolnictwem i przemysłem ciężkim, a więc gałęziami eksploatującymi pracowników bardziej niż inne branże, coraz więcej osób znajduje dziś zatrudnienie w fizycznie mniej wymagających usługach.

Na przestrzeni trzech ostatnich dekad odsetek Polaków pracujących w tym sektorze wzrósł niemal dwukrotnie. Polscy seniorzy będą więc żyć coraz dłużej i w coraz lepszym zdrowiu. Czas więc oddać im ich srebrne lata, bo na nich uwłaszczyła się reszta społeczeństwa.

Wyróżnieni na siłę

Badacze społeczni, którzy przyglądają się polskiej starości, od jakiegoś czasu powtarzają, że najlepsze, co można zrobić dla naszych seniorów, to przestać na siłę wyróżniać ich z reszty dorosłej populacji. Na siłę – bo codzienność siedemdziesięciolatka często niewiele różni się od trybu życia osoby młodszej o dwie dekady. Tę samą unifikację wzorców zachowań, mód, upodobań i zainteresowań, którą od pewnego czasu da się zaobserwować w dolnych kohortach wiekowych polskiego społeczeństwa, widać od dawna również wśród starszych. Swoją jakość życia – jak podkreśla pedagożka prof. Grażyna Bartkowiak – starsi Polacy coraz częściej oceniają w odniesieniu do spektrum zjawisk, na które nie składają się już tylko czynniki czysto zdrowotne i kwestie bytowe. Równie istotna staje się także możliwość samorealizacji, kontynuacji zainteresowań, aktywności towarzyskiej, a także życia duchowego.

Polski „dziadek" i „babcia" Anno Domini 2025 czują się po prostu na mniej lat, niż gotowa jest im dać reszta społeczeństwa. Owszem, w polskim słowniku i dyskursie zadomowił się już termin „ejdżyzm" (ang. *ageism*), ale bez szerszych konsekwencji praktycznych. Nie tak przecież dawno przed wyborami cała Polska podrzucała sobie chichotliwie radę, aby „schować babci dowód" i w ten sposób pozbawić ją możliwości skorzystania z praw obywatelskich. Wyobraźmy sobie podobny postulat wystrzelony choćby w formie żartu w kierunku osiemnasto-dziewiętnastolatków.

Bez pozwolenia

Uczestnicy warsztatów pod roboczym tytułem „Tygodnik Trzeciego Wieku", które na początku października zorganizowała redakcja „Tygodnika Powszechnego" dla słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku UJ, są doskonałym przykładem owego seniora nowego wzoru. W redakcji mieliśmy przyjemność gościć przez kilka godzin piętnaście osób, które nie tylko fizycznie nie pasowały do stereotypowych, jakże krzywdzących wyobrażeń o osobach w podeszłym wieku. Spotkaliśmy się z grupą niezwykle interesujących, wrażliwych i ciekawych świata ludzi, którym nie trzeba tłumaczyć, że emerytura to nie koniec aktywności, lecz kolejny jej etap. Uderzające było i to, że nasi goście i gościnie byli po prostu sobą. Nie zamierzali prosić o pozwolenie na wyjście z ram stereotypowego seniora. Oni tych ram po prostu nie dostrzegają. Oczekują poważnego, partnerskiego traktowania, nie pobłażania. Takich dojrzałych Polaków będzie coraz więcej. W ciągu najbliższych dwóch dekad odsetek osób po sześćdziesiątce w społeczeństwie ulegnie niemal podwojeniu. Pora więc, by do seniorów dojrzała i Polska. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 43/2025
REDAKCJA: Marek Rabij | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska, Mateusz Gawron
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: DAVOR GEBER / SHUTTERSTOCK

PARTNERZY
Mazowsze. serce Polski
think!
MELISANA Klosterfrau Original

Starsze życie

ALEKSANDRA LAUDAŃSKA, INNOWATORKA SPOŁECZNA:

Seniorzy mają jakościowe potrzeby. Chcą dobrej rozrywki oraz inspirujących rzeczy, które będą ich rozwijać. Dla nas największym wyzwaniem jest zaktywizowanie tych nieaktywnych.

EWELINA BURDA: „Senior" – lubi Pani to słowo?

ALEKSANDRA LAUDAŃSKA: Kiedyś bardzo go nie lubiłam. Bo „senior" z automatu traktowany był jak ten, który wymaga opieki i pomocy. Ktoś, kto nic już nie może, więc nie warto mu niczego oferować. Do języka przez ostatnie lata weszło sporo nowych słów: pojawili się „silversi", tacy wielkomiejscy i nowocześni, zaczęto mówić o „osobach dojrzałych" zamiast „osobach starszych", zaczęła się przebijać wiekopozytywność. „Senior" dostał nowe towarzystwo, które mu pomogło.

Oswoiliśmy to słowo?

Ja sama po menopauzie zrobiłam się mniej restrykcyjna we wszystkim (*śmiech*) i słowa „senior" dziś już używam bez niechęci. Staram się też nie dzielić ludzi pod względem wieku. Uważam, że w środku pozostajemy tacy sami. Ja działam dla seniorów i nie ucieknę od tego słowa. I nie trzeba tego robić, bo dużo dobrej pracy zostało wykonane, by je odczarować.

Rozmawiałam o tym kiedyś z Carlem Honorè, kanadyjskim dziennikarzem, który zajmuje się m.in. tematyką senioralną: czy powinniśmy wymyślać nowe określenia na tę grupę wiekową, czy walczyć o zmianę wydźwięku tych, które już są w języku. Wniosek? Powinno się działać równolegle. Ja ostatnio zainspirowałam się określeniem z memów i mówię, że osoba w wieku senioralnym to jest taki „dorosły Pro Max".

A gdzie przebiega granica, za którą jest się już „seniorem"?

Uważam, że można tu przyjąć granicę wieku emerytalnego. To jest oczywiście bardzo zróżnicowane, kiedy my sami zaczynamy się czuć seniorami, ale emerytura jest czymś wspólnym, bez względu na szereg różnic między nami. To ogromna zmiana w życiu, moment, w którym trzeba znaleźć na siebie nowy sposób.

I jak go znaleźć?

W długowieczności siedzę od dawna i ciekawe podejście ma tu Daniel Levitin, który w książce „Successful Aging" punktuje, że jeśli chcesz być zdrowy i długo żyć, to nie przestawaj pracować. Oczywiście to może być dalej nasza praca zawodowa albo jakieś nowe zajęcie. Bo czasami ludzie naprawdę nienawidzą swojej pracy, jest dla nich obciążająca psychicznie lub fizycznie. Powinniśmy robić coś, co daje sens. Poczucie, że jesteś częścią społeczeństwa i to potrzebną częścią, jest budujące, może więc to być wolontariat, nie praca zarobkowa. Jednak dla wielu seniorów w Polsce determinujące są kwestie bytowe: pracować dalej muszą.

I w tym ma pomagać „aktywizacja seniorów" – co się kryje za tym terminem?

Ja w ludziach dojrzałych widzę ogromny apetyt na życie. Grupa, która ma kalendarze wypełnione nie tylko stereotypowymi wizytami u lekarzy – choć to oczywiście jest ważna sfera życia – jest coraz liczniejsza. Ale badania pokazują jasno: wciąż połowa seniorów w Polsce jest nieaktywna. I najtrudniejsze jest zaktywizowanie tych nieaktywnych. Nie chodzi tu o uszczęśliwianie na siłę, ale o zachęcanie, inspirowanie, żeby wyjść do ludzi. Badania jasno bowiem wskazują, że najbardziej zabójcza jest dla nas samotność. Jedno z ostatnich wykazało, że np. dyscypliny sportowe wykonywane w grupie lub parze bardziej wydłużają życie niż te wykonywane w pojedynkę.

Aktywizacja seniorów ma pomagać budować relacje, bo wymiana energii, myśli z drugim człowiekiem nas napędza. Zachęca do tego, by wyjść z domu, wyszykować się – po pandemii chyba wszyscy zrozumieliśmy, że to ważne.

Co jest tu największym wyzwaniem?

Problemem jest traktowanie seniorów jako jednej hermetycznej grupy. Z badań i obserwacji osób pracujących z nimi jasno wynika, że to grupa bardzo różnicowa. Mamy często aż trzy pokolenia, z różnymi doświadczeniami, osobowościami, poglądami. Więc prowadzenie aktywizacji musi być zróżnicowane.

To co może dziś robić polski senior?

Wachlarz aktywności, także tych bezpłatnych, jest ogromny, dziś chyba możemy wpisać tam naprawdę wszystko: od propozycji kulturalnych i kulinarnych do sportowych i podróżniczych. Bardzo często to nie sam rodzaj aktywności przyciąga, lecz aktywność jako taka. Ja działam głównie w Warszawie, ale mam też kontakt z innymi miejscami. I tym, co je łączy, jest to, że dominującymi uczestniczkami tych aktywności są kobiety. Częściowo wiąże się to z tym, że kobiety żyją dłużej, więc jest ich w tej grupie senioralnej więcej, ale nie tylko. Tu bardzo widać tę „postmenopauzalną werwę", o której często mówię. Z mojego doświadczenia wynika, że mężczyźni aktywizują się częściej wokół grup zawodowych: znam np. świetne koło emerytowanych wojskowych już w dojrzałym wieku.

Przykład ode mnie: od siedmiu lat tworzymy z osobami od sześćdziesiątki do osiemdziesiątki warszawski miesięcznik seniorów „#Pokolenia". Jest to aktywność rozwojowa dla tych, którzy go tworzą, i dla odbiorców. Mamy 12 tysięcy nakładu, pismo jest bezpłatne, dystrybuujemy je w urzędach dzielnicowych, CAM-ach [Centrach Aktywności Międzypokoleniowej – red.], przychodniach itp.

A jak wyglądają te różnice między dużymi miastami a małymi ośrodkami?

Znowu można tu popatrzeć stereotypowo: większe miasta, większe szanse.

Ale to nie do końca prawda. W mniejszych ośrodkach aktywizacja jest inna, bo trafia się też do grup często dużo bardziej ze sobą zżytych, więzi sąsiedzkie są tam silniejsze. I łatwiej o to, żeby jedna osoba pociągała do aktywności drugą.

W skutecznej aktywizacji nie chodzi o to, żeby wymyślać struktury na nowo – bo biorąc za przykład wsie, tam od lat są koła gospodyń, ochotnicze straże pożarne. Trzeba budować na tym, co jest. I tak na spotkania koła gospodyń wiejskich przyjeżdża fizjoterapeutka uroginekologiczna, jest joga, pilates. I to wcale nie kłóci się z tym, że dalej panie gotują tradycyjne potrawy. Wyjazdy na pielgrzymki, które są połączone z wycieczkami krajoznawczymi: to przyciąga szerszą grupę.

Kiedyś jedna silver-influencerka opowiadała mi, jak pojechała na spotkanie do pań w małej gminie. Miała opowiedzieć im, jakie fajne rzeczy można robić w dojrzałości. I mówiła, że była to dla niej wielka lekcja pokory, bo te kobiety robiły to wszystko, do czego tak chciała je zachęcić ze swojej miejskiej perspektywy.

A jak wyglądają kwestie finansowania tych aktywności? Grupa seniorów, która ma bardzo niskie emerytury, jest duża.

Rosnące są oba rynki: prywatny i publiczny. Ten drugi bardzo napędza współpraca NGO-sów z samorządami, tam są ludzie, którzy bardzo dobrze rozumieją, jak pozyskiwać też środki unijne, nie tylko doraźnie, ale na duże projekty, powstają centra międzypokoleniowe. Więc jeśli cały czas mówimy o tej grupie niezaktywizowanej, to problemem coraz mniejszym jest dostępność finansowa. I ja mówię to z przekonaniem i wiedzą: można robić masę rzeczy nie płacąc za to bądź płacąc naprawdę symboliczne kwoty.

Korzystanie z oferty senioralnej to jedno, a inną sprawą jest obecność seniorów w życiu kulturalnym. Kultura w Polsce jest zaś droga: nawet mimo zniżek dla tej grupy.

Kiedy jestem proszona o konsultacje, jak mieć pełną widownię na wydarzeniu kulturalnym, mówię: „Skieruj ofertę do seniorów!". Przykładem działań, które uważam za wartościowe, są m.in. te w Muzeum Literatury w Warszawie, gdzie działa Literacka Akademia Seniora, czy Klub Seniorów i Seniorek Nowoczesnych przy MSN. Seniorzy mają jakościowe potrzeby: chcą porządnej rozrywki, dobrej lektury oraz inspirujących rzeczy, które dalej ich rozwijają.



ANNA NIEŻYCHOWSKA

ALEKSANDRA LAUDAŃSKA – dziennikarka, edukatorka i innowatorka społeczna. Redaktorka naczelna warszawskiego miesięcznika seniorów „#Pokolenia", twórczyni Mameno – e-douli menopauzy, autorka książki „Biohacking menopauzy. Zrozum zmianę, zaakceptuj ją i żyj długo w zdrowiu". Studiuje zdrowie publiczne, żeby zawodowo zająć się profilaktyką zdrowotną. Nominowana do tytułu Warszawianka Roku 2025.

A co powinno w tym obszarze robić państwo?

Na pewno nie można wszystkiego zostawić NGO-som, nawet dobrze dofinansowanym. Z ostatnich działań politycznych środowisko senioralne niezbyt dobrze przyjęło likwidację stanowiska minister ds. polityki senioralnej. Pani Marzena Okła-Drewnowicz, którą dobrze oceniano, prowadzi teraz działania już inaczej osadzona w strukturach, ale symbolicznie jest to wymowne. Aktualnie trwają prace nad najmem senioralnym, wokół tematu jest bardzo wiele pytań. Ja mam przekonanie, że wiele rzeczy wystartowało za późno. To, że społeczeństwo się nam starzeje, widać było w tabelach GUS 20 lat temu. Gdy zaczynałam wiele lat temu z projektem „Wolni od metryki", gdzie szukałam aktywnych starszych ludzi, to było coś nietypowego. Znajomi śmiali się, że ja mam jakiś fetysz geriatryczny. Od tego minęło już wiele lat, dziś jestem po pięćdziesiątce i sama zmierzam już w tamtą stronę. Dziś jest lepiej niż wtedy, ale wciąż nieidealnie.

A skąd to zainteresowanie się u Pani wzięło?

Jako dziecko mnóstwo czasu spędzałam z dziadkami, pradziadkami. Nie było w okolicy dzieci w moim wieku, tylko ja i oni. Mój dziadek był pszczelarzem, kręciło się wokół niego całe środowisko, przyjeżdżały wycieczki. Kiedyś doszłam do wniosku, że skoro moi pradziadkowie tak długo żyją, dziadkowie są w dobrej formie, to i ja pewnie będę długo żyć. I ta myśl została ze mną. Potem dołączyła do niej druga: jak to zrobić, żeby to życie jak najdłużej było fajne i dobre. I bez lekarstw. (*śmiech*)

Jedna symboliczna dla mnie sytuacja: jechałam metrem, obok ktoś czytał „Gazetę Wyborczą". Zobaczyłam tytuł artykułu, który mnie uderzył: „Polacy nie planują swojej starości". To było 17 lat temu. Od tego czasu dużo się zmieniło: nowe pokolenia weszły do grupy seniorów, na babciach i dziadkach w znacznie mniejszym stopniu opiera się opieka nad wnukami, ale sam temat planowania swojej starości wciąż nie wydaje się czymś naturalnym i oczywistym.

Modny jest slogan, że „wiek nie powinien nas ograniczać". Ale to przecież nie jest do końca prawda.

Od starzenia się nie uciekniemy. Ale możemy zadbać o swój organizm, żeby jak najdłużej było dobrze. Teraz organizuję zajęcia z funkcjonalnego treningu siłowego dla grupy 70 plus. Kiedyś od jednej z bardzo eleganckich starszych pań usłyszałam, że to poniżej jej godności machać tak ciężarkami. Ale czy za dziesięć lat nie będzie poniżej jej godności, że będzie potrzebowała asysty, by skorzystać z toalety? Bez ruchu wpadamy w cykl geriatryczny: unikamy go, bo ruch jest przecież dla sprawnych, młodych, boimy się zadyszki, szybszego bicia serca. A my jesteśmy biomaszynami, musimy się ruszać. Mięśnie z wiekiem słabną, galopują sarkopenia i osteoporoza – odsetek ludzi, którzy umierają w rok po złamaniach szyjki kości biodrowej, to aż 30 proc. Moją mamę cztery lata temu wyciągnęłam na siłownię. Zrobiłam to także z pobudek egoistycznych. Bo jeśli zdarzy się coś losowego, to będę pomagać jej, jak tylko potrafię. Ale jeśli sama dalej może zawalczyć o tę sprawność i niezależność, to dlaczego nie? ©℗

WIEDZA, CZUJNOŚĆ I CZAS

Twoje tarcze ochronne w cyfrowym świecie

Oszuści wiedzą, że wielu z nas wychowało się w czasach, gdy pieniądze miały jedynie fizyczną postać. Teraz – gdy są tylko cyframi na ekranie – o wiele łatwiej jest nam uwierzyć, że można je pomnożyć w cudowny sposób.



FUNDACJA THINK / MATERIAŁY PRASOWE X2

Wielu z nas słyszało taką historię. Może opowiedział ją przyjaciel – z lekkim wstydem, że „dał się nabrać". Albo czytaliśmy w prasie, gdy ofiarami padły setki osób, którym z kont zniknął dorobek życia. To nie są pojedyncze przypadki. Według NBP, w Polsce w 2024 r. dokonano ponad 437 tysięcy oszustw bezgotówkowych na łączną kwotę ponad 654 milionów złotych. W dzisiejszych czasach noszą one nazwę cyberoszustwa.

Wiek XXI przyniósł nie tylko internet, bankowość elektroniczną, ale także nowe formy zagrożeń. To, co niegdyś robił kieszonkowiec w autobusie lub na zatłoczonej ulicy, dziś dzieje się za sprawą esemesa z rzekomym linkiem do „banku". Złodziej nie musi już czyhać na ofiarę w ciemnej bramie. Działa zza ekranu smartfona, zdalnie – co kilka minut ktoś staje się celem próby wyłudzenia.

Jedno kliknięcie, jedno pochopne „tak" w rozmowie telefonicznej i możemy utracić oszczędności. I nie ma znaczenia, czy mamy dyplom uczelni, czy całe życie spędziliśmy w zawodzie technicznym – wobec manipulacji jesteśmy zaskakująco podobni. Różnimy się doświadczeniami, ale emocje – te same – oszuści potrafią rozbudzić w każdym.

Uniwersum oszustów

Pułapki finansowe mają wiele twarzy. Czasem to telefon z propozycją „pewnej inwestycji", czasem e-mail prowadzący do fałszywej strony banku. Bywa, że ktoś dzwoni jako „pracownik urzędu skarbowego" albo podszywa się pod członka rodziny. Niektórzy posuwają się jeszcze dalej – dzwonią ponownie jako „kancelaria", która chce nam pomóc odzyskać utracone pieniądze. Wszystko to opiera się na emocjach: strachu, nadziei, pragnieniu pomocy.

CZERWONE LAMPKI TWÓJ TEST BEZPIECZEŃSTWA

- Czy znam tę osobę naprawdę?
- Czy ktoś mnie naciska, straszy lub obiecuje złote góry (to oferta tylko dla wybranych!)
- Czy chce ode mnie danych, hasła, albo pieniędzy?

Jeśli na którekolwiek z tych pytań odpowiesz „TAK" – **ZATRZYMAJ SIĘ!**

– Nikt nie jest całkowicie odporny na manipulację – ostrzega dr Konrad Maj, psycholog społeczny z Uniwersytetu SWPS.

O podatności decydują kontekst i emocje: zmęczenie, presja czasu, nadmiar bodźców. Gdy ktoś w takiej chwili proponuje rozwiązanie szybkie i bezpieczne, często nie włączamy analitycznego myślenia.

– Oszust wchodzi małymi krokami – od drobnej prośby czy ankiety, po coraz poważniejsze zobowiązania. Działa tu mechanizm tzw. stopy w drzwiach: jeśli zrobiliśmy krok A, trudniej nam odmówić kroku B – dodaje ekspert.

„Jak to możliwe, że ja – doświadczony człowiek – dałem się nabrać?" – to pytanie powtarza wielu, którzy padli ofiarą cyberoszustów.

Oszuści wiedzą, że wielu z nas wychowało się w czasach, gdy pieniądze miały jedynie fizyczną postać, a zaufanie budowało się przez uścisk dłoni i spojrzenie w oczy. Teraz wszystko dzieje się za pośrednictwem ekranu – i właśnie tam najłatwiej zasiać złudzenie. Nasze pieniądze są tylko cyframi na ekranie. Nie widzimy ich, nie dotykamy – więc łatwiej uwierzyć w ich „magiczne" pomnażanie. Głos w telefonie czy zdjęcie na ekranie może brzmieć i wyglądać jak ktoś z rodziny – choć to tylko cyfrowe podróbki (*deepfake*). Coraz częściej próbę wyłudzenia inicjuje „automat": ankieta, chatbot, wiadomość od „systemu bezpieczeństwa". Ufamy, bo maszyna wydaje się obiektywna i neutralna. Tymczasem za każdym takim działaniem stoi człowiek – z konkretnym celem.

Koszt postępu

Można by pomyśleć: to wszystko brzmi strasznie. Ale cyfrowy świat nie jest naszym wrogiem. Daje wygodę i oszczędza czas. Trzeba tylko znać jego zasady i poruszać się po nim świadomie – podobnie jak w przestrzeni miejskiej. Po zmroku chodzimy oświetloną stroną, trzymamy torbę bliżej ciała, nie wdajemy się w rozmowy z nieznajomymi. W sieci obowiązują te same zasady: uważność i zaufanie do sprawdzonych źródeł.

MATERIAŁ PARTNERA

Najważniejsze jest to, co mamy w zasięgu ręki: wiedza i czujność. Wiedza – bo rozumiejąc mechanizmy manipulacji, przestajemy się ich bać. Czujność – bo to ona pozwala zatrzymać się na chwilę przed kliknięciem w link, który „wygląda jak z banku".

Każdy z nas może wypracować własny zestaw codziennych rytuałów bezpieczeństwa: nie klikać pochopnie, nie ufać anonimowym wiadomościom, nie rozmawiać o finansach przez telefon z nieznajomymi.

Warto skupić się na nawykach, które nas ochronią.
- **Czas.** Chwila na oddech, sekundowe „zatrzymanie się" i proste pytanie: czy to na pewno ma sens? – często wystarczy, by przerwać manipulacyjny scenariusz.
- **Weryfikacja źródła.** Jeśli ktoś twierdzi, że dzwoni z banku – rozłączmy się i sami zadzwońmy na oficjalny numer infolinii. Jeśli wiadomość zawiera link – nie klikajmy, tylko sami wpiszmy adres strony.
- **Oszczędność informacji.** Warto ograniczać ilość danych, jakie podajemy przez telefon czy internet – czy to w zabawowej ankiecie, czy w odpowiedzi na ofertę doraźnych korzyści.

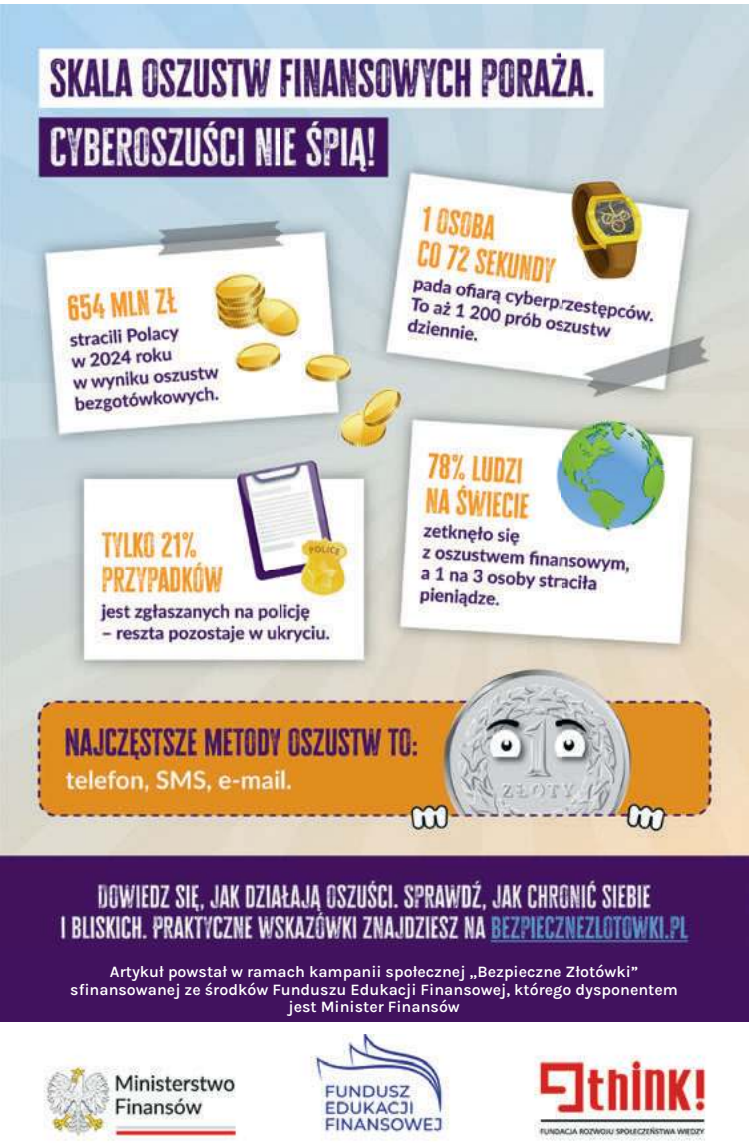

CODZIENNE NAWYKI, KTÓRE CHRONIĄ

- **Nie spiesz się.** Pośpiech to największy sprzymierzeniec oszustów.
- **Hasła trzymaj dla siebie.** Bank nigdy nie poprosi o pełne hasło telefonicznie.
- **Nie klikaj w linki z SMS i e-maili.** Nawet jeśli wyglądają „urzędowo".
- **Miej zaufaną osobę do konsultacji.** Wnuk, córka, sąsiad – ktoś, do kogo zadzwonisz w razie wątpliwości.
- **Sprawdzaj aktualne informacje.** W internecie są miejsca, które rzetelnie ostrzegają przed nowymi metodami (np. bezpiecznezlotowki.pl, cert.pl).

Wstyd to kraść, a nie być okradzionym

Osoby, które tracą dorobek życia czy pokaźną fortunę za sprawą oszustwa, mierzą się z czymś więcej niż utratą pieniędzy. Piotr Pawłowski, psycholog i psychoterapeuta z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, podkreśla, że ofiary oszustw finansowych zmagają się z trudnymi emocjami: – Wstyd, który każe milczeć i ukrywać prawdę nawet przed najbliższymi. Milczenie jest sprzymierzeńcem oszustów. Dlatego tak ważne jest, by mówić. Do rodziny, do przyjaciół, do specjalistów. Nie po to, by się usprawiedliwiać – ale by odzyskać sprawczość.

Czasem wystarczy proste: „To nie twoja wina" albo „Zadzwońmy razem do banku". Ważne, by nie obwiniać, nie moralizować i nie oceniać. Gdy ktoś, kto stracił oszczędności, słyszy: „Jak mogłeś się nabrać?", upokorzenie tylko rośnie. Ulec manipulacji może każdy – młody i starszy, lepiej i słabiej wykształcony. Oszuści wykorzystują uniwersalne ludzkie odruchy.

Nie chodzi o to, by się bać. Chodzi o to, by wiedzieć. Zanim podejmiemy decyzję, zatrzymajmy się, sprawdźmy, zapytajmy: „Czy to, co właśnie słyszę lub widzę, na pewno jest tym, za co się podaje?". To nie oznaka słabości – to przejaw dojrzałości.

– Każdy z nas może stać się celem – mówi Anna Bichta, prezeska Fundacji Think! – Z tej świadomości zrodziła się realizowana przez naszą Fundację kampania „Bezpieczne Złotówki". Gromadzimy praktyczne porady ekspertów i opracowania, które pomagają zrozumieć mechanizmy manipulacji i odzyskać poczucie sprawczości. Nasze materiały powstały również z myślą o seniorach i osobach, które z racji wieku są bardziej narażone na wykluczenie cyfrowe. Często wystarczy przyswoić kilka prostych zasad, aby skutecznie obronić się przed wyrafinowanymi metodami przestępców.

To wiedza, która pozwala zachować spokój i kontrolę – a to dziś najcenniejsza waluta w świecie cyfrowym.

Masz prawo, seniorze

DR MIKOŁAJ IWAŃSKI, PRAWNIK:

Starsi Polacy nieźle posługują się już nowoczesnymi technologiami, ale ze względu na wiek w niuanse raczej nie wchodzą. Dlatego często nie zdają sobie sprawy z zagrożeń związanych z funkcjonowaniem w wirtualnym świecie.

BARTŁOMIEJ MAYER: Określa Pan siebie jako entuzjastę edukacji prawnej.

MIKOŁAJ IWAŃSKI: Tak. I właśnie jako gorący zwolennik tego typu edukacji staram się przekazywać swoją wiedzę i doświadczenie innym. Od ponad roku w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia, gdzie pracuję, prowadzimy bardzo prężnie działający program edukacyjny dla uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych. Tylko w zeszłym roku szkolnym gościliśmy u nas ponad 200 klas, co uważam za bardzo duże osiągnięcie.

Oprócz tego od czasu do czasu prowadzę warsztaty dla osób starszych.

Wydawać by się mogło, że kwestie prawne częściej dotyczą osób, które nie są już nastolatkami, ale nie są jeszcze seniorami. Skąd więc wybór właśnie tych dwóch grup wiekowych?

Plaga naszych czasów to przestępstwa dokonywane w przestrzeni wirtualnej. A właśnie najmłodsi i najstarsi użytkownicy telefonów i komputerów są najbardziej podatni na takie niebezpieczeństwa. Oczywiście specyfika każdej z tych grup wiekowych jest inna. W przypadku seniorów na pierwszy plan wysuwa się to, że mówimy o osobach mniej zorientowanych i obytych w świecie cyfrowym. Owszem, czasami posługują się one – i to całkiem nieźle – nowoczesnymi technologiami. Jednak właśnie ze względu na swój wiek w niuanse raczej nie wchodzą. Dlatego też często nie zdają sobie sprawy z zagrożeń, jakie mogą się wiązać z funkcjonowaniem w wirtualnym świecie.

Z kolei dzieci – w przeciwieństwie do seniorów – są w zasadzie „podłączone do sieci" non-stop, *gros* czasu spędzają ze smartfonami w ręku. Problem w tym, że nawet jeśli uświadamiają sobie czyhające niebezpieczeństwa, podchodzą do nich bardzo beztrosko. Dlatego uważam, że szkolenia czy warsztaty adresowane właśnie do tych dwóch grup wiekowych mogą mieć ogromny walor prewencyjny.

Każda z tych grup naraża się też chyba na innego rodzaju zagrożenia?

Jak najbardziej. W przypadku młodzieży w grę wchodzi głównie hejt. Spotykając się z uczniami, zwłaszcza tymi ze starszych klas, bardzo dużo mówimy również o kwestiach związanych z prywatnością czy wręcz intymnością w sieci. A w przypadku osób starszych kluczową kwestią jest ryzyko oszustw finansowych czy wyłudzeń „na wnuczka", „na policjanta" itp.

Jednak przy takich próbach przestępcy wykorzystują chyba głównie telefony.

Owszem, ale po pierwsze tego typu wyłudzenia coraz częściej dotyczą bankowości internetowej. A po drugie oszuści korzystają nie tylko z telefonów, ale posiłkują się także bardzo nowoczesnymi rozwiązaniami technologicznymi. Ostatnio coraz więcej mówi się w tym kontekście o użyciu sztucznej inteligencji. To przy jej pomocy przestępcy np. kopiują głos innych osób i podszywają się pod nie, próbując na przykład wyłudzić pieniądze. Często nie zdajemy sobie sprawy, że wystarczy do tego nawet krótkie nagranie audio – także ściągnięte z internetu, w tym z mediów społecznościowych – by odpowiedni algorytm sztucznej inteligencji pozwolił „wypowiadać" dowolne frazy głosem innej osoby. Może to być nasz krewny, znajomy, przyjaciel, kolega z pracy. Stąd już tylko krok do tego, by dać się złapać takiemu oszustowi.

Bardzo dobrze, że media dużo mówią o takich przestępstwach i przestrzegają przed oszustami. To zwiększa ostrożność starszych osób. Seniorzy coraz częściej wiedzą, co robić w tego typu sytuacjach. Ostatnio jedna z uczestniczek warsztatów, które prowadziłem, opowiedziała, że próbowano ją oszukać w taki właśnie sposób. Szybko zorientowała się, w czym rzecz, i poprosiła męża, aby z drugiego telefonu powiadomił policję, co się dzieje. Była okazja, aby złapać przestępcę na gorącym uczynku, jednak funkcjonariusz zbagatelizował problem. Mam tylko nadzieję, że takie reakcje, czy właściwie ich brak, to już rzadkość.

Bo oczywiście organy ścigania coraz bardziej się profesjonalizują także w kwestii zapobiegania takim oszustwom. Powstają szczególnego rodzaju specjalistyczne jednostki zarówno w prokuraturze, jak i w policji, które zajmują się ściganiem tego typu przestępstw. Jednak trzeba pamiętać, że oszuści też nie śpią i są zazwyczaj o krok – czy choćby pół kroku – przed stróżami prawa.

Tacy oszuści najczęściej stosują metodę „na wnuczka" oraz „na policjanta" lub „na pracownika banku". Zapewne istotne jest więc to, żeby uświadomić sobie, o co – zgodnie z literą prawa – mogą prosić takie osoby dzwoniąc do nas, a czego żądać nie mają prawa.

To faktycznie bardzo istotny aspekt ochrony przed przestępcami. Oczywiście żaden policjant ani przedstawiciel banku nie ma prawa wymagać od nas haseł do naszego konta internetowego, numeru PIN karty czy czegokolwiek innego, co dałoby dostęp do naszych pieniędzy. Trzeba o tym koniecznie pamiętać – to podstawa.

Generalnie zakres spraw, z którymi pracownicy banków telefonują do klientów, jest dość wąski. Mogą proponować nam skorzystanie z jakichś promocji lub nowych usług, ale tylko wtedy, jeśli wcześniej pisemnie wyraziliśmy na to zgodę. Oczywiście, jeśli zalegamy z płatnościami, może do nas zadzwonić rów-



SEBASTIAN DUDEK

Na warsztatach seniorów w redakcji „Tygodnika Powszechnego". Kraków, 3 października 2025 r.

nież przedstawiciel działu windykacji. Ale w żadnym przypadku bank nie będzie żądał od nas dostępu do rachunku czy prosił o dane do logowania. Jeżeli ktoś dzwoni lub pisze, podając się za przedstawiciela banku, i prosi o takie informacje, to sygnał alarmowy – to na pewno oszustwo.

Które z historii, jakie Pan opowiada podczas warsztatów dla osób starszych, budzą najwięcej emocji wśród słuchaczy? Co ich najbardziej zaintrygowało?

Oprócz spraw związanych z pieniędzmi, zdecydowanie najżywiej audytorium reaguje na tematy związane z podszywaniem się pod inne osoby i przejmowaniem kont w mediach społecznościowych. Wiele osób nie zdaje sobie sprawy, że wystarczy kliknąć w niebezpieczny link, by stracić dostęp do swojego profilu. Potem przestępcy wykorzystują przejęte konto do rozsyłania fałszywych wiadomości.

Ma Pan na myśli te wiadomości o rzekomych „superofertach" w sklepach internetowych?

Właśnie to. Sam niedawno dostałem z konta kolegi tego typu wiadomość. Coś w stylu: „Byłem na świetnej wycieczce, w tym biurze mają teraz rewelacyjną promocję, skorzystaj" – i link. Wyglądało to dość podejrzanie, zwłaszcza że informacja była mało konkretna i niespersonalizowana, taka nie wiadomo do kogo. Oczywiście nie kliknąłem w link. Potem dowiedziałem się zresztą, że konto tego kolegi zostało zhakowane.

Ale wiele osób często bezrefleksyjnie i instynktownie instaluje w ten sposób złośliwe oprogramowanie, które może dać przestępcom dostęp do telefonu, komputera, a w efekcie – do konta bankowego.

Ofiarą oszustwa można też paść, robiąc zakupy przez internet. I to również może być problem dotyczący osób w starszym wieku, bo przecież i one coraz chętniej kupują w sieci.

Dlatego to kolejny temat, który poruszam podczas warsztatów. Zanim zacznie się korzystać z oferty sklepów internetowych, warto zapoznać się z tym, jakie są konsumenckie uprawnienia w świecie wirtualnym. Generalnie mówimy tu o zakupach dokonywanych zdalnie, czyli nie tylko przez internet, ale także przez telefon. Podstawowa sprawa to prawo odstąpienia od transakcji bez podania powodu w terminie 14 dni. Warto o tym pamiętać i pilnować, by nie przegapić tych dwóch tygodni, bo po ich upływie odzyskanie pieniędzy może być trudne. Najczęściej dotyczy to sytuacji, gdy płacimy za towar, którego z jakiegoś powodu nie otrzymujemy, albo dostajemy coś zupełnie innego niż w ofercie.

Osobna kwestia to grasujący w sieci oszuści czy pseudosklepy. Wtedy sprawa może mieć charakter karny. Tu w sukurs przychodzą nam internetowe platformy, które oferują rodzaj „zamrożenia płatności". Pieniądze nie trafiają bezpośrednio do sprzedawcy, ale dopiero wtedy, gdy towar do nas dotrze i stwierdzimy, że wszystko jest OK. Wtedy dopiero finalizujemy transakcję. Polecałbym ten sposób zakupów zwłaszcza osobom, które nie mają dużego doświadczenia w dokonywaniu zakupów przez internet. Generalnie bowiem potrzebna jest nie tylko znajomość prawa, lecz także zdrowy rozsądek i czujność.

Zostawmy świat wirtualny i wróćmy do tego, który jest chyba wciąż bliższy polskim seniorom. Tu na pierwszy plan wysuwa się kwestia spadku i dziedziczenia.

Tak, to bardzo istotna sprawa i wcale nie taka oczywista, jak mogłoby się wydawać. Spora część moich słuchaczy miała mylne wyobrażenia na ten temat.

Co było największym zaskoczeniem dla Pana audytorium?

Na przykład kwestia testamentu. Polskie prawo wymaga – jest to jedyny tego typu przypadek w naszym ustawodawstwie – aby samodzielnie sporządzony testament był w całości, od początku do końca spisany pismem ręcznym. Nie na komputerze, nie na maszynie, tylko właśnie odręcznie. Musi być oczywiście opatrzony datą i podpisany. Chodzi oczywiście o jak najstaranniejsze zabezpieczenie woli spadkodawcy. I właśnie konieczność odręcznego spisania testamentu dla ważności tego dokumentu jest wciąż dla wielu osób sporym zaskoczeniem.

To jednak może być spory problem dla kogoś, kto na przykład słabo widzi albo ma problemy ruchowe.

Dlatego mamy również – i tę formę zalecałbym bardziej – testament notarialny. Choć oczywiście z prawnego punktu widzenia wszystkie formy testamentu są równorzędne.

Dlaczego zatem ten spisany przed notariuszem Pan rekomenduje? Czy chodzi o to, że pozwala uniknąć błędów?

Są dwa zasadnicze powody. Jednym z nich jest faktycznie to, że sporządzenie testamentu w taki sposób gwarantuje, ↦

↦ iż będzie on w pełni zgodny z prawem. Notariusz ma bowiem obowiązek dopilnować, aby czynność notarialna była całkowicie legalna.

Ale jest też drugi aspekt. Chodzi o to, że testament można próbować podważyć, a jedną z przesłanek może być dowiedzenie, że spadkodawca w chwili spisywania swojej woli pozostawał pod wpływem osoby trzeciej. To może być wywierany przymus fizyczny lub inny – choćby szantaż. Kolejną przesłanką do ewentualnego podważenia testamentu jest stan wyłączający świadome albo swobodne powzięcie decyzji przez spadkodawcę.

I tu mamy kolejny obowiązek notariusza. Otóż powinien on upewnić się, czy osoba, która stawiła się przed nim w celu wyrażenia swojej woli co do rozporządzenia majątkiem, jest w takim stanie zdrowia i psychicznym, że może to zrobić świadomie i dobrowolnie.

Udział notariusza czasem może wręcz komplikować sytuację. Znajomy opowiadał mi o swojej cioci, która w wieku ponad 90 lat, po udarze mózgu, który wywołał u niej spore problemy z mową, zapragnęła zmienić swój testament. Notariusz spotkał się z seniorką, ale odmówił sporządzenia aktu. Stwierdził, że nie ma pewności, czy spadkodawczyni rzeczywiście wyraża taką wolę. Bariera komunikacyjna okazała się zbyt wysoka.

W mojej ocenie postąpił właściwie. Jeśli notariusz powziął wątpliwości co do dobrowolności decyzji o zmianie ostatniej woli albo miał problem ze zrozumieniem, na czym te zmiany mają polegać, nie mógł zrobić nic innego. Rozumiem, że dla rodziny sytuacja mogła być kłopotliwa, może nawet krępująca, ale prawo ma chronić integralność decyzji spadkodawcy. Zwrócę za to uwagę na inny aspekt tej sprawy. Warto zadbać o testament zawczasu, kiedy zdrowie pozwala sporządzić go bez podobnych nieprzyjemnych przygód.

Jeśli już mówimy o rozporządzaniu majątkiem, to warto wspomnieć o zachowku, bo to prawo bywa opacznie rozumiane. A przypomnę, że chodzi o swoistą rekompensatę dla osób, które z mocy prawa powinny dziedziczyć, ale zostały wydziedziczone.



SEBASTIAN DUDEK

DR MIKOŁAJ IWAŃSKI
jest asystentem na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także starszym referendarzem sądowym w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia.

Rzeczywiście różnie bywa z rozumieniem tej kwestii i dlatego podczas warsztatów ją wyjaśniam. Zachowek to instytucja wywodząca się jeszcze z prawa rzymskiego, która miała sprzyjać utrzymaniu majątków w rodzinie i zapobiegać jego wypływowi poza grono krewnych. W jej kontekście warto podkreślić dwie rzeczy. Po pierwsze, w ramach zachowku nie można uzyskać konkretnego składnika majątku, np. domu po rodzicach. Po drugie, wartość tego, co nam się należy jako zachowek, jest mniejsza, czasami nawet istotnie mniejsza niż to, co otrzymalibyśmy w ramach zwykłego spadkobrania ustawowego. Co do obu tych spraw panuje w naszym społeczeństwie sporo niedomówień i niejasności.

Pojawiają się jakieś inne problemy w kwestii dziedziczenia?

Zacznę od anegdoty. Otóż trafiłem ostatnio w mediach społecznościowych na wpis osoby – skądinąd bardzo dobrze wykształconej, ale nie w dziedzinie prawa – która oburzała się, że jest ścigana przez sąd, bo jej zmarły kuzyn zostawił spadek, a w nim prawie wyłącznie długi. Autor tego wpisu nie miał najwyraźniej świadomości, że nasze prawo przewiduje bardzo szeroki krąg spadkobierców ustawowych, że dziedziczy się nie tylko majątek, ale i długi, i że istnieje możliwość odrzucenia spadku, co zresztą nie jest niczym skomplikowanym. Ten wpis otworzył mi oczy i uświadomił, że kwestie, które dla mnie, jako prawnika, są oczywiste, dla innych wcale takie oczywiste nie muszą być. I utwierdził mnie też w przekonaniu, że naszemu społeczeństwu bardzo potrzebne jest podciągnięcie się w kwestiach prawnych.

Wspomniałem o tym, ponieważ właśnie odrzucenie spadku to problem, który również budzi duże zainteresowanie wśród moich słuchaczy na warsztatach. Zgodnie z polskim prawem po odrzuceniu spadku przez jednego spadkobiorcę, w jego miejsce wchodzą kolejni. W praktyce wygląda to najczęściej tak, że w nasze miejsce wchodzą nasze dzieci. W tej sytuacji najwłaściwsze byłoby zastosowanie tzw. kaskadowego odrzucenia spadku, tak aby niechciany spadek nie „uszczęśliwił" krewnych.

Wiosną tego roku podczas kampanii wyborczej cała Polska dowiedziała się o panu Jerzym, który w zamian za dożywotnią opiekę przekazał swoje mieszkanie ówczesnemu kandydatowi na prezydenta, Karolowi Nawrockiemu. Była to – najłagodniej rzecz ujmując – bardzo kontrowersyjna historia. Paradoksalnie jednak uświadomiła wielu Polakom, że takie umowy, których jedną ze stron są najczęściej seniorzy, mogą być poważnym problemem.

Ma pan rację, choć muszę przyznać, że akurat kwestia dożywocia nie pojawiała się dotychczas na moich warsztatach. Dołączę ją jednak do programu kolejnych spotkań.

Też jestem zdania, że nagłośnienie tej sprawy poszerzyło wiedzę i świadomość prawną naszego społeczeństwa, zwłaszcza zaś seniorów, i – mam nadzieję – stało się swoistą przestrogą.

Polskie przepisy dotyczące instytucji dożywocia nakładają konkretne obowiązki na osoby, które zawierają tego typu umowę. Niewywiązywanie się z nich skutkować może rozwiązaniem porozumienia. Spójrzmy na opisywany przypadek. Przypomnę, że – jak informowały media – wspomniany pan Jerzy trafił ostatecznie do domu pomocy społecznej, czyli był utrzymywany na koszt podatników, a nie drugiej strony umowy. A zatem można wnioskować, że jedna ze stron warunków umowy nie dotrzymała. Zaistniała więc sytuacja, w której dożywotnik mógł zwrócić się do sądu o rozwiązanie umowy o dożywocie. Warto o tym pamiętać i pilnować swoich praw.

© Rozmawiał BARTŁOMIEJ MAYER



„Tygodnik Powszechny” na Targach Książki w Krakowie!

Od 23 do 26 października znajdziecie nas na stoisku C2 w Hali Wisła. Zapraszamy na spotkania, rozmowy i wydarzenia wokół „Tygodnika” – pisma, które od ponad 80 lat dostarcza Czytelnikom i Czytelniczkom sens zamiast sensacji.

Czwartek, 23.10

12.00 Scena w Hali Dunaj – Jak powstaje „Tygodnik Powszechny”? Kulisy pracy dziennikarskiej. Spotkanie dla licealistów poprowadzi **Monika Ochędowska**.

Piątek, 24.10

17.00 Scena w Hali Wisła – O życiu, świecie i całej reszcie. Spotkanie nowego redaktora naczelnego **Jacka Stawiskiego** z redaktorem seniorem **ks. Adamem Bonieckim**.

Sobota, 25.10

13.00 Sala Wiedeń B – Prapremiera „Ćwiczeń z dysonansu”, zbioru felietonów z „Tygodnika”. Spotkanie z **Tomaszem Stawiszyńskim** organizowane przez wydawnictwo Znak.

Niedziela, 26.10

16.00 Scena w Hali Dunaj – Polska i świat. Spotkanie z **Ziemowitem Szczerkiem** poprowadzi **Marek Bednarz**. O Polsce widzianej z dystansu – ironicznie, krytycznie, ale z czułością.

Zapraszamy także do Hali Wisła, stoisko C2 – na rozmowy o książkach, świecie i o tym, co naprawdę ma sens.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

TEZEUSZ.pl

Największy **antykwariat i księgarnia** w Polsce

Dajemy książkom **DRUGIE ŻYCIE**

SKUPUJEMY KSIĄŻKI w całym kraju!

Więcej szczegółów

Zadzwoń do nas: **883 846 389**

skup**ksiazek**.pl

Tajemnice zakonnicy, która sięgnęła po sukces

Współcześnie każdego dnia spotykamy liderki, managerki, dyrektorki – to określenia znane, powszechne, ale jeszcze 200 lat temu niespotykane. Gdzieś jednak miały swój początek. Wszyscy znamy historię Marii Skłodowskiej-Curie – emancypantki, wzoru dla ruchu women empowermentowego. Nie będziemy więc znów opowiadać tego, co przepracowano wielokrotnie. Nasza bohaterka ma jednak wiele wspólnego ze słynną Polką. Współdzieliły zamiłowanie do wyjątkowych substancji, imię oraz... kobiecą sprawczość w męskim świecie. Oto historia kobiety sukcesu, twórczyni Melisany, którą w prawie niezmiennej formie znamy do dziś – Marii Clementine Martin.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Przenosimy się do XIX wieku. Świat biznesu zdominowali, a wręcz zmonopolizowali mężczyźni. To oni otwierają nowe zakłady, zasiadają na najwyższych stanowiskach, podbijają świat – decydują o wszystkim. Jak zatem Maria Clementine Martin wyłamała się z tradycyjnego modelu społeczeństwa tamtych czasów, stając się pionierką kobiecej przedsiębiorczości? Aby zrozumieć to lepiej, cofnijmy się na moment do 1792 roku. 17-letnia wówczas Wilhelmine Martin wstępuje do zakonu, przyjmując imię Maria Clementine. Imię znane nam do dziś. Zapadnie w pamięci setek osób, szczególnie mężczyzn XIX-wiecznego biznesu, którym siostra utrze nosa.

ZAMIAST PROBLEMÓW – WYZWANIA

W 1811 roku młodą zakonnicę dotknął dekret napoleoński nakazujący rozwiązanie wszystkich klasztorów franciszkańskich. Kobieta stanęła przed nie lada wyzwaniem i rozpoczęła trudną tułaczkę. Fundamenty ogromnych biznesów zbudowano jednak na wyzwaniach!

Źródła wskazują, że w 1815 roku siostra Maria niosła pomoc rannym żołnierzom obu stron w bitwie pod Waterloo, zdobywając wiedzę o ziołach oraz preparatach roślinnych. Obecność na froncie znacząco skróciła kobiecie drogę do sukcesu. Prędko trafiła bowiem przed oblicze króla Fryderyka Wilhelma III. Władca pruski docenił zasługi bohaterki i nagrodził zakonnicę dożywotnią pensją – 160 talarów rocznie. Dziś powiedzielibyśmy, że właśnie pojawiła się szansa na dywersyfikację przychodów – tak też pomyślała Maria. Zabłysnęła swoim biznesowym zacięciem i zaczęła działać. Już niedługo te pieniądze pomogą jej stworzyć własną zielarnię i produkować preparaty ziołowe. Ale do tego czasu... jeszcze przez kilka lat pozostanie w cieniu.

PIERWSZE OBJAWIENIE

Maria zniknęła na kilka lat z kart historii. Aż do roku 1821, kiedy to znów dała o sobie znać w niemieckim dziś Münster. Jak się okazało, świat stawiał przed siostrą następne wyzwania, którym dzielnie stawiała czoło, kształtując swój charakter. Założycielka Klosterfrau utknęła w zawiłościach prawnych związanych z prowadzeniem alternatywnej medycyny. Lekarze sprzeciwiali się zabiegom z wykorzystaniem roślin i ziół, jakie przeprowadzała, pomagając pacjentom dotkniętym fistułami. Problemem okazał się brak stosownego wykształcenia medycznego. Siostra zwróciła się więc o pomoc do króla, ponownie licząc na jego protektorat. Nic z tego. Urzędnicy nie zezwolili na kontynuowanie działań.

Maria pozostała jednak w Münster jeszcze przez kilka lat. Pomimo wielu przeciwności nie poddała się. Udowodniła, że niosąc pomoc potrzebującym, doskonale odnajduje się w męskim świecie biznesu i tylko czas oraz dalsza ciężka praca dzielą ją od sukcesu.

WIĘCEJ NIŻ WODA KOLOŃSKA

6 listopada 1825 roku 50-letnia wówczas kobieta zaskakuje ogłoszeniem w „Kölnische Zeitung", w którym reklamuje produkowaną własnoręcznie wodę kolońską (spirytus melisowy). Droga ku sukcesowi zaprowadziła ją do Kolonii. Przygotowywane tam, dzięki prostej destylacji, remedium szybko zyskało na popularności. Pierwowzór Melisany zaczął święcić triumfy dzięki swoim właściwościom łagodzącym i wyciszającym. Siostra Maria Clementine Martin połączyła naturalną moc roślin i ziół w jednej recepturze. Stworzyła kultowy dziś produkt Melisana Klosterfrau, którego jednym ze składników (i źródłem całej nazwy) od początku jest melisa.

WYZWANIA NAPĘDZAJĄ SUKCESY

Na biznesowym szlaku Marii stanęło jednak kolejne niemałe wyzwanie. Spirytus melisowy był według ówczesnych przepisów kosmetykiem i uchodził za towar perfumeryjny. Oznaczało to jedno – każde reklamowanie spirytusu karmelitańskiego lub melisowego sprzedawanego jako lek podlegało zakazowi



prawnemu. Ich produkcja i sprzedaż była bowiem zastrzeżona wyłącznie dla aptekarzy! Maria mimo wszystko stale zabezpieczała sukces, podejmując kilka kluczowych kroków. 7 listopada 1829 roku ponownie zwróciła się do króla Fryderyka Wilhelma III. Tym razem o zgodę na oznaczanie środka leczniczego orłem pruskim. Dekretem rządowym z dnia 28 listopada 1829 roku otrzymała zezwolenie. Melisana mogła jako jedno z niewielu remediów w Kolonii nosić królewski herb na opakowaniu, który do dzisiaj jest umieszczany na każdej butelce. Zakonnica odniosła wielki sukces w ustanowieniu i obronie dobrej pozycji rynkowej swojej firmy, mimo kilku niepowodzeń. Siostra zakonna ponownie wykazała się determinacją.

KOLONIA NA KOLANACH – CZAS NA ŚWIAT

Wreszcie nadszedł czas, aby o produkcie dowiedział się cały świat. Maria Clementine Martin wzięła w 1838 roku udział w renomowanej Wystawie Sztuki i Przemysłu, zorganizowanej przez Gewerbe-Verein w Kolonii na Heumarkt. Reklamy jej ziołowego remedium nadal pojawiały się w „Kölnische Zeitung". Melisanę znało coraz więcej konsumentów. Przed śmiercią siostra sporządziła testament, wyznaczając swojego asystenta Piotra Gustawa Schaebena jako spadkobiercę, ufając, że będzie wiernie kontynuował jej dziedzictwo.

Maria zmarła 9 sierpnia 1843 roku. 8 lat po jej śmierci, w 1851 roku, preparat ziołowy otrzymał pierwszą nagrodę na Wystawie Światowej w Londynie. Przedsiębiorstwo zgodnie z testamentem przeszło w ręce Piotra Gustawa Schaebena (1815––1885). Nowy właściciel znacznie je rozbudował i rozpowszechnił preparat na całym świecie. Formulacja i sposób przygotowywania produktu przez lata były udoskonalane i dostosowywane do wymagań prawnych i potrzeb pacjentów. Dziś Melisana Klosterfrau Original jako tradycyjny lek roślinny dostępny bez recepty, dzięki zawartości 13 ziół, jest pomocna na:

- objawy przeziębienia i grypy,
- powysiłkowe bóle mięśni,
- objawy stresu, takie jak ból brzucha i wzdęcia na tle nerwowym*,
- mniej nasilone nerwobóle,
- stany złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym nasilone zmianami pogody,
- ułatwianie zasypiania.

* na objawy stresu, doustnie w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha); do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach; pkt 4.1. CHPL Melisana Klosterfrau Original.

A firma MCM Klosterfrau Healthcare z siedzibą w Kolonii nadal łączy tradycję z nowoczesnością. Obecnie jej produkty dostępn są w ponad 20 krajach.

MELISANA NA... SUKCES

Historia Marii Clementine Martin jest nie tylko opowieścią o odwadze i przedsiębiorczości, ale także inspiracją dla nas wszystkich. Jej dziedzictwo, kontynuowane przez Klosterfrau, przemawia do naszych serc i umysłów. Przypomina, że nie ma granic dla marzeń i dążeń. To historia o tym, jak jedna kobieta zmieniła świat swoją determinacją i świeżą wizją, odciskając trwałe piętno na kartach historii. Maria pokazała nam, że warto dbać i walczyć o samego siebie – również stawiając w swojej apteczce Melisanę! Tak na wszelki wypadek...

MELISANA KLOSTERFRAU ORIGINAL, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: stosowanie doustne – w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni.

Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania i tylko wtedy, gdy jest to konieczne. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Artykuł sponsorowany przez MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o.
MEL.2024.02.01



TYGODNIK POWSZECHNY



JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł
- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



RAFAŁ LATOSZEK / MATERIAŁ PRASOWY

Stowarzyszenie Emerytów „Spokojna Jesień Życia" w Szydłowcu z marszałkiem Adamem Struzikiem.

W Polsce przybywa seniorów. Według prognoz GUS w 2030 r. osoby w wieku powyżej 60. roku życia będą stanowiły prawie 30 proc. ludności naszego kraju. Już teraz na ponad 5,5 mln mieszkańców województwa mazowieckiego około miliona to osoby 65+.

– Seniorzy potrzebują wsparcia, które traktuje ich nie jako beneficjentów, lecz jako współtwórców życia społecznego. Dlatego nasze działania mają dawać narzędzia i tworzyć przestrzeń do budowania wspólnoty, w której starsze pokolenie ma realny wpływ na otaczający świat – podkreśla **Adam Struzik**, marszałek województwa mazowieckiego.

Mazowsze wspiera aktywność i pasje seniorów. Flagowym programem aktywizującym osoby starsze jest „**Mazowsze dla seniorów**". W ramach czterech edycji samorząd województwa mazowieckiego wsparł 284 projekty kwotą ponad 8 mln zł. Seniorzy dzięki temu uczą się, jak poruszać się w cyfrowym świecie, zwiedzają muzea i poznają atrakcje turystyczne regionu, organizują pikniki, rajdy rowerowe czy uczestniczą w licznych warsztatach. Wielu seniorów lubi spędzać czas wolny, uprawiając rośliny w ogrodach działkowych. W ramach programu „**Mazowsze dla działkowców**" władze regionu dofinansowują wymianę ogrodzenia, zakup sprzętu czy budowę i modernizację sieci wodociągowej i energetycznej.

Bezpieczni za kierownicą

Mazowsze uczy, jak jeździć bezpiecznie po sześćdziesiątce. Tysiąc osób z Mazowsza weźmie udział w bezpłatnym programie „**Bezpieczny senior – doskonalenie techniki jazdy**". Zajęcia ruszają w listopadzie na Torze Modlin i obejmują m.in. hamowanie awaryjne, omijanie przeszkód i wpływ rozproszenia uwagi na prowadzenie auta, a także zajęcia uświadamiające wpływ substancji psychoaktywnych na prowadzenie samochodu. Szkolenie poprowadzą doświadczeni instruktorzy, a uczestnicy przypomną sobie przepisy i poprawią technikę jazdy w kontrolowanych warunkach.

Mazowsze 60+

Bo chce się żyć!

Seniorzy są dziś jedną z najbardziej zaangażowanych grup społecznych – uczestniczą w życiu lokalnym, działają w organizacjach, wspierają młodsze pokolenia. Ich potencjał zasługuje nie tylko na uznanie, ale i na realne wsparcie. Na Mazowszu powstaje coraz więcej propozycji właśnie dla nich.

Mazowsze. serce Polski

Wsparcie, gdy zdrowie zawodzi

Mazowsze od 2020 r. prowadzi **sieć domów dziennego pobytu** (DDP) dla osób z chorobami otępiennymi. Obecnie działa 13 placówek oferujących m.in. terapię zajęciową, rehabilitację, pomoc psychologiczną, zajęcia kulinarne i komputerowe. Dzięki dofinansowaniu opłaty za pobyt są przystępne. W ramach pilotażu powstały też **domy opieki medycznej** (DOM), które zapewniają dodatkowo opiekę zdrowotną. Pobyt w nich jest bezpłatny.

– Zależy nam na tym, aby osoby starsze mogły jak najdłużej cieszyć się zdrowiem i samodzielnością. Zapewniamy chorym zajęcia i terapie, a opiekunom czas na pracę zawodową i odpoczynek – zwraca uwagę **Anna Brzezińska**, członkini zarządu województwa mazowieckiego.

Kolejnym wyzwaniem jest depresja wśród seniorów. Odpowiedzią na ten problem jest **program profilaktyki zaburzeń depresyjnych dla osób po 60. roku życia**. Zwiększa on dostęp do wsparcia psychicznego, edukacji i szkoleń dla seniorów, lekarzy POZ, geriatrów oraz opiekunów. Jego celem jest poprawa stanu psychicznego uczestników i lepsze rozpoznawanie objawów depresji.

Seniorzy dla seniorów

Duże pole do działania dla osób lubiących pracę społeczną dają rady seniorów. Od dwóch lat działa **Rada Seniorów Województwa Mazowieckiego**. Trwa jej druga kadencja, w której o interesy seniorów dba 27 członków ze wszystkich części regionu.

– Ważną rolą rady jest aktywizacja osób wykluczonych. Inicjujemy i promujemy szereg projektów związanych ze zdrowiem i integracją społeczną seniorów. Samorząd Mazowsza wspiera nas w tych działaniach zarówno finansowo, jak i merytorycznie – mówi **Tadeusz Lempkowski**, przewodniczący Rady Seniorów Województwa Mazowieckiego.

MATERIAŁ PARTNERA



Pod ziemią, gdzie czas płynie wolniej

Bochnia – podróż do miejsca, które leczy i zachwyca

MATERIAŁ PRASOWY X2

Zjazd w głąb ziemi, do solnych korytarzy Kopalni Soli Bochnia, przypomina przekroczenie granicy między światem codziennym a przestrzenią spokoju i skupienia. Już po chwili znika zgiełk miasta, a jego miejsce zajmuje cisza. Najstarsza kopalnia soli kamiennej w Polsce, działająca nieprzerwanie od XIII wieku, jest jednym z najcenniejszych zabytków techniki w Europie. Od 2013 roku figuruje na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO, a mimo to nie jest miejscem zarezerwowanym jedynie dla pasjonatów historii. Coraz częściej odwiedzają ją osoby poszukujące spokoju, naturalnej terapii i odpoczynku od miejskiego pośpiechu. Bochnia w niezwykły sposób łączy świat przeszłości z potrzebami współczesności.



Zdrowie z głębi ziemi

Największym bogactwem kopalni jest jej mikroklimat – czyste, nasycone solą powietrze, wolne od alergenów i zanieczyszczeń, które korzystnie wpływa na drogi oddechowe i układ nerwowy. W Komorze Ważyn, najrozleglejszej przestrzeni podziemnej w Bochni, panują warunki sprzyjające regeneracji organizmu. Trzygodzinny pobyt w tym miejscu pozwala odetchnąć pełniej, zwolnić rytm, a jednocześnie pozostać aktywnym – można spacerować, ćwiczyć lub po prostu pozwolić ciału i myślom się uspokoić.

Podróż w głąb historii

Zwiedzanie kopalni prowadzi przez labirynt chodników i komór, w których przez stulecia wydobywano sól – niegdyś cenniejszą niż złoto. Multimedialna trasa turystyczna ożywia dawne czasy, przypominając o pracy górników, o królewskich przywilejach i o roli, jaką Bochnia odgrywała w rozwoju Polski. Obrazy, światło i dźwięk tworzą sugestywną opowieść, która angażuje zmysły i wyobraźnię. W sercu kopalni odnajdziemy także wykute w soli kaplice – świadectwo głębokiej wiary górników, którzy Bogu i świętym patronom powierzali swój codzienny trud i bezpieczeństwo.

Spacerując wśród solnych ścian, można odczuć nie tylko ciężar historii, lecz także jej ciągłość – świadomość, że to, co dziś służy odpoczynkowi i zdrowiu, było przez wieki źródłem życia i pracy dla całych pokoleń. W tych korytarzach historia nie jest zamknięta w muzealnej gablocie, lecz wciąż oddycha i przemawia do odwiedzających.

Informacje dla gości

- **Dostępność**: Zjazd i wyjazd z kopalni odbywa się windą, ale na trasie turystycznej czekają schody.
- **Temperatura**: Pod ziemią panuje stała temperatura ok. 16°C. Zalecamy zabranie cieplejszego okrycia.
- **Komfort:** Na miejscu dostępne są punkty gastronomiczne, w tym podziemna kawiarnia, oraz liczne miejsca do odpoczynku.
- **Czas pobytu**: Pobyt rekreacyjny w Komorze Ważyn trwa około 3 godzin, podobnie jak zwiedzanie kopalni na podstawowej trasie turystycznej.

Miejsce, które zostaje w pamięci

Kopalnia Soli Bochnia to przestrzeń, w której łączy się historia, natura i troska o zdrowie. Stanowi idealne miejsce na krótki, a jednocześnie głęboki odpoczynek – bez tłumów, w bliskości z historią i w otoczeniu sprzyjającym refleksji.

Każdy, kto zjedzie w głąb bocheńskiej ziemi, może przekonać się, że prawdziwe wytchnienie nie zawsze wymaga dalekiej podróży. Czasem wystarczy zejść kilka kroków niżej, by odnaleźć to, czego najbardziej nam dziś brakuje: równowagę, oddech i uważność.

Zaproszenie

Kopalnia Soli Bochnia zaprasza do odkrycia swoich podziemi na nowo, do doświadczenia ciszy Komory Ważyn, do spaceru szlakiem historii oświetlonej światłem multimedialnych opowieści oraz do odpoczynku przy filiżance kawy w niezwykłej przestrzeni pod ziemią.

W świecie, w którym wszystko przyspiesza, Bochnia przypomina, że warto czasem zwolnić. I że prawdziwe źródło siły kryje się głęboko – w ziemi, w historii, w człowieku.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Zakamarki polecają:

CORAZ BLIŻEJ ŚWIĘTA…



Zimowa historia, pochodząca z książki **Astrid Lindgren** o dzieciach z wyspy Saltkråkan, pięknie zilustrowana przez Marię Nilsson Thore.



Pełna czerwonych czapeczek opowieść **w 24 rozdziałach** do czytania w każdy grudniowy wieczór aż do Wigilii!

DLA POCZĄTKUJĄCYCH CZYTELNIKÓW

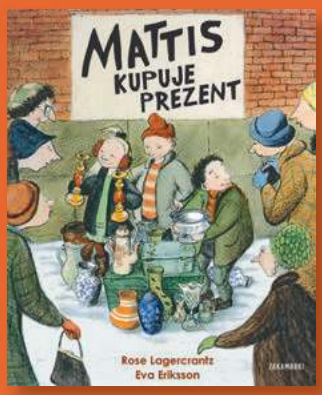

Mattis i Dunia powracają w nowym formacie – jeszcze więcej ilustracji i to kolorowych. I jaka intryga!



Ture zamiast kraść puchar, bierze udział w zawodach. **Siódmy tom** świetnej serii kryminałów na opak!



Drugi tom serii o Mrówce. Zwykłe, choć podzielone na dwa domy, życie, zabawne historie i trudne pytania.

KSIĄŻKI NIEOCZYWISTE – MOŻE DLA CIEBIE?



Pełna humoru książka obrazkowa o tym, co naprawdę kryje się za ważnymi i poważnymi minami dorosłych.



Drugi tom trylogii o wrażliwej i utalentowanej nastolatce, która dzieli się swoimi zapiskami i rysunkami.



Obrazkowo-słowna historia **o sztuce bycia razem** pomimo różnych potrzeb i niedoskonałej komunikacji.

REKLAMA

POGROM W TORRE PACHECO

To hiszpańskie miasteczko, gdzie pracownicy rolni pochodzą głównie z Afryki Północnej, pokazuje, jak łatwo strach, fake newsy i polityczne manipulacje mogą przerodzić się w polowanie na ludzi.

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z TORRE PACHECO (MURCJA, HISZPANIA)



Jest tuż po dziesiątej. Na placu przy ratuszu w Torre Pacheco słychać okrzyki. To ośmioro ludzi z flagami Palestyny skanduje: „Zatrzymajmy ludobójstwo", „Pokój w Gazie". Kobieta trzyma karton z namalowanym arbuzem i hasłem „Wolna Palestyna".

Arbuz ma tu znaczenie. Bo 40-tysięczne miasteczko Torre Pacheco, na południowym wschodzie Hiszpanii, słynie z rolnictwa. Z tego regionu, Campo de Cartagena, pochodzi 340 tys. ton arbuzów i melonów, które co roku trafiają na stoły Europejczyków.

Jedna z kobiet decyduje się przemawiać w imieniu wszystkich. Chusta zakrywająca jej włosy zdradza muzułmańskie korzenie. „Jesteśmy tu, by walczyć o państwo palestyńskie. Mimo porozumienia pokojowego dostajemy sygnały, że Izrael narusza jego zasady" – mówi.



Imigranci pracujący w polu, okolice Torre Pacheco. Październik 2025 r.

PROŚBA | Kilka godzin później, gdy lokalne radio podaje na Facebooku informację o proteście, na jego uczestników wylewa się w sieci fala hejtu.

Paulino Ros – socjolog, dziennikarz radiowy i autor bloga „Islam w Murcji" – przekazuje mi wiadomość od kobiety, która przemawiała. Prosi, by nie publikować zdjęć i nagrań, które zrobiłam. Boi się o swoje dzieci. „Trzy miesiące temu doszło tu do polowań na muzułmanów. Może być już tylko gorzej, nie da się tego naprawić" – pisze kobieta.

57-letni Paulino, wysoki i szczupły, urodził się w pobliżu Torre Pacheco. Oprowadza mnie po okolicy. W środowy poranek ulice są niemal puste. Rodzice w pośpiechu odprowadzają dzieci do szkoły, pracownicy w roboczych strojach jedzą śniadanie na tarasie kawiarni. Od razu rzuca się w oczy, że niemal co trzeci mieszkaniec ma tu zagraniczne korzenie. Zwykle marokańskie.

POLOWANIA | Trudno uwierzyć, że niedawno o tym spokojnym dziś miejscu mówiła cała Hiszpania. Wszystko zaczęło się 9 lipca, gdy pojawiła się informacja, że trzech Marokańczyków pobiło emeryta. W sieci szybko pojawiły się zdjęcia pobitego. Zawrzało.

Burmistrz zwołał pokojowy wiec, by uspokoić sytuację. Pojawili się na nim także Marokańczycy z plakatami: *No somo delincuentes* (Nie jesteśmy przestępcami), *Nos sentimos pachequeros* (Czujemy się mieszkańcami).

Zebrani początkowo witali ich oklaskami. Ale chwilę później pojawiły się wyzwiska: „Wyp..., czarnuchy!". Oraz: *Arriba España*, Hiszpania ponad wszystko – nacjonalistyczne hasło nawiązujące do czasów dyktatora Francisco Franco.

Gdy Marokańczycy chcieli odejść, kilku mężczyzn rzuciło się na 15-latka. Bili, kopali. Policja próbowała interweniować. Zaczęło się coś, co potem nazwano *cacerías*, polowaniami na muzułmanów, imigrantów. Przez kilka kolejnych dni do miasteczka w Murcji przybywali z całego kraju sympatycy skrajnej prawicy, aby „chronić Hiszpanów".

METODA | Umawiają się w mediach społecznościowych. Wieczorami o umówionych godzinach wychodzą i atakują imigrantów. Model ich działania widać np. na nagraniach z kamer lokalnego kebabu. Grupa ok. 40 zakapturzonych mężczyzn, uzbrojonych w pałki, wchodzi do lokalu i go demoluje.

Właściciele innych sklepów i barów z obawy przed atakami zamykają swoje biznesy. Ministerstwo spraw wewnętrznych wysyła do Torre Pacheco dodatkowo ponad stu policjantów, by zatrzymać tę przemoc.

ISMAIL | Tamten 15-latek, pierwszy pobity, ma na imię Ismail. Urodził się w Hiszpanii: mama, María, pochodzi z Kraju Basków; ojciec, zwany Rubio, z Maroka, przez co syn ma ciemniejszy odcień skóry. Ten dzień zmienił jego życie. Wcześniej uwielbiał spędzać popołudnia, grając w piłkę z chłopakami. Teraz głównie siedzi w domu, boi się wyjść.

Mówi matka: – Syna pobiło piętnastu mężczyzn. Jednak chyba nie pobicie było najgorsze, ale wyzwiska, które słyszał od sąsiadów. Niektórzy potem przeprosili. Inni uważają, że syn dostał, na co zasłużył. Niektórzy mówili, że nie wiedzieli, że to syn Rubia. Nieważne, czyj to syn. Nie można kogoś bić za kolor skóry.

Gdy rozmawiamy, towarzyszy jej inny nastolatek, marokańskiego pochodzenia. Przygarnęła go z ulicy i próbuje pomóc. To nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz. María zna arabski, od lat działa na rzecz społeczności islamskiej w Torre Pacheco. Czuje frustrację.

Sąd nie zakwalifikował pobicia Ismaila jako przemocy z nienawiści rasowej. Sprawcy odpowiedzą zapewne za zwykłe pobicie.

FAKE NEWSY | Do pobicia emeryta w Torre Pacheco faktycznie doszło. W sieci krążyło jednak wideo z innego, znacznie brutalniejszego pobicia sprzed kilku miesięcy. Wtedy Hiszpan pobił innego bezdomnego Hiszpana w Almerii.

W internecie pojawiły się też fałszywe zdjęcia oprawców.

Fali dezinformacji nie udało się zatrzymać. Im agresywniejsza treść, tym większy zasięg w mediach społecznościowych.

Publiczna telewizja RTVE i agencja informacyjna EFE przeanalizowały ponad ↦





Od lewej: Malika, siostra zamordowanego rok temu Saida oraz María, mama pobitego 15-letniego Ismaila. Torre Pacheco, październik 2025 r.

↦ 15 tys. wiadomości, które pojawiły się w tamtym lipcowym tygodniu w komunikatorze Telegram i na platformie X, a w nazwie miały „Torre Pacheco". Autorzy niemal 10 proc. wyrażali wprost nienawiść.

ŚCIGANIE | Monitoring sieci, prowadzony przez policję, doprowadził 15 lipca do zatrzymania lidera prawicowych bojówek w okolicach Barcelony, który wzywał do „polowania" na imigrantów w Torre Pacheco. Podczas zamieszek policjanci zatrzymali kilkanaście osób.

W połowie października prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie przestępstwa z nienawiści wobec lidera partii Vox, Santiago Abascala. Prokuratura wrogie migrantom wpisy i wypowiedzi, kiedy trwały zamieszki w Torre Pacheco, uznała za „kontekst walki politycznej prowadzonej w sferze publicznej".

Od wydarzeń w Torre Pacheco minęły trzy miesiące, ale lokalne władze nie zainteresowały się losem pobitego 15-latka. – Prezydent wspólnoty autonomicznej Murcji ogłosił, że dofinansuje policję, jakby problem rasizmu dało rozwiązać się większą liczbą policjantów – mówi mi Paulino Ros.

WSPOMNIENIA | Wydarzenia w Torre Pacheco przywołały wspomnienia sprzed 25 lat. Wtedy do zamieszek doszło w andaluzyjskim mieście El Ejido, które gospodarczy wzrost także zawdzięcza pracy imigrantów. Wówczas to, na początku 2000 r., w ciągu dwóch tygodni doszło do trzech zabójstw mieszkańców miasta. Czarę goryczy przelała ostatnia śmierć: Marokańczyk, leczący się psychiatrycznie, zabił 26-letnią Hiszpankę.

Mediów społecznościowych wtedy nie było, mieszkańcy El Ejido organizowali się na ulicach. Sami wymierzali sprawiedliwość. Przez trzy dni palili auta i meczety, napadali na sklepy z obco brzmiącymi szyldami i na imigrantów. Bilans: 84 rannych i 42 aresztowanych.

Paulino Ros wspomina rok 1993. Pracował już w lokalnym radiu. Mieli pierwszy dwujęzyczny program, hiszpańsko-arabski, można go było słuchać także w Afryce Północnej. Latem redakcja chciała organizować w Torre Pacheco koncert marokańskiego zespołu. Mieszkańcy oburzyli się na pomysł zapraszania muzułmanów, koncert się nie odbył.

– Mówili, że nie chcą inwazji *moros*, Maurów – wspomina Ros (tak nazywa się często Marokańczyków). – Obwiniano mnie o ten pomysł, grożono śmiercią. Miałem 23 lata, latem brałem ślub, byłem młodym dziennikarzem. Chciałem zmieniać świat. Zrozumiałem, że to nie takie łatwe.

POLITYKA LOKALNA | Paulino Ros uważa, że wzrost nienawiści i rasizmu w Hiszpanii wiąże się z pojawieniem się 12 lat temu partii Vox.

– Vox buduje swój przekaz na strachu. Ludzie boją się, a politycy to wykorzystują. Skrajna prawica w Hiszpanii różni się od tych, które znamy w innych krajach europejskich. Tu wywodzi się i nawiązuje do dyktatury. Wmawia młodym, że za dyktatury nie było imigrantów z Afryki, a mieszkania były gratis. To działa – uważa dziennikarz.

Politycy Vox, choć nie sprawują władzy na szczeblu centralnym, są obecni w samorządach, gdzie współrządzą z prawicową Partią Ludową. Widać ich także w Murcji.

Od początku istnienia Vox jej politycy wykorzystują niemal każde przestępstwo popełniane przez imigrantów do poparcia swojej tezy, że za kradzieże i morderstwa odpowiadają imigranci.

Tymczasem dane MSW temu przeczą. 20 lat temu Hiszpania miała niemal 4 proc. imigrantów, dziś ma kilkanaście procent, a wskaźnik przestępczości od tego czasu spadł o 9 punktów procentowych. Z danych za rok 2023 wynika, że ponad 72 proc. przestępstw popełniają Hiszpanie.

NIECHCIANI, NIEZBĘDNI | W latach 70. XX w. Torre Pacheco miało 15 tys. mieszkańców, dziś jest ich trzy razy więcej. Wszystko dzięki przesyłowi wody z rzeki Tajo do dorzecza Segura od 1979 r.: dzięki temu suche dotąd tereny rozwijają się intensywnie. Można uprawiać warzywa niemal cały rok.

Równocześnie w latach 80. XX w., po upadku dyktatury, Hiszpania zaczęła otwierać się na imigrantów z północy Afryki. Dziś stanowią ponad 90 proc. pracowników rolnych. Bez nich gospodarka Torre Pacheco nie mogłaby funkcjonować.

Większość imigrantów mieszka w dzielnicy San Antonio, gdzie są najstarsze i najtańsze domy. Gdy spacerujemy tu z Paulino, w oczy rzucają się duże pojemniki z wodą. Po ostatnich intensywnych opadach i powodziach wielu mieszkań-

ców regionu nie ma bieżącej wody. Wśród lokali dominują te z arabskimi szyldami.

Większość ludzi nie chce rozmawiać. Ktoś powie, że chcą tylko spokojnie żyć i pracować. Na sklepie prowadzonym przez Chińczyka wisi napis: *Rasistas fuera*, Rasiści precz. – Skoro w marketach wiszą zasady, że nie sprzedajemy alkoholu nieletnim albo że nie można wchodzić nago, to ja postanowiłem wywiesić swoje – mówi mi właściciel.

W sklepie spotykamy Omara. Szczupły brunet, lat dwadzieścia parę, jest spawaczem. Rodzice pochodzą z Casablanki, on całe życie spędził tutaj: – W szkole trochę mi dokuczali, teraz już nie. Dobrze się tu czuję. Gdy mnie pytają, skąd jestem, to nie wiem, co powiedzieć. Mam dziewczynę Hiszpankę, ale nie mogę powiedzieć, że czuję się Hiszpanem. Zawsze mnie poprawiają i mówią, że wyglądam jak Marokańczyk.

DLACZEGO? | Razem z Paulino Rosem jedziemy do Maliki, która mieszka pod Torre Pacheco. Po drodze widzimy imigrantów podczas pracy w polu.

17 października mija rok od śmierci jej brata, 29-letniego Saida. – Bólu nie da się opisać. Ale ta sprawa od pierwszego dnia była przegrana – mówi Malika Laaraj i prowadzi nas do drzewa za meczetem, pod którym znaleziono ciało brata.

Mówi, że Said nie miał wrogów, nie bił się. Nie mógł pracować, ze względu na ciężką padaczkę. Czas upływał mu na samotnych spacerach, jadał w barze, grywał w bilard.

Rodzina Maliki żyje w gęsto zaludnionej okolicy, ale nikt nic nie słyszał i nie widział. Policja do dziś nie ma nawet poszlak. Wiadomo tylko, że sprawców mogło być dwóch lub trzech. Jej brat był widziany przez świadków o szóstej rano; po dziesiątej już nie żył. Świadek mówił, że Said krzyczał, że ktoś go śledzi i potrzebuje pomocy, ale nikt nie pomógł.

W toku śledztwa świadkowie wycofali zeznania. Dom rodziny, która znalazła ciało, ktoś obrzucił kamieniami. Kolejnego dnia rodzina wyprowadziła się i już nie wróciła.

Malika opowiada to spokojnie. Gdy siadamy na kanapie, przyłącza się jej tata. Kobieta pokazuje film z grobu Saida w Maroku. Zaczyna płakać. – Chcę tylko wiedzieć, dlaczego. Dlaczego musiał zginąć – zakrywa oczy rękoma.

Portugalia ogranicza legalny napływ imigrantów

Niedawno w Portugalii weszła w życie reforma prawa o cudzoziemcach (*Lei dos Estrangeiros*). Rząd socjaldemokratycznego premiera Luísa Montenegro przygotował ją przy poparciu skrajnie prawicowej partii Chega, na co dzień opozycyjnej.

REFORMA OGRANICZA prawo do łączenia rodzin, czyli procedury umożliwiającej cudzoziemcowi sprowadzenie bliskich do Portugalii. Dotąd imigranci nie musieli czekać, aby móc sprowadzić rodzinę. Teraz nowa ustawa wprowadza wymóg dwóch lat oczekiwania, zanim będzie można ją sprowadzić.

PIERWSZĄ WERSJĘ ustawy prezydent Marcelo Rebelo de Sousa wysłał do Trybunału Konstytucyjnego, który w sierpniu orzekł, że jest niekonstytucyjna, gdyż nie uwzględniała członków najbliższej rodziny imigrantów. Ustawę więc zmieniono.

NOWE PRZEPISY mówią, że imigranci będą mogli wnioskować o sprowadzenie rodziny dopiero po dwóch latach legalnego pobytu w Portugalii. Ustawa przewiduje jednak wyjątki: czekać dwóch lat nie trzeba, jeśli w rodzinie są niepełnosprawni; podobnie w przypadku par mających wspólne dziecko. Dla małżeństw i par bezdzietnych okres oczekiwania wynosi rok.

REFORMA PRZEWIDUJE też, że wizy pracownicze będą wydawane głównie osobom wykwalifikowanym, a imigranci z krajów portugalskojęzycznych będą musieli uzyskać tymczasowe pozwolenie na pobyt jeszcze przed przybyciem do Portugalii. Dotąd mogli je otrzymać po przyjeździe.

PO WYBORACH w maju 2025 r. partia Chega stała się drugą siłą polityczną w kraju. W czerwcu premier Montenegro ogłosił wydalenie z Portugalii 34 tys. imigrantów, którym odmówiono prawa do pobytu. © AZ

Malika uważa, że gdyby zginął Hiszpan, śledztwo wyglądałoby inaczej. Tu, gdzie mieszka od lat, Marokańczycy i Hiszpanie żyją obok siebie, ale osobno: – Rasizm jest tu od zawsze. Ostatnio byłam w przychodni i starsza pani, jak mnie zobaczyła, powiedziała do innych, żeby uważali, bo możemy zaatakować jak Hamas w Izraelu.

ZAKAZY | Torre Pacheco nie jest jedynym miejscem w Hiszpanii, gdzie dochodzi do przejawów rasizmu. W Jumilla (to także Murcja) władze uchwaliły zakaz organizowania „aktów religijnych" w obiektach sportowych. Zakaz uderza w społeczność islamską, która wcześniej organizowała obchody swoich świąt w miejscowej hali sportowej.

Z kolei w miejscowości Ripoll (Katalonia) burmistrzyni Sílvia Orriols zakazała noszenia burkini (muzułmańskiego stroju kąpielowego) na miejskich basenach, powołując się na względy bezpieczeństwa.

W Logroño (we wspólnocie autonomicznej La Rioja) w publicznym liceum dyrekcja odmówiła wstępu do klasy 17-letniej uczennicy pochodzenia pakistańskiego, która nie chciała zdjąć hidżabu. Dziewczyna zebrała w sieci 11 tys. podpisów pod petycją, postulującą zmianę regulaminu.

W Alcantarilla (Murcja), kilka dni po zamieszkach w Torre Pacheco, władze zdecydowały o zamknięciu wszystkich meczetów ze względów bezpieczeństwa. Pozostają zamknięte do dziś.

FIESTA | María, mama pobitego chłopca, uważa, że sytuację w Torre Pacheco może poprawić tylko prawdziwa integracja. Jej zdaniem władze powinny zatrudnić mediatorów – nie po to, by uczyć Marokańczyków języka, bo większość z nich już go zna, lecz aby prowadzili dialog między mieszkańcami.

– Po zamieszkach w Torre Pacheco poczuliśmy się oszukani. Myśleliśmy, że jesteśmy sąsiadami, ale nie byliśmy. Czujemy się odrzuceni – mówi kobieta, która po proteście na rzecz Palestyny woli zachować anonimowość.

– Wielu z nas urodziło się w Hiszpanii, ale dla tutejszych mieszkańców nigdy nie będziemy Hiszpanami – dodaje. – Ostatnio obchodziliśmy lokalną fiestę, chciałam iść, ale nie poszłam. Nie chciałam patrzeć na odrzucające spojrzenia.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA



BERNADETT SZABO / REUTERS / FORUM

Choć w 1956 r. to Sowieci krwawo stłumili powstanie Węgrów, w narracji Orbána winny jest Zachód. Na zdjęciu: premier na obchodach rocznicy wybuchu powstania. Budapeszt, 23 października 2024 r.

Traumaland po węgiersku

DOMINIK HÉJJ

WĘGRY | Strategia Viktora Orbána, oparta na reinterpretacji XX-wiecznej historii, generuje coraz większe napięcia z otoczeniem. Ostatnio z Ukrainą i Unią Europejską. Na czym polega to „przepisywanie" przeszłości?

Od przeszło piętnastu lat Viktor Orbán kreuje nową węgierską tożsamość – taką, w której nie ma miejsca na słabość i porażkę. Jednym z jej fundamentów jest pisanie historii na nowo. Proces ten odbywa się przez kreowanie Węgier na państwo pokrzywdzone i zdradzone przez wszystkich wokół.

Działanie to ma również usprawiedliwiać politykę całkiem współczesną. Na przykład to, jak węgierski premier traktuje Rosję i Ukrainę.

TERAPIA SZOKOWA | Dochodząc w 2010 r. do władzy, Orbán za punkt honoru postawił sobie, jak mówił, przywrócenie Węgrom godności. Przekonywał, że Węgrzy traktowani są jak naród drugiej kategorii, że są oceniani przez otoczenie przez pryzmat historycznych porażek, i że nikt się z nimi nie liczy.

Szeroko rozumiane działania tożsamościowe były wprowadzane przez Fidesz, partię Orbána, niczym terapia szokowa. Na zarzuty, że realizuje wątpliwą politykę – antyunijną, prorosyjską – premier odpowiadał, że skoro inne państwa realizują swoje interesy, to i Węgry mają do tego prawo.

Orbán chciał przy tym, jak deklarował, wyjść z „niedasizmu" i „frajerstwa". Taką diagnozę postawił w 2015 r., podczas narady ambasadorów w Budapeszcie. W wystąpieniu mówił: „My, Węgrzy, mamy skłonność do postrzegania naszych działań jako cwanych. Ale w międzyczasie, zamiast być cwanymi ludźmi, jesteśmy ostatnimi frajerami".

NARÓD OFIAR | Z biegiem lat Orbán coraz częściej sięgał w swojej retoryce po figurę Węgrów jako ofiar. Czyich? Rzecz jasna – Zachodu. Systematycznie wprowadzał do politycznego dyskursu opowieść o historycznym osamotnieniu Węgier, wywodząc z tego konieczność rządów silnej ręki – takich, które upomną się o węgierską podmiotowość.

Zbudował takie wyobrażenie o historii, w którym Węgry nie mogą liczyć na żadne sojusze, gdyż te zawsze zawodziły. Unia Europejska przedstawiana jest jako grono urzędników czyhających na węgierski dobrobyt. Debaty o sytuacji na Węgrzech, które odbywały się w Parlamencie Europejskim, Orbán komentował stwierdzeniem, że nie pierwszy raz o losie Węgier decyduje się bez obecności Węgrów.

Zachód zdradził, tłumaczył premier, budując paralele czy to z kryzysem migracyjnym z roku 2015, czy to z rokiem 1956. Wówczas to, podczas antysowieckiego powstania, kraje zachodnie nie udzieliły Węgrom pomocy – z obawy, że sprowokuje to konflikt ze Związkiem Sowieckim.

DWIE WOJNY ŚWIATOWE | W ten schemat wpisuje się również sposób, w jaki Budapeszt postąpił (i nadal postępuje) wobec Rosji i Ukrainy po tym, jak 24 lutego 2022 r. Putin zaczął inwazję. Odmowa udzielenia pomocy militarnej, blokowanie dostaw broni przez węgierskie terytorium, ale też blokowanie (do dziś) wypłaty środków unijnych, które mają być rekompensatą dla Polski za sprzęt przekazany Ukraińcom – wszystko to skłania do pytania, po której właściwie stronie są Węgry Orbána.

Gdy Putin zaczął pełnoskalową wojnę, nad Dunajem trwała akurat kampania przedwyborcza (głosowanie zaplanowano na kwiecień). W jej trakcie Orbán sformułował przekaz, który uczynił istotą swej kampanii: że oto „prowojenny" Zachód spróbuje wciągnąć Węgry do wojny.

Wówczas to Orbán zaczął też – coraz częściej i śmielej – opowiadać, że w przeszłości Węgry zostały wciągnięte do dwóch wojen światowych, w obu przypadkach nie ze swej winy.

Lider Fideszu przypomniał ten „fakt" także niedawno, przed miesiącem, w wywiadzie dla publicznego radia Kossuth. Przekonywał, że Węgry zostały „wepchnięte" do dwóch wojen światowych przez zewnętrzne siły. Twierdził, że ani premier István Tisza w 1914 r., ani regent Miklós Horthy w 1939 r. nie chcieli, by ich kraj włączył się do wojny.

Po czym puentował, że szefowa Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen, próbuje wepchnąć dziś Węgry w III wojnę światową. Zabrakło tylko, by porównał się z przywołanymi wcześniej przywódcami Węgier – z tą różnicą, że on wciągnąć w wojnę się nie da.

DWA RAZY TRIANON | Takie analogie mają na Węgrzech konkretną wymowę.

Pierwsza Wielka Wojna zakończyła się dla kraju katastrofą: w „trianońskim dyktacie" – jak nazywa się na Węgrzech traktat pokojowy, podpisany w 1920 r. w pałacu Grand Trianon w Wersalu – odebrano Węgrom ponad dwie trzecie powierzchni i podobny odsetek ludności. Austria, która podpisała ze zwycięskimi krajami Ententy osobny traktat pokojowy (w 1919 r., w Saint-Germain-en-Laye), została potraktowana niewspółmiernie łagodniej.

Z kolei II wojna światowa, w której Węgry wzięły udział początkowo po stronie III Rzeszy, przyniosła im tzw. małe Trianon. Zgodnie z postanowieniami traktatu paryskiego z 1947 r. granice kraju, określone w 1920 r., zostały potwierdzone (czy też: przywrócone, gdyż w międzyczasie Budapeszt próbował odzyskać to, co wcześniej utracił). A nawet więcej: kolejne trzy węgierskie wsie w okolicach Bratysławy utracono na rzecz Czechosłowacji.

Relatywizowanie historii to na Węgrzech nie figura retoryczna, lecz świadome kształtowanie pamięci zbiorowej. Chodzi o narrację, w której odpowiedzialność za udział w obu wojnach światowych zostaje zepchnięta na margines – ukryta za fasadą rzekomych geopolitycznych konieczności i decyzji mocarstw.

W tej narracji opowiedzenie się Węgier po stronie Hitlera jawi się nie jako wybór, lecz wymuszona reakcja na niesprawiedliwość traktatu z 1920 roku.

DWA RAZY WIEDEŃ | Jednym z elementów historycznego sporu są dwa tzw. arbitraże wiedeńskie. Po I wojnie światowej Węgrzy nie pogodzili się z „dyktatem" i długo zabiegali o jego rewizję, aż ich sojusznikiem stał się Hitler. Pierwszy arbitraż wiedeński, który odbył się 2 listopada 1938 r. pod przewodem Niemiec i Włoch, zatwierdził roszczenia Węgier wobec Czechosłowacji (wcześniej ustalone w układzie z Monachium). Węgrom przyznano 12 tys. km² na południu Słowacji i Rusi Zakarpackiej, gdzie 59 proc. mieszkańców stanowili Węgrzy.

Kilka miesięcy później – po tym, jak Słowacja ogłosiła niepodległość, a Niemcy zajęły Czechy – 15 marca 1939 r. Ruś Zakarpacka ogłosiła niepodległość jako Republika Karpato-Ukrainy. Tego samego dnia została zaatakowana przez wojska węgierskie. Ukraińcy stawili opór, który został szybko złamany. Ofiarami represji, w tym egzekucji, padły tysiące Ukraińców. Węgrzy zostali na Zakarpaciu do 1944 r., gdy zajęła je Armia Czerwona.

Drugi arbitraż wiedeński z 30 sierpnia 1940 r. rozszerzył terytorium Węgier o 43 tys. km² odebranych Rumunii.

KOŚĆ NIEZGODY | Spór dotyczący Zakarpacia – widziany z węgierskiej perspektywy – został opisany w komiksie wydanym w 2025 r. przez Muzeum Trianon, które znajduje się w mieście Várpalota. Komiks przedstawia dziesięć historii dotyczących tego regionu – w tym negocjacje węgierskiej delegacji z Hitlerem dotyczące odzyskania tej ziemi.

Skąd takie nagłe zainteresowanie? Zakarpacie jest dziś bowiem kością niezgody między Węgrami a Ukrainą.

Rzecz dotyczy sposobu, w jaki Ukraina – zdaniem Węgrów – traktuje swoją mniejszość węgierską: Kijów ma ograniczać prawo do edukacji i nauki języka węgierskiego. Budapeszt powołuje się przy tym na ostatnie oficjalne dane – spis powszechny w 2001 r., zgodnie z którym na Zakarpaciu żyje 150 tys. Węgrów. Jednak aktualne szacunki wskazują, że liczba ta może być dziś nawet dwukrotnie niższa.

Spierając się z Kijowem, Orbán ustawia się na pozycji „orędownika pokoju". Krytykuje każdą nową inicjatywę wsparcia dla Ukraińców, przekonując, że wartością jest pokój za wszelką cenę. W tej opowieści chodzi w istocie o taki pokój, który oznaczałby kapitulację Ukrainy, a przynajmniej pójście przez nią na duże ustępstwa.

Niedawno wiceszef węgierskiego MSZ Levente Magyar doradził stronie ukraińskiej: „Ukraina musiałaby oddać dziś jedną piątą swojego terytorium. Nie chcę mówić Kijowowi, co ma robić, mówię tylko, że z naszego doświadczenia wynika, iż pokój bywa bolesny".

Levente Magyar najwyraźniej wciąż jeszcze nie zauważył (albo nie chce zauważyć), że nadrzędnym celem Putina nie jest zdobycie kolejnego ukraińskiego miasta, lecz przejęcie kontroli nad całym krajem – pozbawienie go niepodległości.

CIĄG DALSZY TRWA | Strategia Orbána, oparta na reinterpretacji historii, generuje więc coraz większe napięcia z sąsiadami. Natomiast narracje historyczne, które akcentują motyw Węgrów jako ofiary i motyw „zdrady Zachodu", są wykorzystywane przez niego do osłabiania poczucia wspólnoty w Europie. Służą do uzasadniania postawy Węgier na arenie europejskiej, w tym do kwestionowania europejskiej solidarności z Ukrainą.

Orbán stara się sprawiać wrażenie, jakby szczerze nosił w sobie głęboki żal w związku z faktem, iż Węgrom w przeszłości nikt nie przyszedł z pomocą – szczególnie w kontekście wsparcia, jakie dziś otrzymuje Ukraina. Jego polityczne gesty mają być gestami buntownika, który nie godzi się z tym, że ktoś inny może otrzymać więcej pomocy niż on sam.

Pewna przewrotność całej tej sytuacji polega na tym, że odmawiając pomocy Ukrainie, to on, Viktor Orbán, przyjmuje w istocie rolę tego właśnie przedstawiciela Zachodu, który w przeszłości bez wahania porzuciłby Węgry.

Ciąg dalszy tej opowieści usłyszymy być może już wkrótce – koniec października, rocznica wybuchu powstania w 1956 r., to moment, w którym Orbán zwykł przedstawiać obywatelom swoją wykładnię ich historii. ©

Autor jest politologiem, wydał książkę „Węgry na nowo. Jak Viktor Orbán zaproponował narodową tożsamość". Węgierską rzeczywistość tłumaczy na portalu www.kropka.hu

REKLAMA

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

Zerwane połączenie

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

FRANCJA–AFRYKA | Od ponad pół wieku relacje francusko-algierskie nie były tak napięte. Zakładnikami tej „zimnej wojny" są znani pisarze: Boualem Sansal, więziony w Algierii, i Kamel Daoud, laureat prestiżowej Nagrody Goncourtów.

Rzadko się zdarza, aby w centrum kryzysu dyplomatycznego znaleźli się ludzie pióra. Tymczasem tak właśnie jest od wielu miesięcy na linii Paryż–Algier.

Symbolem tego zaostrzenia stała się sprawa znanego algierskiego pisarza Boualema Sansala. Piszący po francusku i mający podwójne obywatelstwo 81-letni Sansal (według niektórych encyklopedii ma 76 lat, ale wynika to przypuszczalnie z błędu w dokumentach) od niemal roku przebywa w algierskim więzieniu.

Już przed laty Sansal dał się poznać jako żarliwy krytyk autorytarnego reżimu i islamskiego fundamentalizmu. W Polsce ukazała się m.in. jego dystopia „2084. Koniec świata" – inspirowana dziełem Orwella „Rok 1984", która opisuje świat religijnego totalitaryzmu (książka została nagrodzona przez Akademię Francuską).

Pisarz za kratami

Cios spadł na niego znienacka 16 listopada zeszłego roku. Na lotnisku w stolicy kraju Sansala aresztowała algierska policja. Wymiar sprawiedliwości, poddany kontroli prezydenta Abda al-Madżida Tebbuna, zarzucił mu „zamach na integralność terytorialną" kraju. W procesie apelacyjnym w lipcu tego roku pisarz został skazany na 5 lat bezwzględnego więzienia i 500 tys. algierskich dinarów grzywny (równowartość ponad 3 tys. euro).

Oficjalnym powodem uwięzienia Sansala była jego wypowiedź na łamach francuskiego pisma „Frontiéres", sympatyzującego z francuską skrajną prawicą. Sansal twierdził tam w październiku 2024 r., że „kiedy Francja kolonizowała Algierię [było to w pierwszej połowie XIX w. – red.], cała zachodnia część Sahary należała jeszcze do Maroka".

To temat wrażliwy. Sahara Zachodnia (oficjalnie zwana Saharyjską Arabską Republiką Demokratyczną, do 1975 r. będąca kolonią hiszpańską) jest stałym obiektem sporu między Algierią a Marokiem. Obecnie Maroko kontroluje jej większą część, Algieria zaś sprzeciwia się temu i wspiera oficjalnie dążenie Sahary Zachodniej do niepodległości. W tle rywalizacji o ten obszar są bogate złoża surowców, a zwłaszcza fosforytów.

Słowa pisarza, które w jego ojczyźnie uznano za jednoznaczne poparcie dla praw Maroka do spornych terytoriów, rozsierdziły władze w Algierze. Według algierskiego dziennikarza Lakhdara Benchiby, piszącego na łamach „Le Monde Diplomatique", głos Sansala wywołał gniew nie tylko władz, lecz także zwykłych Algierczyków. W internecie pojawiały się głosy wzywające do „zlinczowania" opozycyjnego autora.

Jasno z tego widać, jak duże emocje budzi po stronie algierskiej kwestia Sahary Zachodniej. Jednak skąd tak drastyczny wyrok za kilka wypowiedzianych słów?

Macron gra w Maroko

Aresztowanie i proces Boualema Sansala miały charakter politycznego rewanżu. Można powiedzieć, że stał się on – niejako rykoszetem – ofiarą rozpoczętego latem 2024 r. nowego konfliktu między Paryżem a Algierem. Konfliktu, który toczy się na kilku różnych „frontach".

– Od czasu uzyskania przez Algierię niepodległości w 1962 r. jej relacje z Francją nigdy nie były tak napięte jak dzisiaj. Nawet jeśli przez ostatnie pół wieku zawsze istniały punkty zapalne między dawnym kolonizatorem a dawną kolonią – mówi „Tygodnikowi" Michel Pierre, były francuski dyplomata i historyk, autor wydanej dwa lata temu nad Sekwaną „Historii Algierii od początków do dzisiaj".

W dość zgodnej opinii obserwatorów zapalnikiem dla bieżącej fazy sporu był list Emmanuela Macrona do króla Maroka Muhammada VI z lipca 2024 r. – francuski prezydent uznał w nim zwierzchność państwa marokańskiego nad Saharą Zachodnią (zrobiły tak wcześniej inne państwa, m.in. w 2020 r. USA za pierwszej kadencji Donalda Trumpa).

Algierska czerwona linia

– Prezydent Macron, już od momentu objęcia władzy w 2017 r., dążył do zakończenia sporu algiersko-marokańskiego o Saharę Zachodnią. Ale Algierczycy nie odpowiadali na jego propozycje. Najwyraźniej był już tym znużony i stąd chyba jego wyraźne opowiedzenie się po stronie Maroka – komentuje Michel Pierre.

Algieria zareagowała na list Macrona wycofaniem swojego ambasadora z Paryża, co wywołało „zwierciadlaną" decyzję Francji. Efekt: od ponad roku placówkami w obu krajach kierują dyplomaci w randze *chargés d'affaires*, a stosunki dyplomatyczne są zamrożone. Co więcej, w połowie kwietnia Algieria wydaliła z kraju 12 francuskich dyplomatów, na co Francja zaripostowała usunięciem ze swojego terytorium identycznej liczby przedstawicieli dyplomacji algierskiej.

– Sansal przekroczył tu jedną z czerwonych linii wyznaczonych przez władze algierskie. Trudno było sobie jednak wyobrazić, że reżim w Algierii posunie się do aresztowania wybitnego pisarza, w dodatku mającego, prócz algierskiego, także francuskie obywatelstwo – zauważa Michel Pierre, który w latach 1988-92, a potem na początku XXI w. pełnił misje dyplomatyczne w ambasadzie w Algierze.

Pamięć nie chce przeminąć

Historia Francji i Algierii ostatnich dwóch wieków jest nierozerwalnie splątana. Efekty tego widać dzisiaj.

Nad Sekwaną mieszka obecnie prawie milion algierskich imigrantów. Łącznie z ich dziećmi tutejszą wspólnotę Algierczyków szacuje się na dwa miliony osób. Z drugiej strony – dla około miliona Francuzów to Algieria była ojczyzną (nazywano ich *pieds-noirs*, czarne stopy). Musieli ją opuścić po 1962 r., gdy upadło francuskie panowanie w Afryce Północnej.



LEO VIGNAL / AFP / EAST NEWS

Intelektualiści francuscy i algierscy (emigracyjni) protestują przeciw uwięzieniu pisarza Boualema Sansala. Przed ambasadą Algierii w Paryżu, maj 2025 r.

Nad relacjami dyplomatycznymi Paryża i Algieru ciąży do dzisiaj dziedzictwo francuskiego kolonializmu oraz pamięć okrutnej – z obu stron – wojny o niepodległość Algierii z lat 1954-62.

Mimo upływu lat pamięć o tej wojnie algierskiej nie chce przeminąć i wciąż napędza konflikty między tymi krajami. Choć na początku rządów obecnego prezydenta Francji wydawało się już, że bliskie jest pojednanie między obo-ma narodami. Będąc jeszcze kandydatem na najwyższy urząd, w lutym 2017 r. Macron określił kolonizację jako „zbrodnię przeciw ludzkości" (powiedział to w wywiadzie dla algierskich mediów).

Próby pojednania

Potem, już w roli głowy państwa, Macron uczynił szereg gestów wobec Algierii, aby uznać francuską odpowiedzialność za zbrodnie dokonane w trakcie tamtej wojny.

Jeden przykład z 2021 r.: upamiętnienie przez władze francuskie 60. rocznicy tzw. masakry paryskiej z 17 października 1961 r. Policja brutalnie stłumiła wtedy pokojową manifestację Algierczyków w Paryżu. Zginęło co najmniej kilkadziesiąt osób; niektóre ciała policjanci wrzucali do Sekwany. Uroczystość odbyła się w obecności rodzin ofiar.

Ze strony Macrona padły wtedy słowa o tym, że ówczesna operacja francuskiej policji była „niewybaczalną zbrodnią dla Republiki".

Ponawiane przez francuskiego prezydenta próby pojednania bywały ostro krytykowane – zarówno przez francuską prawicę i skrajną prawicę, jak też przez algierskich decydentów. Ci pierwsi powtarzali, że nie tylko Francja jest winna i nie tylko ona powinna przepraszać. Argumentowano, że walce o niepodległość Algierii towarzyszyły przecież także krwawe zamachy na cywilów w wykonaniu algierskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego (FLN).

Natomiast strona algierska, jak pisze wspomniany algierski dziennikarz Lakhdar Benchiba, „uznaje, że te gesty i słowa francuskich władz są niewystarczalne". W państwowych mediach w Algierii co i rusz pojawiają się oczekiwania „oficjalnych przeprosin" od Francji za jej brutalną walkę z FLN w czasie wojny algierskiej.

Groźny dziennikarz sportowy

Z perspektywy Zachodu współczesna Algieria, rządzona od 2019 r. przez prezydenta Tebbuna, ma charakter autorytarny.

Sześć lat temu, na fali antyrządowych i pokojowych manifestacji, ustąpił prezydent Abdul Aziz Buteflika, który rządził przez dwie dekady. Jednak nie poszły za tym demokratyczne zmiany. – Władza autorytarna nie oznacza dyktatury, gdyż nie ma tam jednego „wodza", o władzę walczą liczne klany, a wybory odbywają się w sposób względnie wolny – zastrzega Michel Pierre.

Algierskie media podlegają jednak ścisłej kontroli rządu. Według francuskiej organizacji Reporterzy bez Granic pod względem wolności prasy kraj ten zajmuje 126. pozycję (na 180 uwzględnionych krajów świata; dla porównania: Polska jest na 31. miejscu, a np. Rosja na 171.).

Tu dochodzimy do kolejnego punktu zapalnego we francusko-algierskiej czarnej serii. W algierskim więzieniu przebywa też 36-letni francuski dziennikarz sportowy Christophe Gleizes. 29 czerwca tego roku tamtejszy sąd skazał go w pierwszej instancji na 7 lat bezwzględnego więzienia za „apologię terroryzmu".

Co konkretnie mu zarzucono? Algierska policja zatrzymała go, gdy robił reportaż na temat klubu piłkarskiego w Kabylii. To region na północy kraju, z odrębnym językiem z rodziny berberyjskiej.

– Sądzę, że Gleizes spotkał się tam z „niewłaściwymi osobami" z punktu widzenia władz w Algierze. I to wystarczyło. Kwestia Kabylii, gdzie silna jest tendencja do autonomii, a nawet niepodległości, stanowi jeszcze jedną z czerwonych linii, których dziennikarze czy pisarze nie powinni w Algierii przekraczać – ocenia Michel Pierre.

Gleizes czeka w więzieniu na proces apelacyjny. Mimo mobilizacji francuskich mediów w jego obronie, nie ma pewności, że zostanie uniewinniony i odzyska szybko wolność.

Oburzenie na „Huryskę"

Do rozgrzania konfliktu francusko-algierskiego przyczyniła się jeszcze jedna kwestia natury literackiej. Mowa o przyznaniu Nagrody Goncourtów – najbardziej prestiżowego wyróżnienia literackiego nad Sekwaną – za powieść „Huryska" algierskiemu dziennikarzowi i pisarzowi Kamelowi Daoudowi (swoje książki pisze on po francusku).

„Huryska" ukazała się właśnie po polsku (wydawnictwo ArtRage w przekładzie ↦

↦ Oskara Hedemanna), a jej autor spotka się 25 października z czytelnikami podczas literackiego Festiwalu Conrada w Krakowie [więcej o pisarzu i jego książce patrz „TP" nr 25/2025 – red.].

Nagroda Goncourtów dla powieści Daouda wywołała głosy oburzenia w Algierii z kilku powodów. Kluczowe znaczenie ma to, że Daoud, podobnie jak Sansal, od lat krytykuje rząd algierski i islamizm na łamach francuskiej prasy. Jest on stałym felietonistą popularnego francuskiego tygodnika centroprawicowego „Le Point".

Ale nie tylko o to chodzi. „Huryska" narusza temat okryty milczeniem w dzisiejszej Algierii: niebywale krwawą wojnę domową z lat 90. XX w., tzw. czarną dekadę, podczas której islamscy fundamentaliści walczyli z siłami rządowymi.

„Tak, jestem zdrajcą"

Michel Pierre uważa, że nie tylko władze, ale także wielu zwykłych Algierczyków odebrało Nagrodę dla Daouda jako mieszanie się Francuzów w wewnętrzne sprawy ich kraju.

– W imię polityki pojednania narodowego i amnestii dla sprawców władze algierskie chcą zapomnieć o tym okresie. W Algierii publicznie używa się określenia „tragedia narodowa", tak jakby była ona nie sprawą ludzi, ale rodzajem boskiego fatum – tłumaczy Michel Pierre.

W swojej ojczyźnie 55-letni Kamel Daoud, który od 2023 r. mieszka na stałe we Francji, jest przedmiotem ataków w prasie podległej rządowi jako „zdrajca". Zarzuca mu się, że tworzy w języku „kolonizatora", że otrzymał obywatelstwo Francji i tam osiadł.



AFP / EAST NEWS

Francuski dziennikarz sportowy **CHRISTOPHE GLEIZES** *został skazany na 7 lat więzienia za rzekomą apologię terroryzmu.*



GEOFFROY VAN DER HASSELT / AFP / EAST NEWS

W Algierii **KAMEL DAOUD** *jest uważany przez wielu za zdrajcę. Zarzuca mu się, że tworzy po francusku, otrzymał obywatelstwo Francji i tam osiadł.*

Na te zarzuty pisarz odpowiada w ostatnim eseju „Czasem trzeba zdradzić", który ukazał się już po otrzymaniu przez niego Nagrody Goncourtów. Daoud przyjmuje za dobrą monetę obraźliwy epitet. „Tak, jestem zdrajcą" – powtarza przewrotnie, ale obraca to słowo na własną korzyść, bo „nie ma przyszłości bez zdradzenia przeszłości".

Nazywa siebie nomadą, krążącym wciąż między dwiema kulturami i dwoma krajami, które są mu bliskie. „Wszyscy prorocy musieli być zdrajcami swojej epoki i zawistnej pustyni. Ci, którzy oświetlają drogę w nocy, muszą zdradzić powolne tempo idącej za nimi karawany" – pisze we wspomnianym eseju. I nie szczędzi krytyki swoim konserwatywno-religijnym adwersarzom.

Czy finezyjna literacko „pochwała zdrady" pióra Daouda wywrze wpływ na algierski rząd? Można w to wątpić. W każdym razie „Huryska" pozostaje w jego ojczyźnie książką zakazaną.

Ostatnie słowo

Wróćmy do sprawy Boualema Sansala. Mimo ponawianych od miesięcy apeli o uwolnienie pisarza – francuskich i europejskich, włącznie z niedawną rezolucją Parlamentu Europejskiego – rząd w Algierze pozostaje nieustępliwy.

Tymczasem jego obrońcy – wśród nich koledzy po piórze, jak wspomniany Daoud – alarmują, że dalszy pobyt w więzieniu oznacza dla ponad 80-letniego Sansala faktyczny wyrok śmierci. U pisarza wykryto nowotwór prostaty.

– Francja nie ma dzisiaj żadnego narzędzia skutecznego nacisku na Algierię. Można mieć tylko nadzieję, że z okazji nadchodzącego 1 listopada święta narodowego w Algierii prezydent Tebbun ułaskawi Sansala. Ale nie wiemy, czy tak się stanie – uważa Michel Pierre.

Rozmówca „Tygodnika" prognozuje: – Jeśli nie uda się powstrzymać eskalacji między Paryżem a Algierem, to kolejnym krokiem będzie zerwanie stosunków dyplomatycznych.

W swoim ostatnim wystąpieniu, wygłoszonym przed algierskim sądem, oskarżony Sansal mówił: „Mamy tu nic innego, jak proces przeciw literaturze".

Reżimy autorytarne często traktują pisarzy, zwłaszcza tych szukających swojej własnej niszy wolności, jak „żywe tarcze". Algieria – na mapie dzisiejszego świata – nie jest tu, niestety, wyjątkiem.

© SZYMON ŁUCYK

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś. † P.

Profesora

Mariana Tischnera

Wyrazy najszczerszego współczucia i otuchy składamy

Łukaszowi Tischnerowi i całej Rodzinie.

Redakcja „Tygodnika Powszechnego"

ELIZA

Kącka:
Party ze zniczem



Pociąg do Olsztyna, rodzina z dzieckiem w wieku przedszkolnym. Matka: „Grześ, masz kartkę, nie złość się, Grześ. Mama zabierze rysunek, nie złość się, mama zabierze". Grześ wierzga. Ojciec: „Grześ, masz czystą kartkę, narysuj tatusia". Grześ zawiesza się, przeskakuje spojrzeniem za okno. A za oknami ciemna, wysycona ściana lasu. „Rysuj tatusia". Grześ zaczyna krzyczeć. Najpierw cienko, potem gardłowo. Matka: „Grzesiuńka...". Ojciec: „Nie, ja nie wytrzymam". Do matki: „Do Warsa idę". Chłopiec wyje już na cały bezprzedziałowy. Głosy z wnętrza wagonu: „To jest nieznośne". „Jak się tak ma, to się nie jeździ". „Wychowanie tak zwane bezstresowe". Matka do mnie półgłosem: „On źle znosi podróże". „Uhm". „Wolę samochód. Jest tak samo, ale nikt nie widzi". „Aha". Grześ furiacko kopie w rant stolika. „Mąż zrobi przystanek, wyjdzie, zapali. A tu nic. I te krzyki na widoku". Uśmiecham się pocieszająco. „On tego nie wytrzyma. Zostawi nas". Grześ uderza piąstkami w oparcie. Pytam, czy mogę się dosiąść. Matka na zwątpieniu: „Nie zna pani takich dzieci". „Trochę znam". „Nie, nie. Nic z tego nie będzie". „?". „Bo wszystkie kartki muszą być czyste, rozumie pani, a ja wzięłam kilka napoczętych. I on to zauważył, jego to strasznie drażni". Mały milknie i znów opuszcza nas wzrokiem. Matka płacze: „Nie dopilnowałam. Głupia, jaka jestem głupia. Jak mogłam nie sprawdzić. Ta jedna kartka. Byłby spokój. Jeszcze. Dwie godziny. Nie wytrzymam". Do mnie: „Jedna teczka, jedna, a nie sprawdziłam. On mnie zostawi w końcu. Wszystkie zamalowane kartki trzeba wyrzucać. Ja sobie strzelę w łeb". Odwraca się do okna i zastyga w hipnozie szyby, jak syn. Płacze bezgłośnie.

Autobus 119, ze mną vis-à-vis dwie z grubsza sześćdziesięcioletnie. Pierwsza: „No ale uczelnia dała mu profesurę". Druga: „Wiem, i co?". „Wiesz, profesor, gdzie nam do niego". „Nie przesadzaj. Zawsze był wredny". „W sensie?". „Nie pamiętasz, jak cię poniżał?". „No niby. Ale też, myślę, miał prawo". „Prawo?! Bo jest profesorem?!". „No tak...". „Jej, Joanna, nie załamuj mnie. Każdego tak usprawiedliwisz?". „Nie każdego". „Rób, co chcesz, ale ja nie chcę słuchać jego wspomnień, jak to byłyśmy głupie już wtedy. Ja się realizuję". „No, ja też". „Kawał życia za nami. Nie będę się na zjeździe szkolnym tłumaczyć facetowi, co na mnie kablował, żeby mieć lepszą średnią". „No, ale wiesz...". „...jest profesorem". „Z naszej klasy najwięcej osiągnął". „Jak każdy kabel". „Majka!". Milczą. Majka: „Słyszałaś, co Marysia opowiadała: molestowanie, przemocowe traktowanie studentów...". „Nie wiem, może, to jest wpisane...". „Wpisane?". „Zaszedł wysoko, to ludzie plotkują". „Ludzie?! Ej! Ta doktorantka to rodzina Marysi". „Młoda dziewczyna". „Aśka! Też byłaś młodą dziewczyną". „Tak, ale mnie profesor nie chciał". „A gdyby chciał...". „Powiem tak: nie robiłabym afery".

Tramwaj 19, dwóch w wieku licealnym. „Masz tę notatkę o Noblu?". „Coś mam". „Chciałem naukę robić, a babka dała literaturę". „Odpiszesz ode mnie, trochę zmienisz". „Kto to w ogóle jest?". „Jakiś Węgier, dziwne nazwisko". „Po co to jest?". „Kasa dla niego". „Po co my się tą literaturą zajmujemy?". „Nie wiem". „Stary mówi, że Nobel powinien odpuścić literaturę". „Aha?". „Nowe technologie, nauka. To można opłacać. A dawanie jakimś nerdom za książkę? Wiesz...". „Spisuj, spisuj". „Dzięki, szkoda by mi było czasu na niego". „Jak Szwedzi mają kaskę, to niech dają. Matka mówiła, że zrobili z niego film i był dobry". „No może. Ale wiesz, szkoda kasy na doskonalenie AI, a daje się jakiemuś gostkowi, co powieści pisze...". „No, trochę dramat". „No dramat".

Jedno z nagrań ponagrodowych, idę do poczekalni w studiu telewizyjnym. Czas przedantenowy, więc wybebeszam plecak. Najpierw siatka z warzywniaka: kartofle, szparagowa, orzechy dla wiewiórek. Potem karton ze statuetką. Goście z kanap okolicznych przyglądają mi się z rozbawieniem. Gość spod ściany: „To rekwizyty?". Ja: „Można tak powiedzieć". Wrzucam warzywniak do plecaka, idę się malować. Wracam, wyciągam statuetkę. Lekkie poruszenie. Kierujący ruchem: „O, cwane, Nike w kartoflach". Kobieta spod ściany: „Ale to prawdziwa?". Ja: „Statuetka? Owszem". Z miny wnoszę, że kupiłam na bazarku. Kierujący ruchem: „Kartofle z płaszczem do garderoby, idziemy na wizję". Idziemy.

Autobus 180, Czerniakowska. Dwie po dwudziestce: „Jedziesz na groby?". „Jadę, matka mi nie daruje". „Może wykręć się... Imprezę robię". „O!". „Moi jadą na Podlasie i mam całe mieszkanie dla nas". „Jejku". „No, zaproszę tego twojego". „Nie jest mój". „Jeszcze nie. Chyba że wybierasz party ze zniczem". „Przestań! Wybieram ciebie. Muszę się rozchorować". „A nie możesz matce powiedzieć, że cmentarz cię nie kręci?". „Co ty! Odetnie mi fundusze". „Aż tak?!". „Już mi rok temu powiedziała, że nie będzie mnie sponsorować, jak nie pokocham grobów".

Skwer Chorwacki, tuż po deszczu. Przysiadam w skórzanym płaszczu na ławce. W sąsiedztwie gość ze starym jamnikiem szorstkowłosym. Pies mości się w dołku pod siedziskiem. „Czyta pani?". „A tak". „Rzadki widok. A co?". „Manna". „»Doktor Faustus«! Też kiedyś próbowałem". „Przeżywałam, gdy miałam siedemnaście lat. Chcę zrozumieć, dlaczego". „Ja się diabła wystraszyłem". „Serio?". „Tak, zimnego piekła. Dość go mamy tutaj". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).



WIARA

ZADOŚĆUCZYNIENIE PO POLSKU

Watykańska komisja ochrony nieletnich mówi jasno o konieczności reparacji dla skrzywdzonych w Kościele. Czy polscy biskupi jej posłuchają?

PAULINA GUZIK

W mojej diecezji jest taki beton, że dopiero teraz, tyle lat po zakończeniu krzywdy, idę ją zgłosić, mimo że jestem po wielu latach terapii – mówi Danka „Tygodnikowi Powszechnemu". – To daje do myślenia. Pokazuje, gdzie jesteśmy. Ja jestem wewnętrznie „pozbierana" ze swoją krzywdą, ale potrzebowałam wiele czasu, by skonfrontować się z Kościołem instytucjonalnym. Wiem, że tam po drugiej stronie są ludzie, którzy myślą, że w diecezji nie ma skrzywdzonych, „bo u nas wszystko jest OK".

Jej oprawca zmarł kilka lat temu. Dziesięć lat temu przestał ją krzywdzić. Krzywda seksualna trwała kilka lat.

Z Danką rozmawiam w momencie, kiedy Papieska Komisja ds. Ochrony Małoletnich wydaje drugi już roczny raport o stanie ochrony dzieci i młodzieży na świecie. Opublikowany 16 października dokument w ogromnej mierze skupia się na reparacjach, czyli polityce zadośćuczynienia za krzywdę wykorzystywania seksualnego.

Sześć etapów zadośćuczynienia

Raport został stworzony na podstawie 40 wywiadów ze skrzywdzonymi na całym świecie. Dotyczy reparacji, choć nie tylko tych finansowych, które papieska komisja stawia na czwartym miejscu.

Po pierwsze – raport mówi o przyjęciu, słuchaniu i trosce o skrzywdzonych. Komisja zaleca tworzenie bezpiecznych



MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

Plac św. Piotra, Rzym, 22 sierpnia 2018 r.

przestrzeni, w których „ofiary/osoby, które przeżyły krzywdę – mogą dzielić się swoimi doświadczeniami, także bezpośrednio z władzami Kościoła, jeśli sobie tego życzą".

Po drugie – komisja kładzie nacisk na komunikację, chociażby „wydawanie oficjalnych oświadczeń Kościoła, które uznają wyrządzoną krzywdę i biorą na siebie odpowiedzialność Kościoła jako całości". Rozumie pod tym punktem także publiczne i prywatne przeprosiny.

Po trzecie – częścią rekomendowanych reparacji jest wsparcie duchowe i psychoterapeutyczne: zapewnienie dostępu do profesjonalnego poradnictwa, towarzyszenia duchowego i opieki duszpasterskiej, „ze szczególnym uwzględnieniem ofiar/osób, które przeżyły krzywdę, w perspektywie długoterminowej".

Dopiero po czwarte komisja wymienia, zgodnie z licznymi rozmowami z osobami skrzywdzonymi – co trzeba przypomnieć – wsparcie finansowe, rozumiane jako „zapewnienie odpowiedniej pomocy finansowej ofiarom/osobom, które przeżyły krzywdę, na pokrycie kosztów poniesionych w wyniku nadużyć, w tym opieki medycznej i psychologicznej, jako kluczowego elementu procesu leczenia".

Bardzo ważne w opinii komisji jest to, że „odszkodowania finansowe, które nie uwzględniają tych kosztów, zazwyczaj nie są skutecznym sposobem rekompensaty dla ofiar/osób, które przeżyły krzywdę, ponieważ profesjonalne leczenie znacząco wspomaga ich powrót do zdrowia. Kościół powinien przejąć odpowiedzialność za te koszty w ramach wsparcia dla nich i ich rodzin".

Po piąte – za część rekomendowanych reparacji komisja uznaje także reformy instytucjonalne i dyscyplinarne: „wzmocnienie zabezpieczeń dla ochrony nieletnich i osób dorosłych w trudnej sytuacji, z istotnymi sankcjami dla sprawców i osób, które umożliwiły nadużycia".

Skrzywdzeni, mówi komisja, nie powinni być pozostawieni „w niepewności co do odpowiedzialności sprawców nadużyć i tych, którzy im na to pozwolili lub je ukrywali".

I wreszcie po szóste – komisja wymienia „inicjatywy na rzecz ochrony w społeczności kościelnej, takie jak wdrażanie programów uświadamiających skierowanych do duchownych, zakonników i wiernych świeckich, które będą wspierać proces zbiorowego uzdrowienia".

„Do budowania bezpiecznego Kościoła – mówi papieska komisja – zobowiązana jest cała wspólnota kościelna". I dodaje, że nie chodzi tu o „zewnętrzne zobowiązania", ale o „samo serce Ewangelii, którą żyje Kościół".

Usłyszeć skrzywdzonych

Teresa Kettelkamp, jedna z sekretarzy papieskiej komisji (znanej na całym świecie pod nazwą Tutela Minorum), ocenia, że tegoroczny raport jest „znacznie lepszy niż pierwszy, który był raportem pilotażowym". Rozmawiałam z nią w Krakowie, dla amerykańskiej agencji informacyjnej OSV News. Właśnie w Krakowie odbywało się zebranie plenarne komisji, spotykającej się raz w roku w Rzymie, drugi raz – w wybranym miejscu w świecie.

Zdaniem Kettelkamp komisja dąży do ustanowienia mechanizmów, dzięki którym „władze kościelne będą mogły wziąć na siebie odpowiedzialność za zapewnienie bezpieczeństwa dzieciom i osobom bezbronnym pozostającym pod opieką Kościoła, a także za zapewnienie bezpieczeństwa Kościoła". „Mamy słowa Jezusa Chrystusa, które mówią: waszym obowiązkiem jest troska o małe dzieci" – dodała, wyjaśniając, że wprowadzenie środków ochrony to zadanie lokalnych biskupów, a komisja jest w tej kwestii jedynie organem doradczym.

„Jeśli biskupi spotkają się z ocalałymi i wysłuchają ich historii, wtedy Duch Święty wkroczy i przemieni serca – mówiła Kettelkamp w wywiadzie. – Myślę, że jeśli uda nam się zachęcić biskupów do większej wrażliwości, takiej, jaką powinni odznaczać się apostołowie Chrystusa, może zobaczymy globalne nawrócenie w kwestii bezpieczeństwa dzieci. Miejmy nadzieję, że także poza Kościołem katolickim, bo inne wspólnoty religijne również mogą pójść w nasze ślady".

Ochrona dzieci w Polsce

Jakie jest *status quo* ochrony dzieci i młodzieży w Polsce? Przypomnijmy najważniejsze fakty.

Pierwszym ośrodkiem badającym problem kościelnych krzywd było krakowskie Centrum Ochrony Dziecka (COD), w 2024 r. obchodzące swoje 10-lecie – instytucja, na rzecz której od lat pracują jezuita o. Adam Żak i dr Ewa Kusz, członek papieskiej komisji.

W ciągu 5 lat od ujawnienia kryzysu w kraju, Kościół w Polsce wprowadził sporo innowacji. Do najważniejszych należy powołanie w 2019 r. Fundacji św. Józefa, która finansuje wsparcie – w tym terapię – ofiar przemocy. Kluczowe było także stworzenie Biura Delegata ds. Ochrony Dziecka Konferencji Episkopatu Polski, na czele którego stoi od lat Wojciech Polak, arcybiskup gnieźnieński, prymas Polski.

Wciąż jednak nie opublikowano krajowego raportu o skali przemocy. Ma nad nim pracować komisja śledcza, której powołanie zapowiedziała – w marcu 2023 r. – Konferencja Episkopatu Polski. Po 30 miesiącach od rozpoczęcia prac koncepcyjnych komisja wciąż nie powstała. Co więcej, po burzliwych obradach w czerwcu tego roku biskupi odwołali z funkcji jej głównego organizatora prymasa, stawiając na czele zespołu bp. Sławomira Odera z Gliwic.

Tymczasem eksperci wskazują, że jedną z głównych przyczyn gwałtownego ↦

↦ spadku zaufania do Kościoła katolickiego w Polsce jest jego niechętna reakcja na kryzys związany z przemocą seksualną. Według badań Kościołowi ufa dziś zaledwie jedna trzecia tradycyjnie katolickich Polaków.

Czy zatem Kościół w Polsce jest gotowy na reparacje, o których mówi papieska komisja? Nawet jeśli nie chodzi w pierwszej kolejności o zadośćuczynienie finansowe?

Zdaniem skrzywdzonych

Danka, pytana wprost, czy myślała kiedykolwiek o żądaniu reparacji finansowych, odpowiada krótko: „Nie".

Również inni skrzywdzeni, z którymi rozmawialiśmy, wymieniają zadośćuczynienie finansowe gdzieś na końcu listy spraw do załatwienia. Wszyscy zgodnie mówią, że Kościół w Polsce nie jest jeszcze w stanie ich „przyjąć" i „wysłuchać", a właśnie od tego – na szeroką skalę – należałoby zacząć. Dodają, że choć wszystkie diecezje mają już odpowiednie komórki i pracowników – delegatów, którzy przyjmują zgłoszenia krzywd – to w wielu diecezjach wciąż panuje mentalność, że skrzywdzonych „nie ma".

– Przede wszystkim myślę o tym, że chciałabym być przyjęta i usłyszana. I że to jest początek do czegokolwiek dalej – mówi „Tygodnikowi Powszechnemu" Ola. – Gdybym miała takie bezpieczne miejsce, w którym mogę opowiedzieć o tym, co się stało, co mi dolega i czego w związku z tym potrzebuję, to myślę, że znaleźlibyśmy płaszczyznę jakiegoś porozumienia – dodaje.

Inna osoba skrzywdzona, mężczyzna, który nie chciał podawać swojego imienia, mówi „Tygodnikowi": – Czytam w raporcie o wypracowywaniu praktyk komunikacyjnych, systemów wsparcia... I myślę o tym, że wprowadzenie nawet najlepszych praktyk i systemów jest wtórne wobec zmiany mentalności. Bo jeśli te dobre praktyki komunikacyjne dostaną do rąk ludzie do nas nieprzekonani lub wrogo nastawieni, wszystko skończy się na retraumatyzacji. Zastanawiam się więc, jakie kroki można by podjąć w kierunku głębszej zmiany mentalności. Widzę, że w raporcie jest mowa o programach uświadamiających. To chyba jest dobry kierunek – dodaje skrzywdzony. – Zmiana mentalności musi zacząć się od dialogu, a nie od kampanii informacyjnych. Myślę, że potrzeba nam dzisiaj nawet wysłuchania lęków i złości tych, którzy są do nas wrogo nastawieni.

Bp Artur Ważny przyznaje, że odszkodowania są już wypłacane przez polskie diecezje **– po mediacji i bez procesów sądowych.**

Fundacja św. Józefa

Ola, zapytana, czy znalazła w Kościele przestrzeń wysłuchania i rozmowy, odpowiada: – Znalazłam, ale w grupach zorganizowanych wokół osób skrzywdzonych. Natomiast brakuje mi tego, jeśli patrzę na swoją diecezję. Tam w zasadzie nie spotkałam się z żadną z form wysłuchania i rozmowy. Wiem, że jest z tym problem.

Skrzywdzeni podkreślali zgodnie, że Fundacja św. Józefa, kierowana od początku (czyli od 2019 r.) do września tego roku przez Martę Titaniec, jest właśnie taką przestrzenią słuchania.

– Działania fundacji są ewenementem na skalę światową – mówi jeden ze skrzywdzonych. – Fundacja jest oceniana bardzo wysoko, ale raczej przez świat zewnętrzny, pozakościelny. Paradoksalnie kiepską sławą cieszy się wśród duchowieństwa i hierarchii w Polsce. Szkoda, że coś, z czego moglibyśmy być dumni, wciąż w wielu środowiskach kościelnych uznawane jest za zagrożenie.

Reparacje finansowe, często „niechciane" przez skrzywdzonych, są jednak bardzo potrzebne, zważywszy na ich sytuację życiową. Skrzywdzeni zgodnie mówią: „w Polsce jakby nie jesteśmy na to gotowi". Podkreślają jednak, że krzywda często „zrujnowała skrzywdzonym życie", niektórzy znaleźli się „w bardzo trudnych warunkach materialnych" i w wielu przypadkach wskazane byłoby wyznaczenie kwoty, jaką Kościół przeznaczy na finansowe reparacje.

– Być może na zasadach indywidualnych – sugeruje Ola – poprzez wsłuchanie się w historię konkretnego człowieka.

Danka dodaje: – Gdy chcę spotkać się w mojej sprawie z delegatem czy z biskupem, boję się, że będę oskarżona o to, że chcę wyłudzić pieniądze. Dlatego czuję w sobie opór. Bo wiem, że właśnie takie jest często podejście do osób skrzywdzonych: znowu czegoś od nas chcą. Czegoś, czyli pieniędzy. A ja chcę być usłyszana. Dopiero wtedy zniknąłby ten lęk, po każdej stronie. Bo ja nie zagrażam Kościołowi. Jestem jego częścią.

Inny skrzywdzony mówi, że pomogłoby prawne uznanie ich za stronę w procesie kościelnym: – Dopóki skrzywdzeni nie zostaną upodmiotowieni w procesach kanonicznych, stosowanie zaleceń dotyczących informowania ich o przebiegu spraw pozostanie kwestią wyłącznie uznaniową.

Jesteśmy w procesie

O skomentowanie raportu i jego wytycznych poprosiliśmy także bp. Artura Ważnego, ordynariusza diecezji sosnowieckiej, jednego z niewielu – obok prymasa Wojciecha Polaka – hierarchów w Polsce gotowych na rozmowę *ad hoc* o kryzysie wykorzystywania seksualnego w Kościele.

Zapytany o stosunek Kościoła w Polsce do tego kryzysu, bp Ważny przyznaje, że „jesteśmy w procesie" – mamy procedury, „żeby do takich sytuacji już więcej nie dochodziło", ale też „uczymy się pewnej wrażliwości, czyli tak naprawdę mamy do czynienia ze zmianą mentalną dotyczącą przyjmowania osób skrzywdzonych, traktowania ich podmiotowo, rozmawiania z nimi, słuchania ich, rozumienia".

– Myślę, że w wielu sytuacjach jeszcze nie rozumiemy dramatu osób skrzywdzonych, tego, co one przeżyły – przyznaje biskup. – Tego, że złamane jest życie, a nie tylko zdrowie.

Bp Ważny zwraca uwagę, że kwestia reparacji to „doświadczanie poczucia sprawiedliwości" i że skrzywdzeni w Polsce „na pewnym etapie chcą wiedzieć, że to oni byli ofiarami, a nie że prowokowali czy kogoś krzywdzili".

– Powoli dostrzegamy, że potrzebujemy takiego całkowitego wsparcia, że to też jest proces towarzyszenia osobom skrzywdzonym. Długofalowy, specjalistyczny proces wsparcia psychologicznego, terapeutycznego, w tym także opieki duchowej. Dlatego dla procesu zdrowienia jest bardzo ważne, żeby pojawiło się też odszkodowanie. W takiej czy innej formie.

Bp Ważny podkreśla również rolę nawrócenia.

– Mentalnego, dotyczącego wszystkich w Kościele, żebyśmy inaczej myśleli o skrzywdzonych.

Sosnowiecki ordynariusz uznaje to za „kwestię teologiczną” – wizję Kościoła.

– Gdy patrzymy na Kościół, to gdzie jest osoba skrzywdzona? Kto jest w centrum? Myślę, że do tej pory często chodziło nam o instytucję, wspólnotę, o jakieś dobre imię, fałszywie rozumiane w Kościele. Osoba skrzywdzona nie była brana pod uwagę. A to ona dla Jezusa stanowi centrum. Taka optyka jest ważna. Bo Jezus przyszedł do tych, co się źle mają, a nie do tych „sprawiedliwych”. A my często próbowaliśmy się zajmować tymi „sprawiedliwymi”, żeby uratować tę wizję Kościoła, uratować jego dobre imię. I nie byliśmy wierni Ewangelii.

Biskup o odszkodowaniach

Bp Artur Ważny potwierdza, że „wiele z tych osób nie chce odszkodowań w formie finansowej”, oczekują natomiast „pomocy w terapii”. Dodaje, że odszkodowania są już wypłacane przez polskie diecezje – po mediacji i bez procesów sądowych, w których, jak przyznaje hierarcha, skrzywdzeni „czują się narażeni na kolejne skrzywdzenie, wykorzystywanie i manipulowanie przez adwokatów”. Dlatego najważniejsza jest troska o te osoby.

– To także troska, by nie było innych skrzywdzonych. To również dojście do prawdy, pociągnięcie do odpowiedzialności osób winnych, sprawców, ale i tych, którzy na różnych etapach ukrywali takie procedery. Temu zresztą mają służyć też wszystkie nasze komisje – dodaje biskup.

Jego diecezja jest pierwszą, która powołała niezależną komisję ds. zbadania skali i charakteru kryzysu wykorzystywania seksualnego. Jej przewodniczącym został Tomasz Krzyżak, dziennikarz „Rzeczpospolitej”, od wielu lat zajmujący się m.in. tematyką wykorzystywania seksualnego dzieci i młodzieży w środowiskach kościelnych.

Biskup Ważny pytany o przyczyny powolnej zmiany mentalności w Kościele w Polsce i braku radykalnego nawrócenia na skrzywdzonych mówi, że za biskupami „ciągnie się” wyniesiona z czasów komunizmu „nieufność do osób świeckich”.

– Może też o to chodzi w kwestii reparacji – przyznaje biskup – że pomogłyby w odzyskaniu wiarygodności Kościoła. Po to, by mógł pełnić swoją misję.

– Jeśli w tych kwestiach nie będziemy sprawiedliwi, czy będziemy w stanie głosić Ewangelię? – pyta retorycznie hierarcha.

Powoli do przodu

Ostrożnym optymistą jest też bp Luis Manuel Alí Herrera, sekretarz komisji Tutela Minorum. Prezentując tegoroczny raport na watykańskiej konferencji, przyznał, że w wielu krajach mentalność zmienia się wolno i wciąż nie można powiedzieć, że Kościół uporał się z kryzysem (a chodzi nie tylko o kraje globalnego Południa, ale także choćby o Włochy, gdzie wiele diecezji nie odpowiedziało w ogóle na pytania wysłane przez komisję). Sekretarz komisji zapewniał jednak, że proces, choć powolny, „posuwa się do przodu”.

– Pamiętam, że gdy zaczynaliśmy, bardzo trudno było nawiązać relacje z niektórymi lokalnymi Kościołami czy nawet z pewnymi strukturami w kurii rzymskiej. Nie rozumieli, czym jest papieska komisja.

Bp Herrera dodał, że dziś Kościół jest o wiele bardziej świadomy podjętych kroków, a troska o skrzywdzonych jest w sercu działań jego komisji.

Całe szczęście nie jesteśmy już na etapie, kiedy myślimy o problemie jako o „rodzinnym sekrecie”, który „należy zabrać ze sobą do grobu”, mówił na konferencji nowy przewodniczący papieskiej komisji, abp Thibault Verny. „To dlatego, że uczymy się przez łaskę spotkania ze skrzywdzonymi, która w sposób wyzwalający pozwala nam być świadomymi dramatu [wykorzystywania]”.

O tym, że przed Kościołem w skali globalnej – nierównym w odpowiedzi na kryzys, co widać po zmieniającej się bardzo powoli mentalności hierarchów w Polsce – jeszcze dużo pracy, świadczą słowa Maud de Boer-Buquicchio, liderki zespołu tworzącego roczny raport komisji Tutela Minorum, współpracującej z Radą Europy (od 1969 r.) i pełniącej w tejże instytucji funkcję specjalnej sprawozdawczyni ds. handlu i wykorzystywania seksualnego dzieci (od maja 2014 do kwietnia 2020). Podczas konferencji prezentującej raport podziękowała ona dziennikarzom za ich misję słuchania skrzywdzonych.

– Jesteście niezastąpionym sojusznikiem. Proszę, kontynuujcie swoją nieocenioną pracę jako sygnaliści, ujawniając nadużycia i domagając się odpowiedzialności.

Dopóki jednak to dziennikarze, nie biskupi, będą słuchać regularnie skrzywdzonych, instytucja nie zrobi kroku w przód – bardzo wyraźnie pokazuje to roczny raport komisji. Słuchanie i transparentna komunikacja musi stać się także priorytetem dla kościelnej hierarchii. Słuchanie jest pierwszym elementem zadośćuczynienia. Elementem, który wymaga czasu i zatrzymania się nad dramatem człowieka. A to często o wiele trudniejsze niż sięgnięcie do kurialnego portfela z napisem „reparacje”.

© PAULINA GUZIK

TP JUŻ W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” DODATEK SPECJALNY

PARTNER WYDANIA

Jubileusz Caritas Polska

- Jak pomagać ludziom bezdomnym, ubogim, chorym, wykluczonym, którzy utracili sens życia?
- Czy Caritas ma receptę na odbudowę nadziei?
- W obszernym artykule przyglądamy się codziennej pracy Caritas, która wykracza daleko poza doraźną pomoc.
- Refleksja nad historią mądrej pomocy, która nie ustaje mimo zmieniających się czasów i wyzwań.

35 lat caritas

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 29 PAŹDZIERNIKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



GRZEGORZ BOGUSZEWSKI / REPORTER

Wystawienie Katechizmu Kościoła Katolickiego oraz dokumentów Soboru Watykańskiego II na mszy rozpoczynającej Rok Wiary. Na zdjęciu biskup pomocniczy warszawski Tadeusz Pikus. Katedra św. Jana Chrzciciela, Warszawa, 11 października 2012 r.

Busola czy kotwica

PAWEŁ RAKOWSKI

TEOLOGIA | Katechizm Kościoła Katolickiego uważa się za kompendium nieomylnego i niezmiennego nauczania. Choć akurat do jego treści żaden z tych atrybutów nie pasuje.

Mało który dokument Kościoła tak mocno zadomowił się w rzymskokatolickiej rzeczywistości, zwłaszcza w tak młodym – jak na tę instytucję – wieku. Od pierwszego wydania Katechizmu Kościoła Katolickiego (KKK) minęły raptem 32 lata, a trudno znaleźć mocniejszy punkt odniesienia, jeśli chodzi o przekaz doktryny.

To sukces niebywały, tym bardziej że od samego początku towarzyszyły mu różne wątpliwości. Owszem, nie w Polsce, gdzie krytyczne opracowania katechizmu nie istnieją, a z dyskusji, paneli, rekolekcji, homilii czy komentarzy w mediach społecznościowych można odnieść wrażenie, że jego tekst ma autorytet równy soborowym dokumentom czy nawet Pismu Świętemu. Z kolei w innych krajach krytycy dokumentu zarzucali mu, że stał się wyrazem konserwatywnej wizji Kościoła, a nie odbiciem reform Soboru Watykańskiego II. Tyle tylko, że pytanie o katechizm nie jest wcale pytaniem o treść rzymskokatolickiej wiary po soborowej reformie.

Szybka ścieżka

Współczesny katechizm – opublikowany w 1992 r. – nie jest oczywiście pierwszym w historii Kościoła. Zdaniem wielu teologów i historyków palma pierwszeństwa należy się starożytnemu tekstowi „Didache" (II w.), uznawanemu za najstarsze kompendium wiary i zasad moralności. Pierwszy „wzorcowy" katechizm powstał jednak dopiero w XVI w., na polecenie Soboru Trydenckiego (Katechizm Rzymski, 1566 r.).

Tamten katechizm ze współczesnym łączy struktura tekstu – oba dokumenty składają się z czterech części. Pierwsza jest o prawdach wiary (z komentarzem do Credo), druga o sakramentach, trzecia – o sprawach moralnych (z komentarzem do Dekalogu), a czwarta o modlitwie (z komentarzem do „Ojcze nasz"). Łączy je też adresat – są przeznaczone przede wszystkim dla odpowiedzialnych za katechezę biskupów, pasterzy Kościoła, kapłanów, katechetów, redaktorów innych wersji katechizmów. W nowym katechizmie zaznaczono jednak, że jego czytanie może przynieść pożytek wszystkim wiernym (KKK 12).

Impulsem – przynajmniej tym oficjalnym – do powstania aktualnego katechizmu był nadzwyczajny synod biskupów w 1985 r. (zwołany w 20. rocznicę zakończenia Soboru Watykańskiego II), którego uczestnicy apelowali: „Jest naszym prawie jednomyślnym życzeniem, by zostały opracowane katechizm lub kompendium całej nauki katolickiej w dziedzinie wiary i moralności". Rok później Jan Paweł II powołał komisję, z kard. Józefem Ratzingerem jako przewodniczą-

cym, do opracowania katechizmu. Prace szły błyskawicznie. Jeden z najważniejszych tekstów współczesnego Kościoła powstał w ciągu sześciu lat, podczas gdy np. tłumaczenia zreformowanego mszału rzymskiego na języki narodowe – praca dużo prostsza – zajmowały nieraz po kilkanaście lat.

Pierwszy projekt katechizmu konsultowany był w wąskim gronie, kolejne szkice były rozsyłane do biskupów na całym świecie z zastrzeżeniem tajemnicy (*sub secretum*). Czasu na zgłaszanie uwag i przesłanie propozycji zmian nie było wiele. Ostateczny projekt katechizmu został zatwierdzony 14 lutego 1992 r. i przekazany papieżowi, który promulgował go w październiku tego samego roku.

Ma być, jak jest

Ostateczny, nie znaczy, że niezmienny. Od samego początku nanoszone były poprawki w opublikowanym już katechizmie. Na stronie internetowej Opoki można znaleźć tekst, w którym te zmiany są pokazane. Pokreślony tekst katechizmu jest najlepszym dowodem, że dokument ten nie jest niezmienny i nienaruszalny.

Oczywiście, większość poprawek dotyczyła głównie zmian kosmetycznych i redakcyjnych. Prawdziwą burzę wywołał dopiero papież Franciszek w 2018 r., zmieniając akapit odnoszący się do kary śmierci. W miejscu dawnego stwierdzenia, że „tradycyjne nauczanie Kościoła nie wyklucza zastosowania kary śmierci", pojawiło się nowe: „Kościół w świetle Ewangelii naucza, że kara śmierci jest niedopuszczalna" (KKK 2267). W przestrzeni publicznej pojawiły się pytania, czy dokonywanie zmian w katechizmie w ogóle jest dopuszczalne. W odpowiedzi na nie przytaczano argument o „rozwoju doktryny" (powoływał się na niego sam papież Franciszek). Problem w tym, że sam katechizm kwestii rozwoju doktryny nie podejmuje wprost, pozostawiając wiernych – niezaznajomionych z meandrami rozwoju teologii – z przekonaniem, że nauczanie w nim prezentowane było zawsze takie samo i takim powinno pozostać.

To jeden z największych braków tego katechizmu. Z takim podejściem może on, paradoksalnie, zamiast utwierdzać w wierze, wprowadzać zamęt wśród wiernych po każdej poważniejszej redakcji tekstu. Jak już wspomniałem, jest on przede wszystkim adresowany do tych, którzy z racji swojej posługi muszą mieć ukończone studia teologiczne. Pozostali wierni mogą mieć kłopot w krytycznej lekturze. Nie dowiedzą się na przykład choćby o złożonej historii kształtowania się sakramentów.

Aby nie skostnieć, katechizm musiałby być aktualizowany z każdym nowym pontyfikatem. Tymczasem w obecnej wersji inspiracje współczesnym nauczaniem papieskim kończą się na pontyfikacie Jana Pawła II (z wyjątkiem wspomnianej już zmiany dotyczącej kary śmierci). A przecież gdyby katechizm był pisany za pontyfikatu Franciszka, znalazłyby się w nim z pewnością nawiązania do „Amoris laetitia" lub „Laudato si'". Tymczasem mamy do czynienia z odwrotnym trendem – to nie katechizm odwołuje się do papieskich encyklik, ale te zaczęły cytować tekst katechizmu. Z bycia narzędziem przekazu depozytu wiary stał się jego źródłem. Widzimy to zarówno we wspomnianych dokumentach Franciszka („Amoris laetitia" i „Laudato si'"), a jeszcze ciekawiej sytuacja wygląda w encyklice „Fratelli tutti", gdzie papież odwołuje się do katechizmu, jednocześnie przestrzegając przed zbyt szeroką interpretacją jego słów (chodzi o warunki usprawiedliwiające uprawnioną obronę z użyciem siły militarnej i moralne uzasadnienie dla ataków „prewencyjnych" – por. „Fratelli tutti" nr 258 i KKK 2309).

Wiele osób podkreśla, że katechizm jest jak kotwica. Rzeczywiście – w takim ujęciu spowalnia i zatrzymuje kościelną łódź.

Bezsporny autorytet

Błędne jest też przekonanie, że katechizm w pełni odzwierciedla nauczanie Soboru Watykańskiego II. Przykładem choćby problem antykoncepcji. Sobór uchylił się od jednoznacznej odpowiedzi w tej sprawie. Decyzję rozstrzygającą o niezgodności takich metod zapobiegania ciąży z doktryną podjął dopiero kilka lat później Paweł VI w encyklice „Humanae vitae", co spotkało się z nieustającą do dziś krytyką.

Podobnie rzecz się ma z punktami 2357-2359 KKK odnoszącymi się do osób homoseksualnych. Zaprezentowane w nich nauczanie bazuje na dokumentach posoborowych („Persona humana", dokument Kongregacji Nauki Wiary z 1975 r.). Pomimo przyznania, że geneza homoseksualności pozostaje nieznana, autor katechizmu pozwala sobie na radykalne odrzucenie związków jednopłciowych, zamykając tym samym furtkę do poszukiwania dróg zrozumienia człowieka. To kolejna słabość katechizmu – rozstrzyga dylematy, które wciąż są dyskutowane, i robi to nierzadko w sprzeczności ze współczesną nauką.

Niewiele jest też w katechizmie treści na temat sposobu korzystania ze Słowa Bożego, czyli czytania i interpretowania Pisma Świętego, mimo że sam KKK niemal na każdej stronie podpiera swe nauczanie Biblią. Wprowadzeniu w lekturę biblijną poświęconych jest raptem 40 punktów KKK (101-141) spośród wszystkich 2865.

Niepokoi też instrumentalne wykorzystanie pojedynczych wersetów biblijnych, wyrwanych z szerszego kontekstu. W punkcie 112. katechizm stwierdza, że jednym z kryteriów interpretacji tekstów biblijnych jest zwrócenie uwagi na „treść i jedność całego Pisma Świętego". Tyle że teksty Biblii nie są jednorodne, a wewnątrz nich prowadzone są żywe spory teologiczne – niejednokrotnie znajdziemy w nich nie tyle harmonię, co napięcie. Katechizm Kościoła Katolickiego odrzuca spór teologiczny, podczas gdy jest on istotnym, wręcz podstawowym elementem poszukiwania sensu wiary.

Księga czy Słowo

Można śmiało powiedzieć, że wchodzenie w spór teologiczny jest częścią naśladowania Jezusa – przecież znaczna część Jego mów związana jest ze sporem o rozumienie Tory. Także chrześcijanie (i katolicy) mają obowiązek prowadzenia sporu o rozumienie nauczania Jezusa – teksty Ewangelii bywają wieloznaczne i wymagają interpretacji, które katechizm chciałby uciąć. Wspólnota, która nie toczy debaty, staje się utopią lub sektą. Sporem nie ma się co gorszyć, raczej powinniśmy się go uczyć.

Katechizm podkreśla, że „wiara chrześcijańska nie jest »religią Księgi«" (KKK 108), czyli tekstu biblijnego, tylko religią Słowa, jakim jest Jezus. Zatem tym bardziej można stwierdzić, że wiara Kościoła rzymskokatolickiego nie powinna być religią „księgi", jaką jest Katechizm Kościoła Katolickiego. Można przecież, idąc za przykładem Jezusa, pozostawać w jedności, będąc w sporze o sens wiary. Także w naszych czasach. ©

Gdy Duch Święty był kobietą

ANNA BRZEZIŃSKA

HISTORIA KOŚCIOŁA | Dzieje świątobliwej Guglielmy pokazują, że już średniowiecznym reformatorom Kościoła nieobce były pomysły oddania kobietom pełnej władzy w Kościele – nauczycielskiej, administracyjnej i sakramentalnej.

Kiedy chrześcijanie w całej Europie przygotowywali się do obchodów Roku Jubileuszowego 1300, w Mediolanie grupka wyznawców szykowała się na przybycie Ducha Świętego. Miał zstąpić w Zielone Świątki i poprowadzić ludzkość ku nowej erze, kiedy nastanie powszechna szczęśliwość, wszystkie narody przyjmą wiarę chrześcijańską, a Kościół zostanie odnowiony i powróci do ewangelicznej prostoty. Planowali uroczystą mszę w mediolańskiej katedrze i zbierali pieniądze na stroje i liturgiczne tkaniny. Obstalowali też wspaniałą suknię ze szkarłatu, płaszcz z wielką srebrną klamrą i inkrustowane złotem sandały. Bo Duch Święty miał się wcielić w kobietę. W dodatku taką, którą niektórzy znali i pamiętali, bo nie tak dawno, 24 sierpnia 1281 r., zmarła w opinii świętości. Nazywała się Guglielma, czyli Wilhelmina.

O, najmilsza z gości, słodka serc radości

Guglielma przywędrowała do Mediolanu ok. 1260 r. jako kobieta dojrzała, zapewne wdowa, w towarzystwie dorastającego syna. Nie złożyła ślubów zakonnych i nie wstąpiła do żadnego klasztoru. Ale nosiła brązową, prostą tunikę i wiodła apostolskie życie, jak wiele świeckich kobiet, które pragnęły naśladować Chrystusa. Szybko zebrała się wokół niej grupa uczniów i przyjaciół, których nazwano potem Dziećmi Ducha Świętego. Podobno wyjawiła im, że pierwotnie miała na imię Felice, przyszła na świat w Zesłanie Ducha Świętego i była córką czeskiego króla.

Zachęcała swą wspólnotę, by byli jak rodzina, okazując sobie miłość i szacunek. Wzywała kupców, by nie oszukiwali i nie czerpali zysków z lichwy. Modliła się za chorych, przypisywano jej cudowne uzdrowienia: komuś usunęła plamę w oku, innemu zamknęła przetokę. Mówiono, że przed śmiercią miała stygmaty, choć tylko jedna kobieta twierdziła, że je widziała i dotykała.

Guglielma nie spisała swych nauk. Wydaje się też, że nie uzurpowała sobie boskości. Powtarzała, że jest jedynie prostą, pokorną niewiastą, zrodzoną z mężczyzny i kobiety. Przestrzegała, że ci, którzy twierdzą inaczej, będą musieli odpokutować swe słowa, by nie pójść do piekła.

Bliskie związki łączyły ją z cystersami z Chiaravalle. Zapewne przekazała mnichom swój majątek w zamian za utrzymanie, włączenie do wspólnoty oraz pochówek w opactwie. Cystersi kupili jej dom nieopodal Porta Nuova, gdzie spędziła ostatnie lata życia. Ale gdy umarła, trwała wojna między Mediolanem i Lodi, pochowano ją więc w kościele s. Pietro all'Orto. Dopiero później cystersi z Chiaravalle wystarali się o list żelazny, by sprowadzić jej szczątki. W urządzonych z wielką pompą uroczystościach tłumnie wzięli udział obywatele miasta i mnisi.

Obmyj, co nieświęte, oschłym wlej zachętę

Już wówczas traktowano ją jak świętą. Jakaś kobieta schwyciła czerwonego motyla, który podczas pogrzebu pojawił się nad trumną, i ususzyła jako relikwię. W jednym z domów należących do zakonu humiliatów przechowywano wodę i wino, których użyto do obmycia jej ciała. Cystersi wytrwale walczyli z księżmi z s. Pietro all'Orto, by odzyskać jej oryginalną trumnę – potencjalną relikwię. W opactwie poświęcono jej ołtarz, na którym nieustannie palono świece. Wygłaszano o niej kazania, w okolicznych kościołach umieszczano jej wizerunki.

Wśród jej wyznawców – zwanych też wilhelmitami – było wielu przedstawicieli mediolańskich elit, pomniejszej szlachty, patrycjatu, tercjarzy, księży i mnichów z zakonu cystersów i humiliatów. Trafiali się też biedacy. W przeciwieństwie do innych ówczesnych religijnych ruchów, wilhelmici nie łączyli doskonałości z dziewictwem albo celibatem ani nie głosili krańcowej pogardy dla ciała. Początkowo tworzyli zapewne jedną z wielu wspólnot szukających apostolskich form życia i łączących milenarystyczne lęki z pragnieniem reformy instytucjonalnego Kościoła, przeżywającego – za pontyfikatu Bonifacego VIII – głęboki kryzys.

Wkrótce jednak część naśladowców Guglielmy zaczęła działać jak zakon, choć niezatwierdzony przez Kościół i głoszący poglądy dalekie od ortodoksji. Wydaje się, że jego doktrynę stworzyli Andrea Saramita i Maifreda da Pirovano, świadomie przekształcając obraz i nauki Guglielmy, by upodobnić ją do Chrystusa. Utrzymywali, że jak archanioł Gabriel nawiedził Maryję, tak narodziny Guglielmy zwiastował anioł Rafał. W swojej własnej historii widzieli odbicie dziejów apostołów, przewidując, że i wśród nich pojawi się Judasz. Przede wszystkim jednak uważali, że z powodu grzechów fałszywych chrześcijan Duch Święty musiał zstąpić na ziemię i przyjął postać Guglielmy. Tak samo, jak przed wiekami uczynił Syn Boży.

Bez Twojego tchnienia jeno cierń i nędze

Już w 1284 r. inkwizycja przesłuchała kilkoro członków ruchu, w tym Andreę Saramitę, Maifredę da Pirovano i Giacomę Dei Bassano, dwie siostry z zakonu humiliatów. Ponieważ nie wyrzekli się nieortodoksyjnych poglądów, wyznaczono im pokutę i uwolniono. Możliwe, że na łagodnym potraktowaniu zaważyły koneksje przesłuchiwanych: na Guglielmę i wilhelmitów życzliwie spoglądali członkowie dwóch wpływowych zakonów – cystersów i humiliatów. Inkwizycja nie cieszyła się zresztą w Mediolanie sympatią, a miejscowe duchowieństwo postrzegało

ją jako konkurencję i zagrożenie. Andrea Saramita od lat był związany z cystersami i działał jako świecki pełnomocnik mnichów z Chiaravalle, zaś Maifreda była siostrzenicą kardynała Conte Casatiego, przez matkę spokrewnioną z Viscontimi, wpływowym rodem, który z poparciem cesarza aspirował do władzy w Mediolanie.

W 1292 r. kolejny inkwizytor usiłował rozpocząć śledztwo przeciwko Dzieciom Ducha Świętego, ale życzliwi poinformowali kurię, że w innym postępowaniu przekroczył swe uprawnienia, co doprowadziło do jego odwołania. Skuteczne śledztwo zdołali przeprowadzić dopiero jego następcy, Guido da Cocconato i Rainerio da Pirovano, którzy w 1300 r. przesłuchali kilkudziesięcioro wyznawców. Zachowała się część akt z tego dochodzenia. Inkwizytorów interesowały przede wszystkim poglądy przesłuchiwanych, które interpretowali i opisywali w kontekście znanych już herezji. Nasza wiedza o wierzeniach wilhelmitów jest więc fragmentaryczna i niepewna ze względu na specyfikę źródła.

Ulecz serca ranę, prowadź zabłąkane

Pierwszy w boskość Guglielmy uwierzył Andrea Saramita, którego ona nazwała podobno swoim pierworodnym synem i który stworzył teologiczne podstawy wierzeń wilhelmitów. Saramita twierdził, że tajemnicę prawdziwej natury Guglielmy powierzyli mu aniołowie. Wkrótce po śmierci Guglielmy wyruszył do Czech, by szukać jej królewskich krewnych, w nadziei, że sfinansują jej godny pochówek, a może nawet wesprą proces kanonizacyjny. Wrócił z niczym, bo – jak sam opowiadał – gdy dotarł do Pragi, król już nie żył. Niektórzy historycy widzą w Guglielmie córkę Przemysła Ottokara I, Blażenę, co jednak wydaje się wątpliwe. Ale pokrewieństwo z czeską rodziną królewską, choćby i wymyślone, w oczach współczesnych czyniło Guglielmę siostrą św. Agnieszki czeskiej i wiązało z wpływowym wtedy modelem kobiecej świętości.

Z akt inkwizycji wyłania się obraz wspólnoty, która stworzyła własną liturgię i spisała święte pisma, w tym żywot Guglielmy. Wilhelmici wierzyli, że Guglielma – jak Chrystus – powstanie z martwych, wstąpi do nieba i powróci na ziemię, by założyć nowy Kościół. Na jego



THE MORGAN LIBRARY & MUSEUM / BE&W

Papessa (prawdopod. Maifreda da Pirovano) – ilustracja z talii tarota zaprojektowanej przez Bonifacia Bembo dla Bianki Marii Visconti (ok. 1450 r.), Biblioteka Pierpont Morgan, Nowy Jork

czele, jako ziemska wikariuszka, miała stanąć Maifreda, pełniąc taką samą rolę, jaka u boku Chrystusa przypadła św. Piotrowi, czyli zostać papessą (papieżycą). Bo to kobiety miały, w nadchodzącej erze Ducha Świętego, nauczać i przewodzić w sprawach duchowych. Miały również zastąpić zepsutych rzymskich prałatów, zostając biskupkami i kardynałkami. Na jedną z nich wilhelmici wybrali Tarię Pontario, biedną niezamężną krawcową, żarliwą w wierze.

W oczach współwyznawców papessa Maifreda – „Pani wikariuszka" lub „Pani z łaski Boga" – górowała nad wszystkimi, także nad Saramitą. Odgrywała główną rolę w kulcie, wyznawcy całowali jej dłonie i stopy. Maifreda nauczała o Ewangelii, świętych i cudach. Opowiadała o wizjach, w których Guglielma ukazywała się jej jako wcielenie Ducha Świętego – prawdziwie Bóg i prawdziwie człowiek. Przewodziła spotkaniom, na których wyznawcy modlili się i spożywali wspólnie posiłek. Rozdzielała konsekrowane hostie u grobu Guglielmy i namaszczała wyznawców wodą z winem, użytą do obmycia jej ciała.

Nagnij, co jest harde, rozgrzej serca twarde

Uwagę inkwizycji przykuła przede wszystkim msza, jaką Maifreda odprawiła w niedzielę wielkanocną 1300 r., odziana w szaty pontyfikalne, w otoczeniu czterech wyznawców w białych dalmatykach. Jak zeznał jeden z przesłuchiwanych, „robiła wszystko, co robi ksiądz". Takiej uzurpacji inkwizycja nie mogła zlekceważyć, mimo że – co w tej historii najbardziej niezwykłe – wilhelmici sprawowali swoje obrzędy z poparciem części miejscowego duchowieństwa.

Dzieci Ducha Świętego niewątpliwie odwracały średniowieczną hierarchię płci, wierząc, że kobiety są nadzieją na zbawienie ludzkości. Ich poglądów nie da się jednak powiązać z żadną znaną herezją, choć niektóre przyznawały kobietom większą rolę i pozwalały im nauczać. Na pewno mocno wpłynęły na nich idee Joachima z Fiore, który podzielił dzieje ludzkości na trzy epoki, a ostatnią z nich, epokę wolności, doskonałości i odnowy Kościoła, łączył z Duchem Świętym. Nie wiadomo jednak, w jaki sposób wilhelmici doszli do przekonania, że Duch Święty jest Guglielmą, która za życia realizowała bardzo ortodoksyjny i tradycyjny model kobiecej świętości, związany z miłosierdziem, ubóstwem, dobrymi uczynkami, opieką nad biednymi i potrzebującymi.

Samej Guglielmie inkwizytorzy na początku śledztwa nie przypisywali żadnych błędów i nazywali ją świętą. W miarę składanych zeznań stawała się dla nich „panią Guglielmą", potem po prostu „Guglielmą", a na końcu „tą Guglielmą". To znamienna degradacja. Z perspektywy inkwizycji – i w ogóle Kościoła – odróżnienie prawdziwych świętych od fałszywych było kluczowe, bo fałszywi skłaniali chrześcijan do herezji i wystawiali na szwank ich dusze. Z tego właśnie powodu ostatecznie także Guglielmę potępiono jako heretyczkę, choć jej samej trudno było coś zarzucić (w przeciwieństwie do jej wyznawców). Szczątki Wilhelminy ekshumowano i spalono, popioły rozsypano. Spalono również jej wizerunki oraz pisma wilhelmitów. Siostra Giacoma dei Bassani da Nova spłonęła na stosie, a z późniejszych źródeł ↦

↦ wynika, że na śmierć skazano również Andreę Saramitę i Maifredę da Pirovano.

Daj zasługę męstwa, daj wieniec zwycięstwa

Pamięć o Guglielmie przetrwała jednak katastrofę jej wyznawców, być może dzięki dyskretnemu wsparciu Viscontich, którzy pomimo konfliktu z papiestwem umocnili swą władzę w mieście. Z czasem obraz Guglielmy uległ zmianie. Ok. 1425 r. Antonio Bonfadini, franciszkanin z Ferrary, spisał jej żywot w formie pełnego przygód i zwrotów akcji romansu hagiograficznego, wykorzystując wątki z popularnych legend. Uczynił ją córką króla Anglii i świątobliwą żoną świeżo nawróconego króla Węgier, który z jej namowy udał się na pielgrzymkę do Jerozolimy. Pozostawiona na Węgrzech jako regentka, Guglielma oparła się zalotom nikczemnego szwagra, który z zemsty oczernił ją przed powracającym z Jerozolimy władcą i doprowadził do skazania. Uniknęła śmierci i uciekła do Francji, by tam znów wpaść w kolejne tarapaty na dworze króla, po czym ponownie umknęła katu, tym razem dzięki cudownej interwencji Maryi i aniołów. Na podstawie tego fantastycznego żywota Antonia Pulci, florencka dramatopisarka, stworzyła pod koniec XV w. popularną sztukę (13 wydań drukiem w ciągu stulecia w samej Florencji).

Dzieci Ducha Świętego niewątpliwie odwracały średniowieczną hierarchię płci, **wierząc, że kobiety są nadzieją na zbawienie ludzkości.**

Guglielma przetrwała też w innych tradycjach. Pisarze kościelni portretowali ją jako heretyczkę, przywódczynię sekty i organizatorkę pogańskich orgii. Możliwe, że jej ziemska namiestniczka, Maifreda da Pirovano, została przedstawiona jako papieżyca w brązowym habicie i papieskiej tiarze na słynnym tarocie namalowanym w XV w. na mediolańskim dworze Bianki Marii Visconti. Niewykluczone też, że dzięki patronatowi tejże księżnej, ostatniej z rodu, w odludnym górskim opactwie Brunate powstały freski przedstawiające Guglielmę jako świętą. Mniej pewne wydają się związki pomiędzy Maifredą a papieżycą Joanną, choć i takie hipotezy historycy niekiedy wysuwają.

Do opactwa Brunate wierni pielgrzymowali jeszcze w początkach XX w. Modlili się do św. Guglielmy, świątobliwej angielskiej królewny, przypisując jej liczne cuda. Ale niezwykły pomysł, że Duch Święty wcielił się w kobietę, przeminął bez śladu. © ANNA BRZEZIŃSKA

B( )NUS
TYGODNIK POWSZECHNY

BONUS to nowa nagroda „Tygodnika Powszechnego", stworzona, by docenić ludzi i inicjatywy wnoszące do debaty publicznej więcej sensu niż sensacji.

Słowo bonus po łacinie znaczy „dobry" – tak rozumiemy tę nagrodę: jako wyróżnienie dla tych, którzy nie ulegają logice uproszczeń i polaryzacji.

Nagradzamy tych, którzy:

- **Łączą zamiast dzielić**
- **Rozmawiają zamiast krzyczeć**
- **Tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o podziały**

BONUS trafia do dziennikarzy, twórców kultury, liderów, społeczników i innowatorów – ludzi pokazujących, że dialog, rzetelność i odpowiedzialność wciąż mają moc.

To przypomnienie, że wspólnota jest możliwa. Że w świecie algorytmów wartością pozostaje uczciwa rozmowa, odwaga niuansowania i otwartość.

Nagroda za łączenie, a nie dzielenie.

W świecie, w którym sensacja wygrywa z sensem, wyróżniamy tych, którzy robią coś innego – dobrego, dla innych.

Pięć kategorii, pięć przestrzeni dobra:

- **MEDIA** – dla dziennikarzy stawiających na pluralizm i dialog zamiast sensacji.
- **KULTURA** – dla twórców otwierających przestrzeń różnym głosom.
- **DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA** – dla inicjatyw odbudowujących wspólnotę szanującą różnice.
- **LIDER/LIDERKA** – dla przywódców budujących dobro wspólne i inspirujących innych.
- **TECHNOLOGIA** – dla innowacji, które włączają, a nie wykluczają.

Od 80 lat wierzymy, że słowo i działanie mogą łączyć ludzi. Nagrodę BONUS przyznajemy tym, którzy robią to dziś najskuteczniej.

Do Nagrody Czytelniczki i Czytelnicy „Tygodnika" oraz Kapituła zgłosili kilkuset kandydatów. Teraz wybieramy najlepszych.

29 października 2025 – poznajcie finalistów

28 listopada 2025, godz. 19.00 – gala wręczenia Nagród, Muzeum Manggha, Kraków

Więcej informacji na **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

Tygodnik Powszechny – od 1945 roku po stronie sensu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

O. WACŁAW

Oszajca: *Święta prekursorka*



W Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie na początku października odbyło się sympozjum „Nowe i prekursorskie wątki w pismach św. Faustyny i jej wpływ na życie Kościoła". Z prasy dowiedzieliśmy się, że Faustyna Kowalska: „Przekazała ponadczasową, ważną teologicznie i duchowo dla Kościoła, doktrynę: miłosierdzie Boga nie ma granic. Nie zdobyła tej wiedzy na uniwersytetach, ale współpracując z Bożą łaską. Dlatego św. Faustyna – Apostołka Bożego Miłosierdzia – zasługuje na tytuł Doktora Kościoła". Słusznie, nie rozumiem jednak, po co zaraz wiarę stawiać w kontrze do rozumu? Zwłaszcza gdy o powrót rozumu do wiary upominają się zarówno teologowie, jak i papieże. Wystarczy pamiętać o „Fides et ratio" Jana Pawła II.

Warto też pamiętać, że Faustyna najwięcej wycierpiała od tych przełożonych kościelnych i zakonnych, jak też współsióstr, którzy we własnym i innych mniemaniu uchodzili za wzór pobożności. Zarzucali Faustynie symulowanie choroby, uleganie złudzeniom, omamom, zarozumiałość i pychę i co tam jeszcze. „Kiedy się dowiedziała jedna z Matek o moim stosunku tak bliskim z Panem Jezusem – czytamy w „Dzienniczku" – odpowiedziała mi, że jestem w złudzeniu. Mówi mi, że Pan Jezus w ten sposób obcuje tylko ze świętymi, ale nie z takimi duszami jak siostra, grzesznymi". A o życiu klasztornym pisze tak: „O jak słodko żyć w klasztorze pomiędzy siostrami, ale trzeba nie zapominać, że te anioły są w ludzkim ciele". Może więc już czas przestać wielbić nabożnych naturszczyków i tępić wykształciuchów, bowiem to ci drudzy pomogli Faustynie trafnie odczytywać znaki czasu i wytrwać w zakonie.

Rzeczywiście Faustyna wyprzedzała bieg czasu: „Pragnęłabym się stać kapłanem", pisze, a gdy pewnego razu podniosła Hostię upuszczoną niechcący na posadzkę: „z Hostii usłyszałam te słowa: Pragnąłem spocząć na rękach twoich, nie tylko w sercu twoim". Zamierzała też założyć nowy zakon, w którym nie byłoby dwóch chórów, czyli matek i sióstr, gdyż widziała w tym źródło despotyzmu i zniewolenia. Takich prekursorskich wątków w „Dzienniczku" jest więcej, przydatnych również obecnie. Choćby po to, żeby kult Miłosierdzia nie wyczerpywał się w odmawianiu koronki i czci obrazu, i nie wspierał żyjących nadzieją powszechnego potępienia, z wyjątkiem ich samych. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Wiara i przyjaźń*



„Strzeżcie się kwasu, to znaczy obłudy faryzeuszów. Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw, ani nic tajemnego, co by się nie stało wiadome. Dlatego wszystko, co powiedzieliście w mroku, w świetle będzie słyszane, a co w izbie szeptaliście do ucha, głoszone będzie na dachach. A mówię wam, przyjaciołom moim: Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, a potem nic już więcej uczynić nie mogą (...). Bójcie się Tego, który po zabiciu ma moc wtrącić do piekła (...) Czyż nie sprzedają pięciu wróbli za dwa asy? A przecież żaden z nich nie jest zapomniany w oczach Bożych (...). Nie bójcie się: Jesteście ważniejsi niż wiele wróbli" (por. Łk 12, 1-7).

To słowa z Liturgii minionego tygodnia. Jaka w nich kryje się Ewangelia, czyli DOBRA Nowina? Zawarta jest w słowie „przyjaciele". Pierwszy raz Jezus nazywa swoich uczniów / nas (!) PRZYJACIÓŁMI. Nowina niesłychana. I niezwykłe zaproszenie do relacji przyjaźni z Tym, który decyduje o wieczności i w którego dłoniach złożony jest los każdego stworzenia.

W samym centrum doświadczenia naszej wiary leży RELACJA – odniesienie do OSOBY! Nie do rzeczy (nawet „najświętszych"), nie do poglądów, przekonań, przykazań, obyczajów czy obrzędów. Relacja przyjaźni z... Bogiem! Spotkanie z Osobą. Nie jednorazowe, lecz przekształcone w „bycie razem" – wspólnotę życia, która z każdym dniem staje się bliższa i głębsza, pełna zrozumienia i zaufania. Relacja, która wynosi człowieka ponad wszelkie stworzenie.

Pamiętając o tym, możemy odkryć ostateczny wymiar Jezusowej przestrogi przed obłudą: „Strzeżcie się kwasu, to znaczy obłudy faryzeuszów". Chodzi, jak widać, o obłudę w relacji z Nim – o PRZYJAŹŃ UDAWANĄ – odgrywaną jak rola w teatrze (to właśnie znaczy greckie słowo *hypókrisis*, aktorstwo). Znamy niestety takie historie. Znamy ból udawanej przyjaźni. Udawanej albo porzuconej – wypartej – choćby ze strachu, choćby o własne życie („Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało...").

Porzucając wiarę, nie porzucamy kilku mniej lub bardziej ważnych prawd i norm, lecz wypieramy się przyjaźni z Tym, który umiłował nas aż po oddanie życia. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

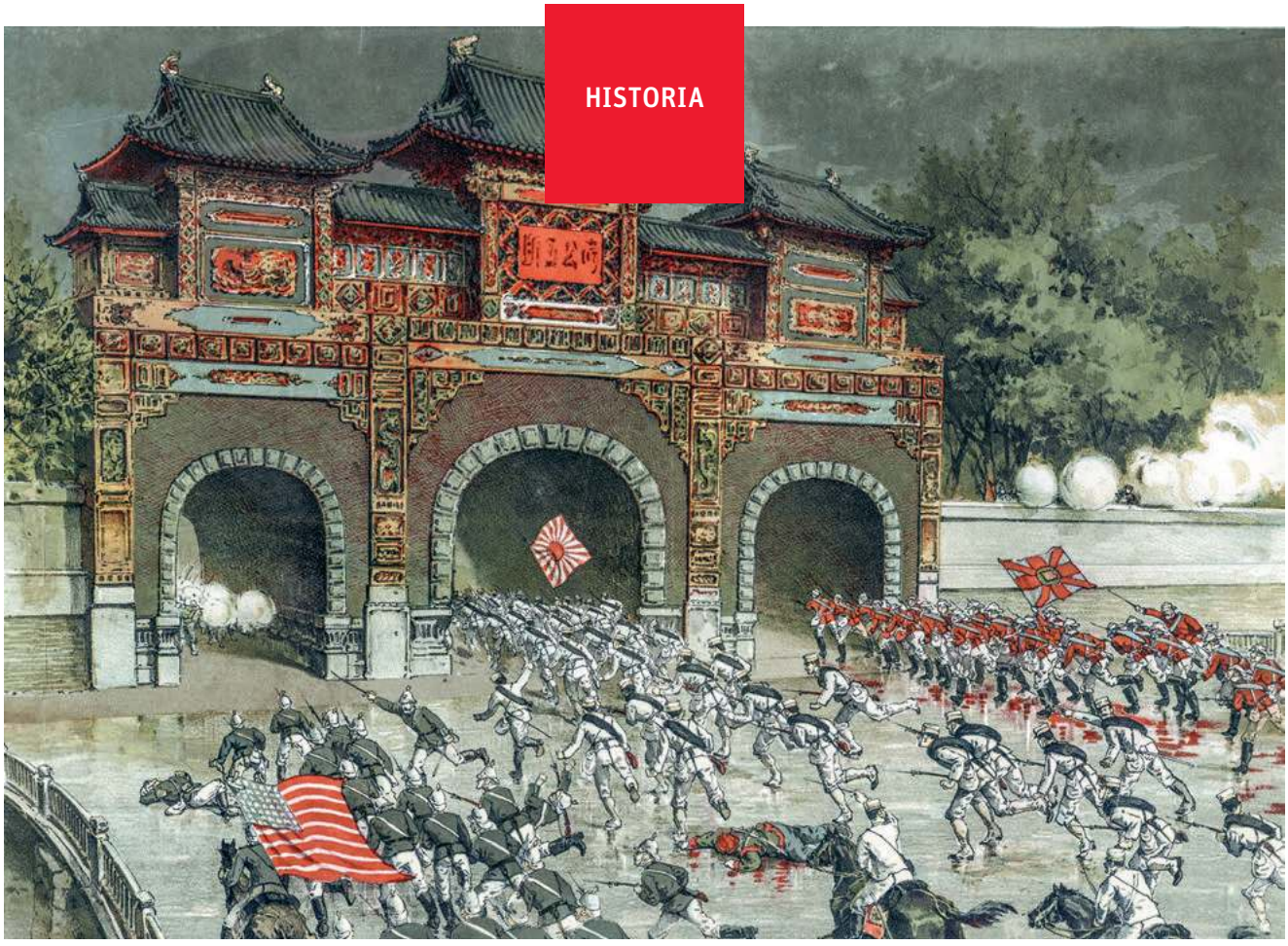

SCIENCE HISTORY IMAGES / ALAMY / BE&W

Żołnierze brytyjscy, amerykańscy i japońscy szturmują Pałac Cesarski w Pekinie. Torajiro Kasai, chromolitografia, sierpień 1900 r.

DZIEWCZYNA Z JADEITU

Nie tylko Polska próbuje odzyskać „sztukę utraconą” – robią to też Chiny. Roszczenia kierują zwłaszcza do Wielkiej Brytanii i Francji, których żołnierze 165 lat temu złupili Pekin.

ALEKSANDER R. MICHALAK

To opowieść nie tylko o wielkiej grabieży, ale też wielkim upokorzeniu, którego skutki trwają do dziś. W opowieści o utraconych dziełach sztuki Państwa Środka przegląda się tragiczna chińska historia ostatnich dwóch wieków. Poczynając od wojen opiumowych (1839-60) i narzucanych traktatów nierównoprawnych, przez powstanie bokserów (1899–1901) i wojnę domową (1927-49), a kończąc na dokonanej przez komunistów niszczycielskiej „rewolucji kulturalnej” (1966-76).

W Polsce, gdzie temat dzieł sztuki i kultury złupionych przez III Rzeszę i Związek Sowiecki nadal wywołuje emocje, łatwo pojąć, że chińskie skarby – zrabowane i wystawiane w domach aukcyjnych – to zapalnik. Przypominają o krzywdach i upokorzeniach.

Doświadczenie przeszłego podporządkowania odgrywa znaczącą rolę we współczesnej chińskiej tożsamości. Skądinąd wiadomo, że pamięć o krzywdzie i niesprawiedliwości, podlana narodową megalomanią, może mieć fatalne skutki.

Tym bardziej gdy chodzi o kraj, który dysponuje największą armią świata, zamyka w obozach mniejszości, nasila presję na sąsiadów, patronuje działaniom Rosji, a dziś wchodzi w otwarty już konflikt gospodarczy z Zachodem – na tle metali ziem rzadkich i nie tylko.

CEDROWY DYM | Pierwszym wielkim ciosem dla chińskich dóbr kultury było złupienie i spalenie Starego Pałacu Letniego w okolicy Pekinu. Dokonały tego w październiku 1860 r. wojska angielsko-fran-

cuskie, które walczyły o możliwość importu opium do Chin.

Pałac uchodził za cud Azji. Francuski generał Cousin-Montauban pisał o jego wnętrzach: „Nic w naszej Europie nie może dać nam wyobrażenia o takim przepychu". Inny Francuz wyznawał: „Byłem oszołomiony, zachwycony, zdumiony tym, co zobaczyłem – nagle »Baśnie tysiąca i jednej nocy« wydały mi się całkowicie wiarygodne".

Europejska prasa relacjonowała: „Żołnierze niszczyli wazy i lustra, darli obrazy i zwoje, włamywali się do składu jedwabi i używali cennych tkanin do przywiązywania swoich koni; przebierali się w szaty cesarzowej i wypełniali kieszenie rubinami, szafirami, perłami...". Brytyjski oficer Charles Gordon (25 lat później zginie w Chartumie) wspominał, że trudno wyobrazić sobie piękno miejsca, które on i inni europejscy żołnierze spalili niczym Wandale.

Spłonęły też cesarska biblioteka i archiwum zawierające unikalne dzieła z chińskiej historii, nauki i filozofii. Ponieważ wiele budynków wykonano z drewna cedrowego, przez wiele dni nad Pekinem unosił się aromatyczny dym.

Francuska prasa porównała zniszczenie pałacu do tego, jakby Francja straciła naraz Bibliotekę Narodową i Luwr. Jeden ze współczesnych badaczy zauważył, że Chiny, które postrzegały Europejczyków jako barbarzyńców, zyskały wówczas dowód, iż w istocie zasługują na to miano.

Ukradzione wtedy porcelany, jadeity i brązy do dziś zdobią wiele światowych muzeów.

ZWÓJ NAPOMNIEŃ | Do drugiego wielkiego festiwalu grabieży doszło w Pekinie podczas powstania bokserów – tak nazwano ludowy zryw, który miał miejsce na przełomie wieków XIX i XX, a wymierzony był przede wszystkim w cudzoziemców i chrześcijan w Chinach.

W 1900 r. armie sprzymierzonych państw europejskich (plus amerykańska i japońska) splądrowały nie tylko Pałac Cesarski, ale cały Pekin. Cesarz Wilhelm II wzywał wyruszający do Chin niemiecki kontyngent do bezlitosnego okrucieństwa; żołnierze poszli za tym wezwaniem, dopuszczając się zbrodni na ludności cywilnej.



NARODOWE MUZEUM PAŁACOWE W TAJPEJ / CC BY 4.0

Jadeitowa kapusta: rzeźba wykonana w XIX w. z jednego kawałka tego minerału – jeden z kilkuset tysięcy eksponatów, które znajdują się dziś w Narodowym Muzeum Pałacowym w Tajpej, stolicy Tajwanu.

Wszystkie sprzymierzone armie bez opamiętania grabiły dobra kultury. Brytyjskie poselstwo organizowało niezliczone aukcje złupionych artefaktów; odbywały się przed bramą placówki. Chiński historyk pisał: „Wszystkie skarby (...) w tym starożytne książki, obrazy, osobliwości i rzadkie skarby narodowe, które były przechowywane w Pekinie, zostały wywiezione z Chin".

To przesada, ale straty były istotnie ogromne. Najpewniej właśnie wtedy zaginął słynny Zwój Napomnień, który dziś jest w Muzeum Brytyjskim.

Kolejne ciosy spadły na Chiny podczas wojny z Japonią (1937-45). W tym okresie zniszczono trzy czwarte zbiorów muzeów i bibliotek uniwersyteckich. Niektóre z zagrabionych przez Japończyków dóbr kultury udało się odzyskać po wojnie. Udało się także ocalić artefakty z Zakazanego Miasta.

JASKINIA SKARBÓW | Nie zawsze utrata kulturowych skarbów przez Chiny miała tak dramatyczny przebieg. Część artefaktów znaleźli bądź kupili i wywieźli badacze, archeolodzy, misjonarze i awanturnicy. Np. wiele głów posągów Buddy w Grotach Longmen odcięto i sprzedano obcokrajowcom w latach 1907-35.

Bolesna dla Państwa Środka okazała się też utrata tekstów z tzw. Jaskini Biblioteki, którą odkryto w 1900 r. Był to istny sezam ze skarbami piśmiennictwa: odkryto tam ok. 50 tys. wielojęzycznych manuskryptów buddyjskich, taoistycznych, manichejskich i powstałych w środowiskach nestoriańskich chrześcijan. Lokalny odkrywca tych skarbów sprzedał tysiące zwojów europejskim badaczom.

W 1898 r. chiński uczony Wang Yirong stwierdził, że tzw. kości smoka (w istocie skorupy żółwia), sprzedawane jako leki na malarię w aptekach w Pekinie, zawierają inskrypcje wyroczni w najstarszym chińskim piśmie. Gdy tylko uświadomiono sobie ich wartość, ubodzy chińscy chłopi zaczęli sprzedawać je cudzoziemcom. Prezbiteriański misjonarz, Kanadyjczyk James Menzies, zgromadził ogromną kolekcję, która dziś znajduje się w Królewskim Muzeum Ontario.

W samym Pekinie, w cesarskim Zakazanym Mieście, część starożytnych reliktów rozprzedali służący tam eunuchowie, co tak rozgniewało cesarza, że zwolnił setki z nich. Szkoda została jednak już wyrządzona. Artefakty te znajdowano później w lokalnych antykwariatach bądź zagranicznych kolekcjach.

Z PEKINU NA TAJWAN | Chiny roszczą sobie pretensje nie tylko do terytorium Tajwanu, ale też do reliktów dumnej przeszłości, które kiedyś znajdowały się w Pekinie, a dziś są zgromadzone w Narodowym Muzeum Pałacowym w Tajpej, tajwańskiej stolicy. O sporze tym przypomniała celebrowana w tych dniach – odrębnie w Pekinie i Tajpej – setna rocznica przekształcenia Zakazanego Miasta w Muzeum Pałacowe, co miało miejsce 10 października 1925 r.

W 1933 r., ze względu na niespokojną sytuację – narastały obawy przed Japończykami – skarby wywieziono z Pekinu najpierw do Szanghaju, a potem m.in. do Nankinu. Z tego miasta udało się je wywieźć tuż przed rzezią, jakiej dopuściły się tam wojska japońskie.

Pracownicy muzeum dzień i noc ładowali i przenosili tysiące kufrów na nabrzeże. Ogromny transport opuścił ↦



LI HE / XINHUA / EAST NEWS

Przedstawiciel chińskich władz prezentuje starożytne naczynie z brązu, które właśnie wróciło do Chin. Artefakt ten, zrabowany z Pałacu Letniego, wiosną 2018 r. wystawiono na sprzedaż w brytyjskim domu aukcyjnym. Anonimowy nabywca podarował go następnie Chinom. Pekin, 11 grudnia 2018 r.

↦ Nankin w ostatnich dniach obrony miasta, wysłany m.in. parowcami rzeką Jangcy. Część dotarła do konfucjańskiej świątyni w Hangkou, skąd artefakty pojechały dalej – dzień przed tym, jak japońskie bomby obróciły to miejsce w kupę gruzów.

Dalsza podróż skarbów – pośród wojny, statkami, ciężarówkami i pociągiem, przez rzeki, błota i zaśnieżone góry Qin Ling – to epopeja, na której opis nie starczy tu miejsca. Przez 10 lat przenoszenia artefaktów (1937-47) nie utracono ani jednej skrzyni.

Po II wojnie światowej artefakty wróciły do Pekinu. O ile jednak wojna z Japonią się skończyła, to w Chinach wciąż trwała wojna domowa między komunistami a nacjonalistami. Ci ostatni, pokonani na kontynencie, założyli odrębne państwo na wyspie Tajwan. Wywieźli tam także jedną piątą artefaktów Pałacu Cesarskiego z Pekinu.

Początkowo przetrzymywano je w magazynach cukrowniczych i jaskiniach, a następnie wybudowano dla nich imponujące Narodowe Muzeum Pałacowe. Znajduje się tam kilkaset tysięcy eksponatów, m.in. słynna jadeitowa kapusta (obecnie wypożyczona do Pragi) czy miniaturowa łódź wyrzeźbiona w pestce oliwki.

CZERWONE DEMONY | Ostatni wielki cios swojej kulturze zadali sami Chińczycy, gdy przywódca Komunistycznej Partii Chin Mao Zedong rozpętał tzw. rewolucję kulturalną, a kraj ogarnęło „ikonoklastyczne” szaleństwo – niszczenie wszystkiego, co „tradycyjne”.

Jednym z haseł tej rewolucji było więc zniszczenie „czterech starych demonów”. Te „demony” uosabiały większość z tego, co przynależało do tradycji dawnych Chin. Młodzi członkowie Czerwonej Gwardii przypuścili atak na wszystko, co kojarzyło im się z dawnym ładem. W Pekinie zniszczyli grobowiec z czasów dynastii Ming. Nie tylko artefakty – wydobyli też szczątki cesarskiej pary, które publicznie spalono.

Dalej: dwustu studentów Uniwersytetu Pekińskiego wyruszyło pociągiem do liczącej ponad 2 tys. lat świątyni Konfucjusza w Szantungu. Budynek przetrwał, ale zniszczono tysiące zabytkowych dzieł – od malowideł, przez zwoje, aż po groby potomków Konfucjusza.

Można było wtedy sądzić, że policzone są też dni Zakazanego Miasta i tych jego skarbów, których nie wywieziono wcześniej na Tajwan. Miejsce to uosabiało czasy cesarstwa i było określane przez komunistów jako „bastion feudalizmu”. Tysiące fanatyków rewolucji zbierały się na pobliskim placu Tiananmen, a pewna ich grupa przedostała się nawet na teren Zakazanego Miasta i przez trzy dni okupowała Cesarskie Archiwa.

Szczęśliwie w tym przypadku to władze powiedziały dość. Premier Zhou Enlai, który wcześniej był zaangażowany w odzyskiwanie utraconych dóbr kultury, nakazał armii chronić zabytek. Zabezpieczył też kilka innych miejsc, m.in. pekińskie obserwatorium astronomiczne.

Prawdopodobnie nawet dla samego Mao Zedonga, człowieka odpowiedzialnego za zbrodnie rewolucji kulturalnej, Zakazane Miasto ucieleśniało wielkość Chin jako cywilizacji.

LISTY „UWIĘZIONYCH” | Chiny przełomu wieków XX i XXI zaczęły uchodzić w świecie za największego producenta masowych i tanich przedmiotów, co z pewnością nie odpowiada ambicjom Państwa Środka. Utracone zabytki są łącznikiem z dawną wielkością i inspiracją dla przyszłych aspiracji. Ich repatriacja uchodzi za kwestię godności narodowej i szacunku dla tożsamości kulturowej.

Od 2012 r. Chinom udało się odzyskać ponad 1,8 tys. artefaktów, m.in. słynne brązowe głowy zodiakalnych zwierząt, zdobiące niegdyś wodny zegar-fontannę w Starym Letnim Pałacu.

W 2023 r. Chińczycy wypuścili film opowiadający o powrocie jadeitowego czajniczka z londyńskiego Muzeum Brytyjskiego; zyskał on wielką popularność w chińskim internecie. W roli spersonifikowanego artefaktu obsadzono filigranową dziewczynę, która w towarzystwie młodego chińskiego dziennikarza usiłuje wrócić do ojczyzny.

Gdy jej się to już udaje, dziewczyna odczytuje artefaktom z muzeów Pekinu listy od ich „krewnych”, wciąż „uwięzionych” w zagranicznych muzeach. Mowa jest w nich o tęsknocie za ojczyzną – oraz o tym, że ich pełna wartość może objawić się dopiero tam, gdzie je stworzono.

Na końcu dziewczynka-czajniczek, pytana przez dziennikarza, czy umożliwi ucieczkę „więźniom” z zachodnich muzeów, mówi dumnie, że Chińczycy to wielki naród, który nie robi tak podstępnych rzeczy, i że któregoś dnia przedmioty te wrócą legalnie i z honorami.

Deklaracja nie brzmiała militarystycznie – i budzi nadzieję, że jeśli kiedyś dojdzie do powrotu utraconych chińskich dzieł sztuki, jego tłem nie będą inwazja i przemoc. © ALEKSANDER R. MICHALAK

MADE IN POLSKA

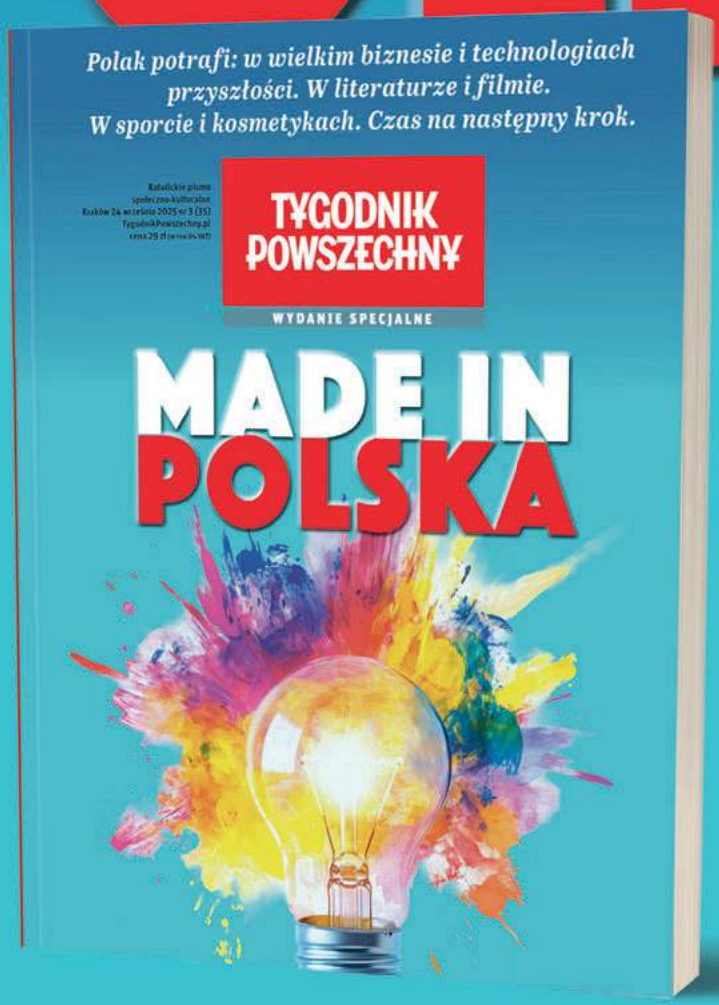

„Made in Polska" – nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" pokazuje Polskę, która coraz częściej sama wyznacza kierunki rozwoju. Ambitną, odważną i gotową sięgać dalej – od kosmosu i nowych technologii, przez biznes, po kulturę i sport.

Polska to kraj, który nie boi się eksperymentować, szukać nowych rozwiązań i twórczo wykorzystywać własną historię.

„Made in Polska" to więcej niż znak pochodzenia – to opowieść o sile, charakterze i innowacyjności, które sprawiają, że w świecie pełnym kryzysów i niepewności wciąż możemy z nadzieją powtarzać: Polak potrafi.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Weź, czytaj i bądź dumny

TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE „MADE IN POLSKA"
dostępne w najlepszych salonach prasowych oraz na sklep.TygodnikPowszechny.pl

NAUKA

SKĄD SIĘ WZIĘŁY MAŁPY

Wyginięcie dinozaurów, pojawienie się owadów zapylających i drzew owocowych, podróże międzykontynentalne – wiele rzeczy musiało się stać na świecie, zanim mogły narodzić się małpy, z których wyewoluował człowiek.

ŁUKASZ KWIATEK

Niemal pod każdym artykułem i filmem na temat ewolucji człowieka można znaleźć komentarze od osób powątpiewających, czy coś takiego jak ewolucja w ogóle istnieje. Regularnie pada też następujące pytanie: skoro człowiek pochodzi od małpy, to skąd wzięły się małpy? Pewnie nie wszystkie osoby stawiające je oczekują na nie odpowiedzi, jednak samo pytanie jest bardzo zasadne. Wiedza na temat początków naszych małpich przodków ciągle jest mocno wybrakowana, ale z fragmentów układanki, które udało się już zgromadzić, wyłania się nieoczywista opowieść. Jest w niej więcej różnorodnych wątków i zwrotów akcji niż w opowieści dotyczącej początków człowieka – czyli tej o małpie, która zeszła z drzewa, trafiła na sawannę i zaczęła chodzić na dwóch nogach.

Małpy, czyli kto?

Na początku zsynchronizujmy kalendarze i doprecyzujmy pojęcia.

Biolodzy zaliczają małpy i człowieka do rzędu ssaków naczelnych. Wymienia się ich dzisiaj ok. 500 żyjących gatunków, grupowanych w ok. 80 rodzajów. Pod wieloma względami (stylu życia czy rozmiarów ciała) to bardzo zróżnicowana grupa zwierząt – dość powiedzieć, że dorodny samiec goryla górskiego waży grubo przeszło 200 kg, a pigmejka karłowata mogłaby się wspinać po ludzkim palcu jak inne małpy po pniu drzewa.

Najbliżej spokrewnione z nami są inne małpy człowiekowate, czyli szympansy, goryle oraz orangutany – wspólny przodek nas wszystkich żył ok. 12-15 mln lat temu. Małpy człowiekowate zaliczane są do małp Starego Świata (albo: wąskonosych), czyli tych występujących dziś w Afryce i Azji; ich ostatni wspólny przodek żył ok. 30 mln lat temu. Drugą dużą grupę stanowią małpy Nowego Świata (albo: szerokonose), które zamieszkują Amerykę Południową. Te dwie linie ewolucyjne małp (określane łącznie jako małpy właściwe) rozdzieliły się przeszło 40 mln lat temu.

Do naczelnych należą także małpiatki – m.in. lemury, lorysy czy wyraki – na ogół mniejsze i mające więcej cech prymitywnych (np. oczy słabiej zabezpieczone przez oczodoły) niż małpy właściwe. Wspólny przodek wszystkich naczelnych (małp i małpiatek) żył przeszło 70 mln lat temu, jeszcze w czasach panowania dinozaurów.

Sama geograficzna dystrybucja naczelnych zmusza do zadania istotnego pytania: jak to się stało, że zwierzęta pochodzące od wspólnego przodka zadomowiły się na różnych kontynentach?

Ok. 70 mln lat temu, gdy przodkowie współczesnych naczelnych zaczynali się różnicować, między Afryką i Eurazją (jeszcze pozbawioną Półwyspu Indyjskiego, który dopiero dryfował na spotkanie kontynentu) występował ocean Tetyda – z którego dziś pozostała tylko skromna resztka w postaci Morza Śródziemnego. Pacyfik był ogromny, choć na dalekiej północy mogły w tym okresie występować lądowe połączenia pomiędzy Eurazją i Ameryką Północną (Czukotką i Alaską). Z kolei odległość z Afryki do Ameryki Południowej była mniejsza niż dzisiaj – Atlantyk był znacznie węższy. Niemniej, na którymś etapie swojej historii przodkowie współczesnych naczelnych musieli udać się w podróż morską – zapewne na naturalnie tworzących się tratwach, powstałych np. po uderzeniu fal tsunami w las.

Amerykański sen

By wytypować miejsce – kontynent – narodzin pierwszych naczelnych, powinniśmy podążać tropem skamieniałości. Niestety, nie dają one jednoznacznej odpowiedzi – ślady prastarych naczelnych pojawiają się w zapisie kopalnym niemal równocześnie w Europie, Azji, Ameryce Południowej i Afryce.

Jednym z kilku znanych przykładów żyjących ok. 55 mln lat temu naczelnych jest rodzaj *Teilhardina*, nazwany na cześć jezuickiego filozofa i paleontologa Teilharda de Chardin. Współcześnie dzieli się go na sześć gatunków – pierwszy z nich (*T. belgica*) odkryty został w Belgii w latach 20. XX w., ostatni (*T. magnoliana*) – na terenie USA w 2008 r. W podobnym okresie ok. 55 mln lat temu żył *Archicebus achilles*, którego ślady – niemal kompletny szkielet! – odnaleziono w 2017 r. w Chinach. W każdym z tych przypadków mówimy o niewielkich zwierzątkach żyjących na drzewach, anatomicznie przypominających małe współczesne małpiatki (choć *Archicebus* może reprezentować bardziej „nowoczesną" gałąź ewolucyjną prowadzącą do małp właściwych).

Jeszcze wcześniej – ok. 57 mln lat temu – żył *Altiatlasius koulchii*, odkryty na terenie Maroka. Znamy go tylko z kilku

MARTIN / ADOBE STOCK



Tamaryna białoczuba zamieszkuje tropikalne lasy Kolumbii. Krytycznie zagrożona wyginięciem. Jej przodkowie ponad 36 mln lat temu dotarli do Ameryki Południowej z północnej Afryki.

zębów i fragmentów żuchwy, co utrudnia życie taksonomom – niektórzy uważają, że to reprezentant nie naczelnych, ale blisko spokrewnionej z nimi, wymarłej grupy plezjadapidów – ssaków przypominających nieco skrzyżowanie wiewiórek z łasicami. Rodzinne koligacje naczelnych z plezjadapidami są zresztą kłopotliwe, bo jedne i drugie w podobnym czasie zamieszkiwały te same kontynenty; gatunków o spornej przynależności jest znacznie więcej (np. rodzaj *Purgatorius* żyjący przeszło 65 mln lat temu w Ameryce Północnej). Całkiem możliwe również, że naczelne wyłoniły się właśnie z wczesnych plezjadapidów – alternatywna hipoteza głosi, że miały z nimi wcześniej wspólnego przodka.

W każdym razie naczelne mogły narodzić się w Ameryce Północnej, Europie, Azji lub Afryce, a potem szybko skolonizować pozostałe kontynenty. Podróż pomiędzy Azją i Ameryką Północną mogła być łatwa przez Czukotkę i Kamczatkę, ale całkiem możliwa była także pomiędzy Europą i Ameryką Północną – drogą morską, ale np. z przystankiem na nieodległej wówczas od obu kontynentów Grenlandii.

Najwięcej argumentów – zdaniem Jorgego Avaria-Llautureo z Uniwersytetu w Reading – przemawia za tym, że naczelne narodziły się w Ameryce Północnej. Takie wnioski płyną z opisanych w sierpniu tego roku, przeprowadzonych przez jego zespół symulacji komputerowych.

Badacze stworzyli model, który przewidywał najbardziej prawdopodobne miejsce i warunki życia pierwszych naczelnych na podstawie danych geologicznych, klimatycznych oraz geograficznej dystrybucji znanych skamieniałości i możliwych więzów pokrewieństwa między nimi. Autorzy na różne sposoby obsadzali kopalne gatunki na drzewie rodowym naczelnym, co dało wiele różnych punktów wyjścia dla symulacji, ale zdecydowana większość z nich wskazała właśnie na Amerykę Północną jako na kolebkę małp.

Tam, gdzie małpy zimują

To niejedyny ciekawy wniosek z tych symulacji – dane klimatyczne wskazały bowiem, że pranaczelne zamieszkiwały tereny o chłodnym, zmiennym klimacie, z temperaturami w zimie spadającymi poniżej zera, a w lecie osiągającymi kilkanaście stopni Celsjusza. A to już wniosek rażąco sprzeczny z dominującą dotąd hipotezą głoszącą, że małpy wyewoluowały w stabilnych warunkach panujących w lasach tropikalnych, z którymi dzisiaj najbardziej nam się kojarzą. Dlatego wspomniani badacze uważają, że pranaczelne zachowaniem przypominały raczej występujące na Madagaskarze lemurki karłowate, które prowadzą mało „małpi" styl życia – zimą kopią dołki w ziemi i hibernują w nich przez kilka miesięcy, by ↦

↦ ograniczyć zużycie zasobów (a w tym czasie najtrudniej o pożywienie).

Możliwe więc, że najstarsze naczelne były nieźle przygotowane na to, co stało się z klimatem, gdy 66 mln lat temu asteroida uderzyła w półwysep Jukatan, wzbijając w powietrze ogromne ilości pyłu, który ograniczył dostęp promieni słonecznych. Globalne ochłodzenie klimatu zmiotło z powierzchni ziemi m.in. dinozaury (nie licząc tych, które dały początek ptakom), otwierając przed ssakami nowe nisze ekologiczne.

Podróż przez ocean

Zanim zajmiemy się innymi wątkami w ewolucji naczelnych, musimy wyjaśnić pochodzenie gatunków występujących dziś w Ameryce Południowej. Najstarsze ślady naczelnych na tym kontynencie (znalezione w Peru) pochodzą sprzed ok. 36 mln lat – w 2015 r. opisali je w „Nature" Mariano Bond i współpracownicy. To okres bardzo bliski zdarzenia określanego jako Wielkie Ochłodzenie Eoceńsko-Oligoceńskie (sprzed ok. 34 mln lat), które mogło położyć kres wszystkim północnoamerykańskim naczelnym. Nie znamy bowiem żadnych młodszych skamieniałości małp z tego kontynentu... jeśli pominiemy problematyczny w klasyfikacji rodzaj *Ekgmowechashala*, czasami także zaliczany do naczelnych (jego melodyjna nazwa pochodzi z języka dakota, którym mówią północnoamerykańscy Dakotowie/Siuksowie, a oznacza „małego koto-człowieka").

Te stworzenia przypominające lemury pojawiają się w zapisie kopalnym w Ameryce Północnej ok. 30 mln la temu – czyli kilka milionów lat po tym, jak znikają z niego pozostałe tamtejsze naczelne. Wśród specjalistów rodzaj *Ekgmowechashala* bywa przywoływany do ilustrowania tzw. efektu Łazarza – nieoczekiwanego powrotu jakiejś uznawanej za wymarłą linii ewolucyjnej.

Nawet jeśli daty występowania północnoamerykańskich naczelnych pokrywają się z czasem pojawienia się małp w Ameryce Południowej, to nie uważa się dziś, by obie te grupy były z sobą bardzo blisko spokrewnione. Ameryki wyjątkowo długo były oddzielone morzem – lądowe połączenie (Przesmyk Panamski) powstało zaledwie 3 mln lat temu, choć okazjonalnie lądowa fauna obu kontynentów mieszała się wcześniej, migrując

CECÍLIO / ADOBE STOCK



szlakiem znajdujących się w tym miejscu wysp wulkanicznych. Wydaje się, że nie było jednak wśród tych zwierząt małp.

Odkrywcy wspomnianych skamieniałości z Peru (najstarszego znanego śladu naczelnych z Ameryki Południowej) powiązali je z populacją małp żyjących w północnej Afryce. Wygląda więc na to, że przodkowie małp Nowego Świata odbyli przeszło 36 mln lat temu podróż przez ocean – zresztą ta sztuka najpewniej udała się większej liczbie zwierząt (np. rozmaitym jaszczurkom oraz przodkom jeżozwierzy i szynszyli). Co ciekawe, nie jest wcale jasne, czy tę podróż przez Atlantyk odbył wspólny przodek wszystkich małp Nowego Świata, czy może przodkowie różnych tamtejszych linii przenieśli się z Afryki do Ameryki Południowej niezależnie od siebie.

Złota era

Miocen, który zaczął się ok. 23 mln lat temu i trwał do 5,3 mln lat temu, uznawany jest za złotą erę w historii małp. W ich ewolucji działy się wtedy bardzo interesujące rzeczy – np. doszło do wyjścia człowiekowatych z Afryki do Eurazji przez lądowy most na Bliskim Wschodzie (a więc to samo, co zrobili dużo później nasi bezpośredni przodkowie, przedstawiciele rodzaju *Homo*). To wtedy przodkowie orangutanów osiedlili się we wschodniej Azji i to w tamtejszej linii wyewoluowały gigantopiteki – najbardziej okazałe (osiągające nawet 3 metry wzrostu) małpy, jakie kiedykolwiek postawiły (wielką) stopę na ziemi. Możliwe nawet, że populacja człowiekowatych, która dała początek liniom prowadzącym do szympansów i ludzi, musiała wracać do Afryki z Europy przez częściowo wyschnięte Morze Śródziemne. Tego scenariusza najbardziej zażarcie broni prymatolog David Begun, który powołuje się na fakt, że znamy znacznie więcej skamieniałości europejskich niż afrykańskich człowiekowatych z okresu bezpośrednio poprzedzającego rozdzielenie się linii prowadzących do ludzi i szympansów.

Wszystko dzięki pszczołom

Ale zamiast zagłębiać się w ostatnie etapy ewolucji naczelnych, wróćmy na koniec do ich korzeni. Uważa się, że wielką szansą dla małp było wystąpienie paleoceońsko-eoceńskiego maksimum termicznego (PETM) ok. 55,8 mln lat temu, kiedy w wyniku aktywności wulkanicznej gwałtownie wzrosła ilość dwutlenku węgla w atmosferze, a ziemski klimat ocieplił się aż o 6-8 stopni Celsjusza. Nastąpiła wówczas ekspansja lasów tropikalnych, do życia w których naczelne – nawet jeśli wyewoluowały w chłodnych lasach – musiały się już zdążyć przystosować.

Naczelne wyróżniają się na tle innych ssaków przede wszystkim chwytnymi dłońmi, z palcami zakończonymi paznokciami (a nie pazurami), rozwiniętym zmysłem wzroku – w tym zdolnością kolorowego widzenia – oraz zębami dobrze przystosowanymi do zjadania liści i owoców. To wszystko sugeruje, że w małpiej ewolucji główną rolę odegrały owoce – sprawność w ich zbieraniu (w tym wspinanie się po gałęziach), dostrzeganiu (stąd widzenie kolorowe) i zjadaniu promowana była przez dobór naturalny. Prawdopodobnie zawierające dużo cukru owoce umożliwiły też naczelnym rozwój stosunkowo dużych mózgów. Nawet zachowania społeczne małp mogły ewoluować w dużej mierze pod kątem rywalizacji o pożywienie występujące w skupiskach – jak owoce na drzewach, które trzeba wyszukiwać i zabezpieczać przed zakusami konkurentów.

Wątek żywieniowy wiąże naczelne z ekspansją drzew owocujących, które z kolei są ściśle związane z istnieniem zapylaczy. To w całej pełni obrazuje piękno przyrodniczych powiązań. Prawdopodobnie nie byłoby nas, nie tylko gdyby jakieś zimolubne pramałpy nie dostały się z Ameryki Północnej do Eurazji i Afryki, ale nawet wtedy, gdyby miliony lat wcześniej na świecie nie pojawiły się pszczoły.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

REKLAMA



wyborcza KSIĄŻKI
MAGAZYN DO CZYTANIA

Największe pismo literackie w Polsce.
Dobrze się czyta.



Zamów z bezpłatną dostawą do domu i paczkomatu

prenumerata24.pl

KULTURA

SKACZĘ PO DWA SCHODY

MIKOŁAJ GRYNBERG, PISARZ:

Przez pół roku po wyjściu ze szpitala nie zajmowałem się niczym poza dbaniem o swoją formę. Mówiłem do żony jak dziecko mówi do mamy: „Idę na rower!", i szedłem jeździć. To było i jest euforyzujące.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Napisał Pan książkę o zawale, chorowaniu, lęku przed śmiercią. Kilka miesięcy po premierze spotykam kogoś innego niż główny bohater.

MIKOŁAJ GRYNBERG: Jestem w innym punkcie życia, jeśli to ma pan na myśli. Knajpa, w której siedzimy [Marszałkowska w Warszawie, dziesięć minut pieszo od stacji Warszawa Centralna – red.] jest blisko metra, z którego tutaj przybiegłem. Skaczę teraz po dwa schody naraz, czego już bardzo dawno nie robiłem.

A równocześnie musi Pan ciągle odpowiadać na szpitalno-zawałowe pytania...

Samo doświadczenie choroby wcale nie jest dla mnie odległe. Trudność, o której pan mówi – że trzeba się, odpowiadając na pytania, cofnąć ze swoim życiem o długi czas – to ja np. mam z wydanym osiem lat temu „Rejwachem" [31 prozatorskich opowieści o byciu Żydem w Polsce – red.]. Ta książka wychodzi w kolejnych językach, więc znowu trzeba rozmawiać o czymś, co wydaje mi się dosyć odległe.

Z najnowszą książką podobnego problemu nie mam. Minęło prawie półtora roku od zawału, ciekawi mnie obserwowanie, jak ta książka jest „konsumowana". I cieszę się, że wśród recenzji nie ma tych, których się najbardziej obawiałem – że „pretensjonalna i egzaltowana". Książka jest i dobrze przyjęta, i podobno nieźle się sprzedaje.

Ociera się nawet o „topki" Empiku. Zaskoczenie?

Ja jestem zawsze zaskoczony, że ktoś chce moje książki kupować i czytać (*śmiech*). A o „topkach" słyszałem: była w codziennych zestawieniach całkiem długo na pierwszym miejscu, a w pierwszej trójce się nawet zasiedziała.

„O kurwa, to tego już się pewnie wcale nie da sprzedać" – mówi na oddziale kardiologii pacjent do głównego bohatera Pana książki, pisarza...

...mając na myśli tematykę żydowską, którą ten pisarz się zajmuje.

Ale to zdanie, zdawałoby się, jeszcze lepiej pasuje do książki ze śmiercią w tytule. A ona stoi sobie wśród poradników o szczęściu – i się sprzedaje!

Owszem, odsuwamy od siebie temat śmierci, ale też chcemy się zbliżać do rzeczy, których się boimy, a które niekoniecznie są nierealnymi horrorami. Lubimy nie tylko, jak z szafy wyskakuje zombie; czasami chcemy, by z tej szafy wypadł ktoś taki jak my, z podobnymi dylematami i lękami. Ja w każdym razie, także jako czytelnik, lubiłem się zawsze o tę tematykę ocierać.



MIKOŁAJ GRYNBERG (ur. 1966) jest fotografem i pisarzem. Wydał m.in. zbiory wywiadów „Ocaleni z XX wieku" i „Oskarżam Auschwitz. Opowieści rodzinne", a w 2023 r. książkę „Jezus umarł w Polsce", rozmowy z osobami zaangażowanymi w działania na granicy białoruskiej. „Rok, w którym nie umarłem" wydało w 2025 r. Wydawnictwo Agora.



MICHAŁ BOROWCZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

No i lubimy, w każdym razie ja lubię, czytać historie prawdziwe. Prawdziwe w takim sensie, że mogę im zaufać – niezależnie od tego, czy są prozą, czy dokumentem.

„Rok, w którym nie umarłem" jest prozą czy dokumentem?

Prozą.

Pan by sięgnął po prozę na taki temat?

Ja bym nie sięgnął jako czytelnik po własną książkę. Bo przecież, przynajmniej na poziomie opisu, brzmi to banalnie i zapowiada kalkę. Oto historia faceta, który się rozchorował, prawie umarł, ale jednak nie umarł i pokochał życie. Super, że nie umarł, niech sobie żyje dalej, tylko że to jest przecież historia, którą słyszałem! Ale mogę obiecać, że w środku wszelkie te kalki staram się omijać szerokim łukiem.

Poza czystym marketingiem są też blurby. „Polska literatura ma szczęście do zawałów. Po Białoszewskim do szpitala trafił Mikołaj Grynberg" – napisał Marek Bieńczyk.

Pięknie napisał. Tak, Marek Bieńczyk ratuje sytuację.

Pisząc, dbałem przede wszystkim o szczerość. Żeby czytelnik nie miał ani przez chwilę okazji pomyśleć: „Nie ufam tej postaci". I żeby ta książka wyszła poza poradnik afirmacji życia – bo gdyby miała tylko tym być, to nie byłoby sensu jej pisać.

Ta książka jest tyleż o prawdziwej chorobie, co o lękach. O tym, że choroby mamy też – jak mówi do bohatera przyjaciel-lekarz – „między uszami".

Jeśli chce mnie pan zapytać, czy jestem hipochondrykiem, to odpowiedź brzmi: mam nadzieję, że nie. Nie spędzam życia u lekarzy, ale gdy coś mnie niepokoi, idę sprawdzić, co się dzieje. Wie pan, co jest napisane na grobie hipochondryka?

Nie wiem.

„A nie mówiłem?"

A poważnie: uważam, że większy problem jest gdzieś indziej. Jesteśmy tak socjalizowani, żeby nie zajmować się swoim zdrowiem „ponad miarę". I właśnie dlatego część z nas przedwcześnie umiera.

Ale główny bohater Pana książki jest posądzany przez zaprzyjaźnionego lekarza o hipochondrię, a nie o bagatelizowanie objawów. ↦

↦ Tyle że to jest lekarz pracujący na oddziale intensywnej opieki medycznej. Dla niego pacjent, który ma otwarte oczy i sam oddycha – jest zdrowy.

Główny bohater ma też „między uszami" inne ciekawe rzeczy. W każdym punkcie tej historii – od samochodu pędzącego do szpitala, przez sam pobyt, aż po powrót do domu – kreśli jeden scenariusz: jak by to było, gdyby go nie było. W 9. miesięcznicę zawału zastanawia się nawet, czy jego żona mogłaby już urodzić dziecko nowemu facetowi.

To są wszystko fantazje na temat własnej śmierci. Fantazje będące zapewne strategiami oswajania swojej śmierci. Intelektualnym i emocjonalnym ćwiczeniem tego scenariusza.

Jeśli o mnie chodzi, to nigdy wcześniej takich ćwiczeń sobie nie zadawałem, bo też nigdy wcześniej nie przeżyłem niczego podobnego. To przyszło do mnie wraz z zawałem.

Bohater „Roku..." także przed zawałem ma obsesję czasu. W snach liczy, ile mu zostało.

Ale tak naprawdę najbardziej marzy o tym, żeby zyskać nad czasem kontrolę. Chce zrobić, co ma do zrobienia, a jak przyjdzie już „ta data", chce być gotowy. W książce piszę, że przecież „każdy by chciał to wiedzieć". I wiem, że ten fragment wielu oburzył.

Oburzył?!

Zdarzało mi się słyszeć emocjonalne zdania typu: „To nieprawda, ja nie chciałabym wiedzieć. I nikt nie chce!". Ja, gdy pisałem tę książkę, wiedzieć chciałem.

Nasze marzenie o kontroli czasu jest chyba bliższe urzeczywistnienia niż kiedykolwiek. Ponoć AI już wkrótce będzie w stanie przewidzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa wystąpienie u nas choroby – także zawału.

To już rzeczywiście całkiem sporo, ale dla mnie nadal za mało. Ja bym chciał wiedzieć, czy będę miał wypadek samochodowy, i czy ludzkości przytrafi się kolejna Zagłada. W mojej rodzinie to właśnie tego rodzaju okoliczności decydowały o tym, czy ktoś będzie nadal żył, czy też umrze.

Zresztą prognozy AI, o których pan wspomina, działają na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa. Jestem z nim na bakier, rozwiązanie zadania z tego obszaru zerżnąłem – co nie jest dzisiaj moim powodem do dumy – na maturze od kolegi, ale rozumiem ideę prawdopodobieństwa wystarczająco dobrze, by czuć wobec tych prognoz pewien niedosyt. Oczekuję więcej zmiennych i dużo więcej precyzji.

„Nie da się przyzwyczaić do umierania, ani do strachu, który ono niesie" – to zdanie z książki. Ciężka choroba, zawał, to nie jest taki przyspieszony kurs oswajania?

Proponuję zapytać pacjentki i pacjentów z onkologii – wiele takich osób odzywało się do mnie po premierze książki, także w trakcie spotkań autorskich. Ja miałem zawał serca, całe zdarzenie trwało dobę, więc co autor tego zdania, które pan zacytował, może wiedzieć o oswajaniu umierania?

Ale przecież strach po tej dobie nie minął?

Ten strach – że to się powtórzy, że będę cierpiał, albo że mnie zmiecie z powierzchni ziemi bez cierpienia, ale też bez ostrzeżenia – trwa do dzisiaj. Pamiętam myśli z okresu choroby. Teraz mam powiedzieć mojej żonie „to zdanie" czy nie teraz? I kolejna myśl: że jak za długo będę o tym myślał i z tym czekał, to w końcu nie zdążę.

Co to za zdanie?

Np. że mieliśmy razem wspaniałe życie. Ale za chwilę kolejna refleksja: że przecież ja jej nie mogę powiedzieć tego zdania, bo ją to jeszcze bardziej przerazi.

Ma Pan na myśli scenę w samochodzie, którym wiozła Pana do szpitala?

Chodzi mi raczej o pobyt w szpitalu – w samochodzie nie miałem siły mówić. Wtedy nasz kontakt ograniczył się do spojrzenia po sobie, gdy na wyświetlaczu pojawił się tytuł utworu – „Finale".

Tak przerysowane, że aż śmieszne.

Mnie do śmiechu nie było, wtedy wiedziałem tyle, że umieram. Niby wciąż oddychasz, niby serce bije, jesteś świadom, z twojej tętnicy nie leje się krew – a jednak czujesz, że za moment może być koniec.

Czytelnik Pana książki od początku wie, że główny bohater jednak przeżyje.

I nie jest to okoliczność w sensie dramaturgicznym korzystna. Na początku jest katastrofa, później coraz lepiej. Wszystko zmierza nieuchronnie do happy endu, a *happy end* to przecież coś, co zabija powód do czytania. Dostał zawału, przeżył zabieg, potem wstał, a na koniec nawet chodzi na rehabilitację i próbuje uprawiać sport. Nuda.

To dlatego na końcu książki pada zdanie, które wyciąga czytelnikowi dywan spod nóg.

Bohater „Roku..." próbuje tłumaczyć kolegom-pacjentom, że dobra historia to nie historia szczęśliwa, tylko ta zaskakująca.

Oni mu mówią, żeby chcieli, by bohater przeżył i był zdrowy. A ja im tłumaczę: jako człowiek też bym chciał, żeby on był zdrowy. Ale jako autor mam wobec czytelników zobowiązanie. To zobowiązanie zawiera w sobie obietnicę zawarcia w historii bohatera jakiegoś dylematu – jeśli go nie ma, to nie ma o czym gadać.

Przed tym brakiem zaskoczenia ratuje się Pan pięknymi mikrozaskoczeniami.

Na przykład?

Np. historią pięknej kobiety, która na korytarzach kardiologii uśmiecha się, być może zalotnie, do robiącego zdrowotne rundy po szpitalu bohatera.

I to są te momenty, które najbardziej lubię – i jako czytelnik, i jako autor. To są chwile, w których szybko kogoś oceniamy, a później musimy się za ten swój pośpiech wstydzić. Ów czytelniczy wstyd to najlepszy wyzwalacz myślenia.

Od którego momentu swojego chorowania miał Pan taką pewność: „Piszę książkę"?

Notatki robię zawsze, także tu, odkąd mogłem, to je robiłem. A o książce pomyślałem, gdy napisałem historię miłości do lekarza.

Bohater zakochuje się w kardiochirurgu, który uratował mu życie.

A ten delikatnie sprowadza go na ziemię – mówi mu, że szybko mu to minie,

bo przecież zna syndrom *near death experience*, którego częścią jest właśnie skłonność do zakochiwania się w ludziach, którzy nas ocalili.

To bohater książki. A Pan, Mikołaj Grynberg?

Mija kilka miesięcy od wyjścia ze szpitala, wychodzi książka. A ja ją biorę, idę do szpitala i staję naprzeciwko tego lekarza. Próbuję coś powiedzieć, peszę się jak mały chłopiec, pąsowieję. On mówi, że to cudownie, że się tak dobrze czuję. Ja brnę: zachęcam, by przeczytał, zwłaszcza rozdział ósmy, i tylko resztkami sił powstrzymuję się przed dodaniem: „Bo to jest o nas". Wreszcie nie wytrzymuję, rzucam: „Proszę już iść, bo pewnie tam ktoś potrzebuje pana pomocy" – no i stamtąd uciekam.

Wie pan, to dość częsta sytuacja: ktoś nam ratuje życie, a w dodatku jest dla nas dobry, delikatny. A nam się nasza wdzięczność „myli" z miłością. I są to zwykle uczucia krystaliczne – zdarzają się w życiu bardzo rzadko.

Przeczytał?

Nie wiem, ale słyszałem o reakcji innego pracownika tamtego oddziału. „Czytałem – miał powiedzieć. – Na wielkich emocjach to było pisane" (*śmiech*).

No i miał rację: na emocjach.

A oni w te emocje wchodzić nie mogą. Bo by oszaleli.

Skądinąd „Rok..." funkcjonuje już, jak słyszę, na oddziałach kardiologicznych. Czyta i personel, i pacjenci, którym ta książka jest ponoć donoszona przez bliskich.

Nie boi się Pan medyczno-branżowego zaszufladkowania?

Nie, książka żyje, tylko się cieszyć. Mój kolega poszedł na ten sam oddział, ale na planowany zabieg, nie interwencję ratującą życie. Wziął ze sobą „Rok...", ostentacyjnie czytał. Podeszła pielęgniarka i powiedziała: „Wiem, że to się działo u nas".

Wpada Pan nadal na ten oddział?

Rzeczywiście, długo przychodziłem, rozmawiałem nawet z pacjentami leżącymi na „moim" łóżku. Kogoś potrzymałem za rękę, kogoś starałem się wesprzeć. Zawsze widziałem wdzięczność.

Ale gdy byłem ostatnim razem, na tym łóżku trwała reanimacja. „Dość – powiedziałem sobie. – Tu walczą o czyjeś życie, a ja przychodzę na wspominki".

MIKOŁAJ GRYNBERG:

Tu wszystko zmierza do happy endu, a happy end zabija powód do czytania. Dlatego na końcu książki pada zdanie, które wyciąga czytelnikowi dywan spod nóg.

Po co Pan tam chodził?

Pewnie dla siebie, żeby oswoić to wszystko, co mi się tam stało. A przy okazji być może udało mi się komuś dać coś dobrego.

Ta czułość, którą Pan dawał innym, jest kluczowa w Pana książce. Jest pielęgniarka, która głaszcze po głowie. Jest jakaś pani, która przemyca – wbrew wszelkim zaleceniom – karpatkę dla męża.

Ta czułość jest tym ważniejsza, że tam się nie rozmawia o tym, co się stało. Mam na myśli zwłaszcza mężczyzn. A równocześnie wszyscy są jak te kalmary – wszystko na wierzchu, jakby nie mieli skóry. To dlatego każdy gest czułości jest tam na wagę złota.

A przy tym są to gesty, w sensie fabularnym, po prostu ciekawe. Bo przecież nawet ci pozornie twardzi, homofobiczni faceci z mojego oddziału rehabilitacji, których opisuję, potrzebują właśnie czułości i rozmowy! Później, jak nabiorą siły, znowu stają się surowsi i okrutniejsi – ale potrzeby mają takie same jak wszyscy inni.

Pamiętam jeszcze jeden gest. Pielęgniarka instaluje mi wenflon i przez kilka minut kombinuje, jak ocalić cienki sznureczek, który mam na nadgarstku.

Widzę, jest ocalony.

„Niech pani przetnie – mówiłem. – Dla mnie sto razy ważniejsze jest to, żeby wenflon był dobrze założony". Ale ona nie dawała za wygraną.

Następnego dnia zauważyłem, że też ma na ręku taki sznureczek.

Główny bohater książki jest czuły nawet na przejawy ewidentnej nieczułości. Np. na mężczyznę z poczekalni SOR-u, który podchodzi do leżącego już na ziemi faceta tylko po to, by go poinformować, że go nie przepuści w kolejce.

To znowu literacka strategia, tak jest ciekawiej. Gdyby główny bohater chamstwo nazywał chamstwem, zrobiłoby się nudno. Nie warto opisywać dobrych i złych bohaterów – ciekawiej jest niuansować. Dlatego on się cieszy, że ten sam facet – czekający na SOR-ze już pewnie szóstą godzinę – wszedł wreszcie do gabinetu. Gdyby mu powiedział: „Mam nadzieję, że zdechniesz", co to by była za historia?

A ma Pan, Mikołaj Grynberg, czułość do tych wszystkich lekarzy, którzy nie podnoszą wzroku znad dokumentacji, żeby choć wydusić „dzień dobry"? I nie mówię o figurze znękanego onkologa, który przyjął właśnie sto dwudziestego pacjenta – raczej o pewnych siebie pół-bogach.

Czy oni na pewno są tacy pewni siebie? Wystarczy zobaczyć ich na obchodzie, w towarzystwie ordynatora, tam już są ćwierć-bogami – kto jest bogiem, widać od razu. Zresztą daje się to wyjaśnić: szpital to jest bardzo feudalna struktura.

Podszedł do mnie na spotkaniu autorskim lekarz-ordynator. Powiedział: „Ja też prowadzę te pana orszaki". Ja na to: „To są pana orszaki, nie moje". „Pan myśli, że ja to lubię? – zapytał w odpowiedzi. – Nie umiem inaczej, tak robił mój szef, tak robię ja. Nie jestem z tego dumny".

To była dobra rozmowa, choć ja nadal wolę przybicie piątki i prawdziwy kontakt niż zwracanie się do pacjenta w trzeciej osobie.

Albo w pierwszej liczby mnogiej. Ks. Jan Kaczkowski, przez lata pacjent onkologiczny, usłyszał od lekarki komendę: „Rozbieramy się". I odpowiedział: „Pani pierwsza". Skądinąd zaskoczyła mnie aprobata, jaka bije z kart Pana książki dla szpitalnych parawanów, dla wielu będących przecież symbolem nieczułości systemu – nie możemy dać ci prawdziwej intymności, to damy ci jej protezę. A Pan pisze, że parawan to dobro.

Dobro w tym sensie, że dzięki niemu nie wszystko widziałem. ↦

↦ **Np. scen resuscytacji.**

I tak zostają po nich dźwięki. Defibrylator, „skaczące" ciało, wymienianie się lekarzy komunikatami: ile mililitrów tego, ile tamtego. A potem cisza. Bo pomimo parawanów, wszyscy przecież wiedzą, co się właśnie stało. I to jest naprawdę strasznie smutne.

Wychodzimy z głównym bohaterem ze szpitala. A tam – po raz pierwszy na schodach kamienicy – lęk, że nie przeżyję, zamienia się w inny: że już zawsze będę starcem.

Że wygramoliłem się na spacer, ale nie będę w stanie sam wrócić do własnego domu, bo nie mam siły wejść po schodach. Że już zawsze będę korzystał z pomocy żony, chcąc wyjść z wanny. I że ona będzie mnie holować na spacerach. No i że to się nigdy nie zmieni.

U Pana się zmieniło. I to bardzo.

Skaczę te dwa schody naraz, mogę biegać, jechać kilkadziesiąt kilometrów na rowerze, a minęło niewiele ponad rok od zawału. I wszystko to robiłem zgodnie z zasadami sztuki – nie rzuciłem się na ten rower tak, żeby zaraz dostać kolejnego zawału.

To była praca. Przez pół roku po wyjściu ze szpitala nie zajmowałem się niczym innym poza dbaniem o swoją formę. Mówiłem do żony jak dziecko mówi do mamy: „Idę na rower!", i szedłem jeździć. To było i jest euforyzujące. Moją ambicją było dojście do niezależności, a osiągnąłem znacznie więcej. Dalej, dłużej, szybciej – ten postęp był nagradzający.

A lęk?

Mam wszystkie urządzenia monitorujące, jestem bardzo karnym pacjentem. Ale oczywiście zdarzają się sytuacje, że ni stąd, ni zowąd moje serce zaczyna bić za szybko: np. 170 uderzeń zamiast zalecanych 120. Wtedy staję, opieram rower, kładę się. I czekam, aż tych uderzeń będzie osiemdziesiąt.

Ta Pana rosnąca forma brzmi jak powrót do młodości.

Bo tak w pewnym sensie jest: jestem w dużo lepszej kondycji niż przed zawałem, a nawet lepszej niż przez wiele ostatnich lat. W młodości uprawiałem intensywnie sporty, skakałem do wody – z trampoliny, z wieży. Potem jeździłem na nartach, trochę na rowerze. A później stopniowo się zaniedbywałem, straciłem siły do biegania, szybkiego chodzenia. Długo myślałem, że inni chodzą szybciej, bo mają dłuższe nogi. Ale prawda była chyba inna.

Zawał jako dobrodziejstwo?

Inaczej: dobrze, że przyszedł teraz, bo pięć lat później mógłby mnie zabić. A teraz dał szansę.

Jak Pana zmienił „między uszami"?

Ludzie twierdzą, że jestem pogodniejszy. Albo że się mnie już nie boją. „Jak to, ty się mnie bałeś?" – pytam. W odpowiedzi słyszę, że miałem w sobie jakąś ostrość czy surowość, która teraz ze mnie wyparowała. Był czas, nie tak znowu odległy, że nie bardzo chciało mi się żyć. Teraz bardzo mi się chce.

Zmieniła się też hierarchia. To jak potasowanie na nowo talii kart: te, które były na wierzchu, dostały się nagle na spód.

Karta z napisem „Bieżąca sytuacja polityczna" wpadła w czasie tasowania pod łóżko?

Chyba tak. W szpitalu przeczytałem artykuł. Był to tekst dziennikarza „Wyborczej" o tym, że wykaraskał się z... zawału. „Niemożliwe – myślałem – teraz wszędzie będę widział zawał?".

Ale generalnie fakt, że tzw. bieżąca rzeczywistość przestała istnieć, był dobry. Że nie ma Polski, nie ma Trumpa i tego wszystkiego, co się dzieje ze światem.

„Teraz jestem niewkurwialny" – mówi jedna z postaci Pana książki.

Przyjaciel głównego bohatera, który też ma poczucie, że po zawale przesunął się środek ciężkości, i rzeczy ważne stały się nieważne. Że sprawy i ludzie, które go denerwowały, zeszły nie na plan drugi, ale na dziesiąty.

I ja też tak często czuję. Ktoś jest niemiły, ktoś inny wepchnął się przede mnie w metrze albo zajechał mi drogę – to wszystko traci na znaczeniu. W tym sensie i ja mogę o sobie powiedzieć: jestem niewkurwialny.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Hej, Flo

DAWID IWANIEC

MUZYKA | Niebezpieczna i uwodzicielska – prowokuje do krzyku i uwalnia emocje. Nowa płyta Florence and The Machine.

Czekałem na tę chwilę dwie dekady. Na moment, w którym muzyka znowu porwie mnie tak bardzo, że zamiast odsłuchiwać płytę w wygodnym fotelu, wstanę i będę energicznie krążył po pokoju. Poprzednio zdarzyło mi się to przy premierze albumu „Playing the Angel" Depeche Mode: ciarki na plecach, skóra napięta jak struna, kości jak pudło rezonansowe.

A potem mijały niezliczone godziny muzyki. Słuchałem, szukałem, czekałem. Byłem jak Gatsby wpatrzony w swoje zielone światło – wspomnienie intensywności, której pragnąłem powtórnie doświadczyć. I oto pojawiła się ona – Florence Welch. A właściwie jej utwór „Everybody Scream": singiel i zarazem zapowiedź nowego albumu pod tym samym tytułem, którego premierę zaplanowano na 31 października. Krzyk Flo natychmiast stał się moim krzykiem.

Analogia do Gatsby'ego to nie przypadek. W ostatnich tygodniach fani Florence żyli informacją, że musical „Gatsby: The American Myth", napisany wspólnie z urodzoną w Polsce laureatką Pulitzera Martyną Majok, po prawie niespełnionych planach broadwayowskich ostatecznie trafi na londyński West End. Wraz z nim nadejść ma nowa porcja muzyki Welch.

Tym większe było zaskoczenie, gdy w połowie sierpnia artystka niespodziewanie ogłosiła datę premiery nowego albumu, a kilka dni później opublikowała pierwszy singiel. Utwór – i towarzyszący mu teledysk – to streszczenie kariery Flo: dramatyczny, gotycki, pełen magii i ekstatycznego krzyku, który jest jednocześnie jej przekleństwem i wyzwoleniem.

Gotyk i gorączka

Florence Welch, serce i dusza założonego w 2007 r. indie-rockowego zespołu



JOSEPH OKPAKO / WIREIMAGE / GETTY IMAGES

Florence and the Machine na festiwalu Sziget. Budapeszt, 10 sierpnia 2023 r.

Florence and the Machine, od początku kariery pozostaje jedną z najoryginalniejszych gwiazd brytyjskiej sceny. Do świata muzyki weszła w roku 2008 piosenką „Kiss With a Fist" opowiadającą o gwałtownej, namiętnej miłości, w której nasycony szokującymi scenami tekst – kopnięcia, rozbita szczęka, podbite oko – połączyła z euforyczną, punkową melodią.

Rok później ukazała się jej pierwsza płyta „Lungs", nagrodzona potem Brit Award i przez wiele tygodni okupująca szczyty list przebojów. Znajdujące się na nim utwory, m.in. „Dog Days Are Over" czy „Cosmic Love", ugruntowały styl Welch – monumentalny, emocjonalny, balansujący między gotycką aurą a rockowym rozmachem.

Od tamtej pory Welch nagrała jeszcze cztery albumy: „Ceremonials", „How Big, How Blue, How Beautiful", „High as Hope" i „Dance Fever". Z kolei na scenie wypracowała legendarny wizerunek: rudowłosej szamanki w długich sukniach, która nie potrzebuje obrotowych scen ani multimedialnych fajerwerków, bo sama jest widowiskiem – świeżym i energetycznym. „Olśniewająca czarodziejka popu" – pisał o niej „The New York Times", a każdy kolejny album i koncert potwierdzał, że Welch potrafi przekuwać emocje w hymny, które poruszają i porywają tłumy.

Dla ścisłości – chodzi o jej własne emocje, bo teksty Welch zawsze były bardzo osobiste. W „Rabbit Heart" śpiewała o przemianie z dziewczyny o „króliczym sercu" w kogoś, kto musi walczyć jak lew, nawet jeśli oznacza to poświęcenie samej siebie. W „Shake It Out" próbowała strząsnąć z ramion demony przeszłości, a w „Never Let Me Go" poddała się i zaakceptowała własną słabość. Z kolei w „Hunger" wyznała już wprost: „Miałam siedemnaście lat, gdy zaczęłam się głodzić". Zaburzenia odżywiania towarzyszące jej młodości były zaledwie jednym z problemów, które ciążyły nad pierwszymi latami kariery. Alkohol dodający odwagi przed wejściem na scenę, nieustanny lęk, poczucie autodestrukcji – to wszystko składało się na życie, które tylko z zewnątrz wyglądało bajkowo.

Śpiew i ból

W utworze „Everybody Scream" Florence daje do zrozumienia, że chociaż od ponad dekady jest trzeźwa i zdołała poukładać wiele spraw, jej powrót do muzyki wcale nie był łatwy. „Popatrz, jak się wykańczam, krwawię na scenie" – śpiewa, opisując dosłownie, co działo się z nią w ostatnich latach, gdy koncertowanie przypłaciła zdrowiem (mimo złamanej stopy i obfitego krwawienia dokończyła jeden z występów). „Fizycznie mam jakąś nieludzką siłę, ale emocjonalnie jestem absolutnie rozbita" – wyznała w niedawnym wywiadzie dla „Guardiana", opowiadając o ciąży, w którą zaszła latem 2023 r.

Zanim komukolwiek o niej powiedziała, doszło do poronienia. Kilka dni później przed jednym z koncertów poczuła się fatalnie, ale wzięła ibuprofen i wyszła na scenę. Po występie okazało się, że jej ciąża była pozamaciczna, a ból, który odczuwała, wywołany był pęknięciem jajowodu. Z powodu wewnętrznego krwotoku otarła się o śmierć, ale już dziesięć dni później wróciła na trasę, do swojej „bezpiecznej przestrzeni".

Teledysk do „Everybody Scream" wzmacnia przekaz piosenki. Artystka ponownie wciela się w rolę szamanki: gotycka, ekstatyczna, pełna rytualnego transu. Jest jednocześnie niebezpieczna i uwodzicielska, przerażająca i pociągająca – prowokuje do krzyku i uwalnia emocje, pociągając widza w mroczną ekstazę.

Pasja i krzyk

Kilka lat temu podczas koncertu w Nowym Jorku, przed wykonaniem „Never Let Me Go", wyznała: „Nie grałam tej piosenki, bo przypominała mi czas, gdy byłam bardzo młoda, bardzo smutna i bardzo pijana. Tak wyglądało ostatnich piętnaście lat mojego pisania: wszystko, co próbowałam od siebie odsunąć – każdą część, którą uważałam za połamaną albo zbyt chaotyczną – jeśli zamieniałam moje słabości w piosenkę, wy zamienialiście je w miłość i pozwalaliście zobaczyć mi mnie samą w innym świetle". W najnowszym singlu dodaje wers, który tłumaczy, dlaczego nie może, nie potrafi albo nie chce zejść ze sceny: „Ale jak mogłabym was opuścić, kiedy wy krzyczycie moje imię?".

Welch zawsze opowiada o sobie, ale zarazem ubiera własne historie w uniwersalne prawdy. Jej piosenki bywają zachętą, by znaleźć odwagę, aby coś zmienić, podjąć ryzyko, działać. Tak jest i tym razem – „Everybody Scream" to nie tylko rozliczenie z życiem na scenie, ale też hymn o pasji. Pasji, która – choć kosztuje – potrafi ponieść nas daleko. Nieważne, czy koncertujesz dla setek tysięcy osób, czy gotujesz dla garstki przyjaciół. Brzmi to oczywiście banalnie, na szczęście Welch potrafi ubrać tego typu frazesy w słowa tak, że chce się je uznać za własne życiowe motto. ©

FLORENCE AND THE MACHINE zagrają w Krakowie 7 marca 2026 r.



BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

„Król Roger", reż. Mariusz Treliński, scenogr. Boris Kudlička, Teatr Wielki – Opera Narodowa, 2018 r.

Kombinat sztuki

DOROTA KOZIŃSKA

OPERA NARODOWA | To nie jest i nigdy nie był zwykły teatr – raczej symbol aspiracji naszych elit. Przestarzały nie tylko w porównaniu z tym, jak funkcjonuje większość oper na świecie, ale też pod względem modelu zarządzania. Czy nowy dyrektor to zmieni?

Kiedy w sierpniu ubiegłego roku gruchnęła wieść, że Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zamierza wyłonić nowego dyrektora naczelnego Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w drodze konkursu, polskie środowisko muzyczne i widzowie wstrzymali oddech po raz pierwszy. Część pracowników, nauczona przykrymi doświadczeniami z czasów „interregnum" między dwiema dyrekcjami Waldemara Dąbrowskiego, który wrócił do teatru w 2008 r. i od tamtej pory nieprzerwanie dzierżył stery instytucji, wpadła w panikę.

Z kolei część krytyków i melomanów, zaniepokojona coraz skromniejszą ofertą repertuarową warszawskiej sceny i nie zawsze zadowalającym poziomem muzycznym przedstawień, wyraziła ostrożny optymizm. Większość trwała na stanowisku, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Wkrótce wrzawa przycichła i wszyscy doszli do wniosku, że resort poprzestanie na szumnych deklaracjach.

Na początku lutego 2025 r. wstrzymaliśmy oddech po raz drugi. To wtedy Ministerstwo konkurs ogłosiło, i to w dodatku w formule zamkniętej, nie zapraszając do udziału dotychczasowego dyrektora. W gronie kandydatów znalazł się za to scenograf, architekt i projektant Boris Kudlička. Podejrzliwi zaczęli wietrzyć spisek, mający na celu ugruntowanie dotychczasowej pozycji Mariusza Trelińskiego, pełniącego funkcję dyrektora artystycznego instytucji.

No bo jakże inaczej tłumaczyć fakt, że Kudlička, współtwórca, a zdaniem niektórych główny sprawca sukcesów reżysera, przystąpił do konkursu mimo wcześniejszego odejścia z TW-ON i zapowiedział, że pracę w teatrze operowym traktuje w swym życiu jako rozdział zamknięty? Zaintrygowani obrotem spraw – w tym niżej podpisana – poczuli, że Kudlička nie jest w tej rozgrywce tylko figurantem, a co więcej, ma realną szansę na wygraną.

Po raz trzeci wstrzymaliśmy oddech w marcu, kiedy Komisja Konkursowa jednogłośnie poparła kandydaturę Kudlički – sądząc z lektury jego propozycji programowej, jednej z dwóch, których autorzy wyrazili zgodę na publikację, niebezpodstawnie. Odetchnęliśmy dopiero w maju, kiedy minister Hanna Wróblewska oficjalnie powołała Kudličkę na sta-

nowisko. Pięcioletnia kadencja nowego dyrektora rozpoczęła się 1 września.

Na nowo

Kilka dni wcześniej spotkałam się z nominatem, żeby wyjaśnić część wątpliwości i poznać więcej szczegółów jego programu. Misja poprowadzenia największej – w sensie dosłownym i metaforycznym – instytucji muzycznej w Polsce wciąż sprawiała na mnie wrażenie misji straceńczej. To nie jest i nigdy nie był zwykły teatr. Wzniesiony według projektu Antonia Corazziego – *notabene* wyłonionego w drodze konkursu – od początku był symbolem dążeń polskich elit. Miał stanąć w samym sercu stolicy ówczesnego Królestwa Polskiego, zorganizować wokół siebie całą przestrzeń urbanistyczną Warszawy, prześcignąć urodą i rozmachem wszystkie dotychczasowe osiągnięcia architektury teatralnej.

Otwarty w 1833 r., przetrwał wszelkie zawirowania historii. W XIX w. gościł na swoich deskach największe sławy wokalistyki – choćby i w drodze do bardziej renomowanych teatrów rosyjskich. Po odzyskaniu niepodległości stał się kuźnią rodzimych talentów i torował im drogę na światowe sceny. Mimo poważnych zniszczeń w 1939 r. legł w gruzach dopiero w czasie powstania warszawskiego. Cudem ocalała fasada wznosiła się nad morzem ruin niczym wyrzut sumienia, prowokując do podjęcia niezwłocznej decyzji o odbudowie. „Czy można było zburzyć kolumnadę na placu Teatralnym i postawić bloki mieszkalne na tym miejscu? Chciałbym zobaczyć warszawiaka, który by autora takiego pomysłu nie uważał za pomyleńca", pisał Władysław Kopaliński na łamach „Życia Warszawy".

Ostatecznie powstał całkiem nowy teatr, pokrewny staremu tylko fasadą. Kolos o przeszło trzykrotnie większej kubaturze, cud techniki, a zarazem coś w rodzaju samowystarczalnej fabryki teatralnej, wyposażonej w dziesiątki warsztatów i zatrudniającej ponad tysiąc pracowników. I w gruncie rzeczy takim kombinatem pozostał do dziś, sześćdziesiąt lat po otwarciu. Przestarzałym nie tylko w porównaniu z tym, jak funkcjonuje większość oper na świecie, ale też pod względem modelu zarządzania, do niedawna przypominającego bardziej hierarchiczne stosunki władzy niż partnerskie, oparte na wzajemnym zaufaniu relacje między członkami zespołu.

W drodze

Wyczekiwaną od lat różnicę dostrzegłam już podczas naszej pierwszej rozmowy, która w niczym nie przypominała uroczystej audiencji w dyrektorskim gabinecie. Kudlička nie tworzy dystansu, podkreśla swoją więź z samym teatrem i jego pracownikami; tym także tłumaczy swoją koncepcję wprowadzania zmian stopniowo, z szacunkiem dla poprzedników, a zarazem pełną świadomością, że w zaistniałej sytuacji trzeba przede wszystkim zadbać o bezpieczeństwo instytucji, uspokoić nastroje, unikać zbędnych konfliktów. Sytuacja jest szczególna, choć niestety w Polsce powszechna – w większości teatrów na świecie „przejęcie władzy" odbywa się w zupełnie innym trybie. Ustępujący dyrektorzy mają kilka lat na dokończenie podjętych wcześniej przedsięwzięć – nowi rządcy wdrażają się stopniowo do swoich zadań, inicjują kontrakty, które wejdą w życie dopiero po tym czasie.

Na szczęście Kudlička zna TW-ON od podszewki. Podkreśla, że właśnie ten teatr go ukształtował i doprowadził na olimp sztuki scenograficznej. Trafił tu jeszcze jako student Akademii Sztuk Pięknych w Bratysławie, w wieku zaledwie 23 lat, za namową Andrzeja Kreützа-Majewskiego, z którego pracami zetknął się przy okazji Praskiego Quadriennale, jednego z największych na świecie wydarzeń poświęconych projektowaniu spektakli, scenografii i architektury teatralnej. Poznał go później w Krakowie i z miejsca przyjął propozycję, by zostać jego asystentem.

Jesienią 1995 r. wysiadł z pociągu na Dworcu Centralnym i tak to się zaczęło. Z Kreützem-Majewskim pracował między innymi przy warszawskich spektaklach „Mazepy" Czajkowskiego oraz baletu „Romeo i Julia" Prokofiewa. W roku 1998 zaprojektował dekoracje do „Strasznego dworu" w kontrowersyjnym ujęciu Andrzeja Żuławskiego.

Rok później rozpoczął współpracę z Trelińskim: legendarnym już przedstawieniem „Madame Butterfly", wciąż inspirowanym minimalizmem Roberta Wilsona, zapowiadającym już jednak charakterystyczne dla jego późniejszej twórczości zderzenia faktur, spektakularną grę światłem i konsekwentne pogłębianie przestrzeni teatralnej. Talent Kudlički docenili też inni reżyserzy, na czele z Keithem Warnerem, z którym zrealizował między innymi słynnego, wznawianego do dziś „Otella" w londyńskim Royal Opera House.

Katalog jego dokonań w dziedzinie scenografii jest naprawdę imponujący i w pewnym sensie uzasadnia niedawną decyzję o wycofaniu się z czynnego udziału w produkcjach. Kudlička mówi ↦

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 8 września 2025 roku odeszła od nas w Pasadenie, w Kalifornii,

nasza najukochańsza

Mama, Babcia, Prababcia, Siostra i Ciocia

Ś.†P.

lek. med. Halina Anna z Nowosielskich Twardowska

Uroczystości pogrzebowe przy prochach Zmarłej odbyły się w piątek, 17 października 2025 roku o godzinie 11.00 w kaplicy na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Rodzina

↦ o tym ze spokojem i pewnością, że zatrzymał się na tej drodze we właściwym momencie – kiedy był już klasykiem, ale nie zdążył jeszcze zostać własnym epigonem. Do roli dyrektora naczelnego TW-ON czuje się przygotowany zarówno jako artysta, jak i menedżer z kilkunastoletnim doświadczeniem .

Nawiązanych w przeszłości kontaktów nie zamierza wykorzystywać do promocji własnej twórczości. Chce rozszerzyć ofertę koprodukcji: wciągnąć TW-ON we współpracę z festiwalem w Salzburgu, z operami w Madrycie, Monachium i Wiedniu. Ściągnąć znów na warszawską scenę Krzysztofa Warlikowskiego, podnieść prestiż teatru inscenizacjami Christofa Loya i Clausa Gutha, otworzyć operową publiczność na interdyscyplinarny teatr Ersana Mondtaga i poruszające inscenizacje Kornéla Mundruczó.

Od podstaw

Na razie jednak, przez co najmniej sezon, będzie kontynuował plany poprzedniej dyrekcji. I zapewne narazi się tym na nieprzychylne reakcje części odbiorców, oczekujących rewolucyjnej zmiany. Być może złagodzi ich frustrację, ogłaszając za kilka miesięcy nazwisko nowego dyrektora muzycznego – a będzie nim doświadczony dyrygent, który zbuduje renomę teatru na tym, co w operze najważniejsze: rzetelnym przygotowaniu orkiestry, pieczołowicie dobranych obsadach, mądrych decyzjach repertuarowych, podejmowanych wspólnie z dyrektorem naczelnym.

Dopóki oferta jest skromna, trzeba przynajmniej zwiększyć liczbę przedstawień – na razie co najmniej trzykrotnie niższą niż w najważniejszych, działających na pełnych obrotach teatrach europejskich. Rozszerzanie repertuaru musi iść w parze z edukacją i rozsądnie pomyślaną strategią pozyskiwania nowej publiczności. Zbyt wiele jest w tej kwestii do nadrobienia, by ryzykować wprowadzanie na scenę zbyt śmiałych eksperymentów inscenizacyjnych albo utworów, do których zespoły nie są jeszcze przygotowane pod względem muzycznym. Teatr nie może sobie jednak pozwolić na dalsze zaniedbywanie twórczości kompozytorów współczesnych – Kudlička obiecuje, że w każdym sezonie będzie się starał wzbogacać ofertę o prapremiery nowych oper, realizowanych we współpracy z najwybitniejszymi reżyserami i scenografami.



ALIAKSANDR VALODZIN / EAST NEWS

Boris Kudlička. Warszawa, 13 września 2025 r.

Nie obejdzie się bez bolesnych nieraz kompromisów. W najbliższych sezonach trudno liczyć na prezentacje oper barokowych zgodnie z regułami wykonawstwa historycznego, nie zanosi się też na spektakularny powrót twórczości Wagnera na warszawską scenę. Kudlička chce zacząć od podstaw – oswoić publiczność z podstawowymi kodami teatru operowego, zachęcić muzyków do eksploracji nieznanych stylów, pozyskać fundusze na bardziej ambitne przedsięwzięcia. Dyrektor rozważa między innymi zwiększenie częstotliwości organizowanego przez teatr Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki, co podniesie nie tylko prestiż instytucji, ale pozwoli też wyłowić młode talenty.

A pieniędzy, wbrew pozorom, wciąż brak. TW-ON – zdany w głównej mierze na dotacje ministerialne – dysponuje mniejszym budżetem niż większość „prowincjonalnych" teatrów niemieckich. Tymczasem trzeba nie tylko się zatroszczyć o pokrycie kosztów bieżącej działalności i realizacji nowych przedstawień, lecz także uporządkować przestrzeń wokół gmachu, urządzić w teatrze sale prób z prawdziwego zdarzenia, przede wszystkim zaś przeprowadzić pierwszy od otwarcia budowli kapitalny remont urządzeń scenicznych.

Cóż nam po scenie obrotowej, sześciu dwupoziomowych zapadniach i przeszło pięćdziesięciu wyciągach hydraulicznych, z których każdy ma udźwig przeszło pół tony, skoro wszystkie te cuda techniki sprzed sześćdziesięciu lat działają wyłącznie dzięki pomysłowości operatorów, bez dawno wycofanych z produkcji części zamiennych, w archaicznym systemie niezgodnym z jakimikolwiek normami bezpieczeństwa? Rozmiary tego kolosa zaczynają działać na jego niekorzyść: utrudniają koprodukcje z innymi teatrami, generują dodatkowe koszty, uniemożliwiają szybki transport dekoracji ustawionych do innych spektakli i czekających w gotowości w kieszeniach bocznych sceny.

Na przyszłość

Boris Kudlička nie chce zamykać gmachu przy placu Teatralnym i zmuszać zespołów do grania w innych salach. Prace remontowe zamierza prowadzić stopniowo – skracając sezon do ośmiu miesięcy w roku, żeby pozostałe cztery wykorzystać na sprawny montaż prefabrykowanych elementów urządzeń. A trzeba jeszcze zadbać o historyczną substancję gmachu, zmodernizować Salę Młynarskiego, by nadawała się w pełni do organizowania spektakli kameralnych, spróbować zrewitalizować parking i uzupełnić go o strefę zieleni.

Co będzie, jeśli Ministerstwo nie przedłuży Kudličce kadencji? Dyrektor w pełni się z tym liczy w tych niespokojnych czasach. I znów tłumaczy cierpliwie, że postara się doprowadzić wszelkie inicjatywy do takiego etapu, by jego następca naturalną koleją rzeczy podjął się ich kontynuacji. A jeśli uda się zostać na stanowisku dłużej niż pięć lat i wszyscy będą zadowoleni – to pozostaje się tylko cieszyć.

Udziela mi się ten spokój, bo w coś wreszcie trzeba uwierzyć. Tak jak wciąż wierzę w słowa cytowanego już wcześniej Kopalińskiego, który w tym samym felietonie dla „Życia Warszawy" napisał, że „Opera pracuje i pracować będzie dla naszych wnuków i prawnuków, przeżywając lepsze i gorsze dziesięciolecia, dyrekcje o szczęśliwej i pechowej ręce, kształcąc i zatrudniając artystów o najróżniejszych talentach i uzdolnieniach. Nasze zapalczywe oceny przykryje z czasem pył zapomnienia i wdzięczna patyna dawności. Mimo to Teatr Wielki przygotowywać będzie nową, kolejną premierę". Pod okiem dyrektora o szczęśliwej ręce powinno pójść jak z płatka. © DOROTA KOZIŃSKA

■ *Aleksandra Koperda, Michał Lichtański*, **KOLEKCJE DIZAJNU**, *Znak*

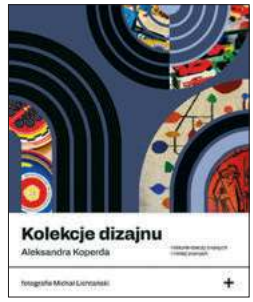

Aleksandra Koperda odsłania rzeczywistość, w której przedmiot przestaje być wyłącznie rzeczą, a staje się świadkiem czasów, emocji i ludzkiego uporu. Autorka – znana z projektu „Have a Nice Life" – zagląda do mieszkań i pracowni polskich kolekcjonerów designu, zachęcając do opowiedzenia o swoich zbiorach. Każda historia staje się jednocześnie pretekstem do rozmowy o pamięci, tożsamości oraz o tym, co rzeczy mówią o nas. Autorka prezentuje ukryte w domach czy magazynach pasjonatów zbiory, np. etnicznych instrumentów muzycznych Eulalii Gajewskiej-Lizak albo przedmioty Grzegorza Ziemiańskiego: pamiątki z okresu PRL-u związane z kombinatem w Nowej Hucie. Każda kolekcja to mikroświat – zrodzony z miłości, nostalgii, czasem potrzeby kontroli nad chaosem współczesności. Tekst dopełniają fotografie Michała Lichtańskiego, budujące wizualny rytm książki. Każdy kadr jest przemyślany, zatrzymany między dokumentem a portretem. Dzięki nim czytelnik patrzy na nie w sposób, który pozwala dostrzec zmysłowość relacji pomiędzy kolekcjonerami i ich artefaktami. Książka zostawia nas z pytaniem dotyczącym tego, czy kolekcjonowanie to pasja, czy sprzeciw wobec przemijania. W czasach, gdy design coraz częściej bywa synonimem luksusu, Koperda przypomina, że prawdziwe piękno zaczyna się tam, gdzie ktoś mówi: „to jest ważne, choć inni już o tym zapomnieli".

©℗ JACEK TARAN

■ *Anda Rottenberg*, **TRUDNY WIEK**, *Krytyka Polityczna*

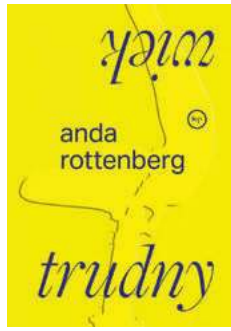

Czy warto pisać dziś jeszcze o Alinie Szapocznikow, Andrzeju Wajdzie i Andrzeju Wróblewskim? Anda Rottenberg udowadnia, że tak, i opowiada nam o ich twórczości coś nowego. Byli to artyści odrębni, a jednak sobie bliscy. Łączyła ich wspólnota pokoleniowa i biograficzne doświadczenia: przedwczesna śmierć ojców, traumatyczne doświadczenia z lat 1939-45. I coś jeszcze: wojnę przeżyli jako nastolatkowie. W chwili jej wybuchu Wróblewski miał 12 lat, a Szapocznikow i Wajda byli ledwie o rok starsi. Przez dekady tego faktu właściwie nie dostrzegano. Wróblewski uczył się na tajnych kompletach, Wajda w nielegalnym gimnazjum. Potem wstąpił do Armii Krajowej, musiał się ukrywać. Szapocznikow trafiła do getta w Pabianicach, następnie w Łodzi. Przeszła przez Auschwitz i Bergen-Belsen, wreszcie trafiła do Terezina. „Trudny wiek" to książka o ich młodzieńczych losach, związkach, relacjach. A przede wszystkim o twórczości, która była „zarażona wojną". Rottenberg pisze o ikonicznych już dziełach poświęconych wojennym dramatom: „Rozstrzelaniach" Wróblewskiego czy „Popiele i diamencie" Wajdy. Zwraca uwagę także na inne dzieła, niemające tak oczywistych powiązań z traumami lat wojny, jak późne rzeźby Szapocznikow, w których artystka przejmująco opowiedziała o umieraniu. Bohaterowie Rottenberg szukali sposobu na to, by oddać w sztuce wojenne doświadczenia. Udało im się tego dokonać dzięki opowiedzeniu o losie zbiorowym poprzez osobiste przeżycia. To w połączeniu tego, co jednostkowe, z losem wspólnoty tkwi być może siła i wiarygodność ich dzieł. Nadal aktualnych, bo opowiadają o doświadczeniu do dziś kształtującym naszą tożsamość.

© PIOTR KOSIEWSKI



REKLAMA

Wyznania szpiega



ANITA PIOTROWSKA

DOKUMENT | Ten film doskonale pokazuje, jak różnie można oceniać człowieka, który miał pecha żyć w ciekawych czasach.

A co z Trepperem, panie Gierek? – plakaty z takim pytaniem pojawiały się na paryskich ulicach, kiedy pierwszy sekretarz KC PZPR w 1972 r. składał Francuzom oficjalną wizytę. Za tą akcją stali miejscowi dziennikarze, próbujący wywrzeć polityczną presję w sprawie człowieka, który dla wielu był bohaterem II wojny światowej, a teraz przebywał w PRL-owskim areszcie domowym.

Podczas gdy w ramach pomarcowej czystki co najmniej 13 tysięcy polskich Żydów musiało wyjechać z kraju, Leopold Trepper przeciwnie: otrzymał zakaz jego opuszczania. Dokument „Wielki Szef" opowiada o Polaku, który od 1937 r. tworzył na Zachodzie radziecką siatkę wywiadowczą, nazywaną Czerwoną Orkiestrą. Dostarczał bezcenne informacje z dziedziny nazistowskiej wojskowości i przemysłu zbrojeniowego. Sam jednak zaplątał się w sieć, z której trudno mu było się wywikłać niemal do ostatnich dni.

Przedstawiona w tym filmie historia (i Historia) kłóci się z dwubiegunowymi wizjami, do jakich przyzwyczajają nas upraszczające przeszłość podręczniki i manipulujący nią politycy. Przy tak skomplikowanych biografiach odpalają się też wszelkie światopoglądowe uprzedzenia. Stąd nawet po zakończeniu seansu może być trudno z jednoznaczną odpowiedzią, kim tak naprawdę był bohater tego dokumentu.

Reżyser Tomasz Wolski zanurkował w licznych archiwach nie tylko po to, by odpomnieć mało znaną w Polsce postać asa wywiadu i dość nietypowej ofiary antysemickiej nagonki. Zrobił ten film również po to, ażeby pokazać, jak różnie można pozycjonować i oceniać człowieka, który miał pecha żyć w ciekawych czasach – i na dodatek miał odwagę stać się ich bardzo aktywnym graczem.

Wolski dociera do Treppera przede wszystkim za pośrednictwem znalezionych przypadkiem materiałów filmowych, jakie Jean-Pierre Elkabbach, znany francuski reporter telewizyjny, nagrał w Warszawie na początku lat siedemdziesiątych. Ale nie zdążył zrobić z nich użytku, bo zostały zarekwirowane przez komunistyczne władze. Wyłania się z tych nagrań mocno schorowany człowiek, inwigilowany przez bezpiekę, rozdzielony z najbliższą rodziną, dręczony przez lata niewygodnymi pytaniami.

Czy podczas wojny Trepper był tylko radzieckim szpiegiem, czy może szpiegiem podwójnym albo i potrójnym? Czy na miano „wroga Polski" skazywało go wyłącznie żydowskie pochodzenie? Cała jego wywiadowcza droga była najeżona minami: od czasów przedwojennych, gdy w Brukseli montował Czerwoną Orkiestrę pod przykrywką działalności biznesowej (dotyczyła, jak na ironię, sprzedaży parasoli i płaszczy przeciwdeszczowych), przez wpadkę w ręce gestapo i nieco sowizdrzalską ucieczkę, aż po dziesięć lat stalinowskiego więzienia na Łubiance. Oczywiście „za zdradę stanu". Już samo to, że z każdej opresji w końcu wychodził cało, a czasem jako jedyny, mogło się wydawać podejrzane.

W Orkiestrze dyrygował „pianistami", czyli obsługującymi nadajniki szyfrantami, lecz niezależnie od tego, na ilu fortepianach sam w swoim życiu grywał, Wolski sporo miejsca poświęca prywatnemu portretowi „Wielkiego Szefa". Tego zazwyczaj nie znajdziemy w sensacyjnych historiach szpiegowskich. Bo kiedy tyle się poświęciło „dla sprawy", a potem trafiało pod pręgierz oskarżeń z różnych stron, w pewnym momencie to właśnie rodzina, małżeństwo, ojcostwo musiały stanąć na pierwszym miejscu.

Bardziej nawet niż osobista wolność obywatela internowanego we własnym mieszkaniu. Znaczna część filmu skupia się na tej ostatniej batalii Treppera – żeby pokonać polityczno-biurokratyczną machinę, dostać paszport i dołączyć wreszcie do swoich bliskich, przebywających na przymusowej emigracji.

Bohater filmu, uważający się bardziej za rewolucjonistę aniżeli szpiega, bardziej za socjalistę niż syjonistę, nieustannie wymyka się sztywnym klasyfikacjom, czym może powodować u dzisiejszego widza pewien dyskomfort. Za to silnie przemawia wątek dezinformacji czy dziennikarskiej solidarności, czego wyrazem była wspomniana francuska akcja plakatowa i strajk głodowy w intencji Polaka gnębionego przez system. Największą jednak wartością tego filmu jest ukazanie, zresztą przez Wolskiego nie po raz pierwszy, ówczesnego „życia na podsłuchu", dzisiaj wręcz dotykalnego w swoim kształcie dzięki kreatywnemu użyciu metody *found footage*.



WARNER BROS. PICTURES / MATERIAŁY PRASOWE

WIELKI SZEF
– reż. Tomasz Wolski. Prod. Polska/ /Holandia/Francja 2025. Dystryb. Kijora Film. W kinach od 24 października.

Tomasz Wolski jest nagradzanym w Polsce i na świecie reżyserem, operatorem i montażystą filmów dokumentalnych (choć nie tylko). Zaczynał od dokumentów obserwacyjnych („Złota rybka”, „Szczęściarze”, „Lekarze”). W ostatnich latach wyspecjalizował się w kinie opowiadającym historię PRL-u w oparciu o materiały archiwalne („Zwyczajny kraj”, „1970” czy „Rok z życia kraju”).

Na zdjęciu: Leopold Trepper w filmie „Wielki Szef”

Twórca „Zwyczajnego kraju” doprowadził do mistrzostwa tę metodę dokumentalnego opowiadania, opartą wyłącznie na archiwaliach, znajdywanych w różnych miejscach na świecie. Podobnie jak Maciej Drygas, Péter Forgács czy Siergiej Łoznica, z którym Wolskiemu zdarza się współpracować, współczesny dokumentalista poszukuje prawdy w autorskim montażu filmowych znalezisk.

W „Wielkim Szefie” gruboziarniste czarno-białe klisze czy taśmy barwne w rodzaju ORWO (materiały obejmują wszak dobrych kilka dekad historii) krążą czasami dość luźno wokół osoby Treppera i skupiają się również na didaskaliach jego dramatu. Dlatego można się poczuć niczym w kapsule czasu. Tego rodzaju zdjęcia, kręcone czasem oficjalnie, ale często anonimowo i z ukrycia, podkreślają także szpiegowski charakter tej historii. Oto niegdysiejszy szpieg, który potem przez lata sam był śledzony przez aparat bezpieczeństwa, staje się bohaterem innego, już dzisiejszego śledztwa.

Kreatywność u Wolskiego nie jest aż tak daleko posunięta, jak w dokumencie „1970”, powstałym w pięćdziesiątą rocznicę tragicznych wydarzeń grudniowych na Wybrzeżu. Ich gabinetowe zaplecze i sylwetki aparatczyków zrekonstruowali twórcy filmu za pomocą animacji lalkowej, co zwracało uwagę na marionetkowy charakter dziejącej się wówczas Historii. W przypadku Treppera, bogato udokumentowanego przez Francuzów i peerelowskie służby, tego rodzaju rekonstrukcje nie były potrzebne.

Zwraca natomiast uwagę odtworzony na ekranie pejzaż dźwiękowy, który potrafi tchnąć życie w archiwalne filmy, robione często z niemej materii. Podobnie działają te wszystkie ścinki montażowe, klapsy, odgłosy wyzwalanej migawki i inne filmowe „brudy”, dzięki którym historyczna prawda zostaje wzbogacona o poziom meta. I jednocześnie opatrzona drobnymi pytajnikami: kto stoi za kamerą, jaki ma w tym cel i jaką prawdę skrywa przed nim ten drugi człowiek, obecny po przeciwnej stronie obiektywu. ©

Lektor: *Uwiedzenie*



▪ *Eric Karpeles*
PRAWIE NIC. JÓZEF CZAPSKI. BIOGRAFIA MALARZA
przeł. Marek Fedyszak, Noir sur Blanc, Warszawa 2025, ss. 544.

Zwykle nie odnotowuję tu wznowień, chyba że chodzi o nowy przekład literatury obcojęzycznej. Jednak pięknie wydana książka Karpelesa i jej historia są tak niezwykłe, że warto złamać zasadę, zwłaszcza że nakład sprzed sześciu lat został wyczerpany.

„Moje pierwsze spotkanie z Józefem Czapskim było całkiem niespodziewane. Jeszcze poprzedniego dnia nic o nim nie słyszałem. Następnego dnia całkowicie mną zawładnął”. Jak to się stało? Amerykański malarz i pisarz, szukający materiałów do pracy o malarstwie u Prousta, otrzymał od znajomego z Paryża niewielką francuską książkę. Był to zapis odczytów o Prouście, które Czapski wygłaszał – nie mając oczywiście egzemplarza „W poszukiwaniu straconego czasu” – do kolegów-oficerów, współwięźniów sowieckiego obozu jenieckiego w Griazowcu. Polscy oficerowie, Proust, a w tle – co dziś wiemy – Katyń.

Tę fascynującą lekturę potraktował Karpeles jako wyzwanie ze strony nieżyjącego już autora, jak i on – malarza. Zaczęła się długa przygoda i niemal detektywistyczne tropienie śladów nieznanego mu wcześniej Polaka. Poznawanie ludzi, którym był bliski – jak Richard Overstreet, Amerykanin związany kiedyś z Leonor Fini i Konstantym Jeleńskim, mieszkający w ich paryskim mieszkaniu, jak Wojciech Karpiński. Pierwsze spotkania z obrazami Czapskiego. Podróże do Polski. No i praca biografa-archiwisty.

Powstał doskonały portret człowieka i artysty, a równocześnie zapis stopniowego odkrywania nieznanego świata, epoki wyłaniającej się jak zatopiony kontynent. Nad książką o Czapskim pracuje teraz Andrzej Franaszek, biograf Miłosza i Herberta, o malarstwie autora „Na nieludzkiej ziemi” pisała Joanna Pollakówna, nie mieliśmy dotąd jednak takiej syntezy.

Zresztą książki samego Czapskiego, wyklętego w kraju jako emigrant i kronikarz zbrodni katyńskiej, zaczęły do nas wracać dopiero w latach 80. Pierwszy był w 1983 r. tom szkiców „Patrząc”; wzruszony Czapski pisał Pollakównej, że podobno kosztuje już pół kilo niedostępnej wtedy na rynku kawy. W 1986 r. pierwsza od lat wystawa w kraju, w warszawskim Muzeum Archidiecezjalnym; podczas wernisażu z przywiezionej z Paryża kasety odtworzono przesłanie artysty.

A dziś? Książek Czapskiego cała półka, w tym odczytane z rękopisu dzienniki wojenne. Kolejne wystawy. Pawilon Czapskiego w Krakowie. No i Karpeles. Czytajmy go, bo warto! ©℗

Kolory tajemnic, przestrzenie skupienia

Wydawałoby się, że różnią się wszystkim: techniką, materiałami, tematyką czy przeznaczeniem. A jednak arrasy i abakany w intrygujący sposób wchodzą ze sobą w dialog.

WAWELSKIE DEBIUTY

Pomysł zestawienia fragmentu kolekcji flandryjskich tapiserii z kontrastującymi gobelinami i pracami Magdaleny Abakanowicz wydawał się prowokujący i inspirujący. Abakany stanowią rozbudowane kompozycje przestrzenne. To właściwie rodzaj rzeźb, które dzięki barwie i fakturze materiału oddziałują nie tylko na zmysły wzroku i dotyku, ale także na emocje.

Towarzyszące abakanom na wystawie arrasy, wykonane w brukselskich warsztatach (jeden z nielicznych zachowanych elementów wyposażenia wawelskiego zamku z czasów jagiellońskich), do dziś świadczą o splendorze dworu ostatniego Jagiellona. Zdobiono nimi ściany, a podczas „wawelskiego debiutu", czyli ślubu Zygmunta Augusta z Katarzyną Habsburżanką w 1553 roku, budziły powszechny zachwyt gości.

Choć funkcja renesansowych tapiserii była całkowicie odmienna od dzieł Abakanowicz, to – podobnie jak wielkoformatowe abakany – także arrasy skupiały w sobie esencję światopoglądu: wizję świata oraz refleksję nad ludzką kondycją. Jedne i drugie oferują komentarz do rzeczywistości, w której powstały.

TKANINA JUTRA

W drugiej połowie XX w. polska tkanina artystyczna zaczęła zajmować ważne miejsce w europejskiej sztuce, a polscy artyści tkacze należeli do czołówki światowej awangardy. Charakterystyczne połączenie roli projektanta i wykonawcy sprzyjało doskonaleniu warsztatu: eksperymentowaniu z różnorodnymi formami wypowiedzi artystycznej, a przede wszystkim badaniu granic medium. Przyczyniło się to do nobilitacji tkaniny artystycznej i podniesienia jej do rangi sztuki czystej, a więc takiej, która przestała być podporządkowana celom czysto utylitarnym. W tym procesie niezwykle istotna była właśnie twórczość Magdaleny Abakanowicz.

Artystka, odcinając się od tradycji, tworzyła „tkaniny jutra", odrzucając użytkowy charakter gobelinu. „Od czasów Zygmunta Augusta, który sprowadził arrasy, do niedawna w tej dziedzinie mieliśmy niewiele do powiedzenia. Obecnie można powiedzieć, że przeżywamy rozkwit" – mówiła, przyrównując swoje dzieła do królewskich tkanin.

W czasach, gdy jej sztuka dojrzewała, arrasy wracały właśnie po wojennej tułaczce do kraju. Ich obecność w polskiej świadomości mogła stać się dla artystki punktem odniesienia, impulsem do podjęcia dialogu między dawnym a współczesnym rozumieniem tkaniny. To właśnie ten dialog stanowił punkt wyjścia dla nas – kuratorów wystawy.

NOWE ŻYCIE

Zaproponowaliśmy spotkanie tradycji z nowoczesnością, w którym arrasy, pełne symboliki i podporządkowane estetyce dworskiej, zestawione zostają z organicznymi, monumentalnymi, trójwymiarowymi abakanami, ukazując ewolucję podejścia do materii, formy i funkcji tkaniny. Jesteśmy świadkami podróży: od dekoracji podporządkowanej architekturze po autonomiczną rzeźbę czy instalację.

Co istotne, ekspozycja skupia się na trzech etapach twórczości Abakanowicz: wychodząc od płaskich, jeszcze tradycyjnych tkanin, prowadzi przez formy bardziej przestrzenne, aż po monumentalne dzieła, które „schodzą ze ścian" i zaczynają żyć własnym rytmem.

Wczesne prace, jak „Anita" (1965) czy „Dorota III" (1965), ujawniają rodzącą się potrzebę trójwymiarowości. Choć na płaskiej powierzchni, sploty zdają się już uciekać z płaszczyzny, a nieregularność faktury ożywia tkankę dzieła. W zestawieniu z bogactwem wawelskich wnętrz stają się one odbiciem organicznej natury – żyjącej, poruszającej się wraz z powietrzem, oddychającej. Abakany zdają się „żywymi organizmami", zapraszającymi do intymnego doświadczenia, pobudzają pracę pamięci i emocje.

Na ekspozycji znalazły się też czarne tkaniny z lat 70. – „Black Garment 8" (1977), „Abakan Ètroit" (1970) czy „Abakan with Ropes" (1970). Zawieszone pomiędzy oknami, w kontraście do pełnych barw werdiur o krajobrazowo-zwierzęcej tematyce, tworzą wizję kosmicznej przestrzeni. Dla artystki czerń była nie barwą żałoby, lecz tajemnicy. „Czarne tkaniny są abstrakcyjne, stanowią fragmentaryczny absolut, który wypełnia i otacza salę" – pisała. To przestrzeń ciszy i skupienia, w której człowiek staje się częścią wszechświata, zanurzony w jego nieskończoności.

Kulminacją wystawy są wielkoformatowe abakany – „Red-Brown" (1969), „Lady" (ok. 1970-1980) czy „Orange with Black" (ok. 1970-1980). Wysokie na kilka metrów, miękkie i jednocześnie monumentalne, tworzą wokół widza swoisty kokon. „Tworzyły monumenty i przestrzenie rzeczywiste, magiczne wnętrza otwarte na penetrację" – wspominała Abakanowicz. Te organiczne formy, o barwach ziemi i ognia, przypominają żywioły: ziemię, ogień, powietrze.

FAKTURA I TEMPERATURA

Sztuka Abakanowicz jest jednocześnie potężna i delikatna. Opowiada o przemocy i bezpieczeństwie, potrzebie schronienia. „We wszystkim, co tworzę, to, co trwa i jest potrzebą stałą, to poszukiwanie i ujawnianie tajemnic, także tych tkwiących w strukturze będącej fenomenem łączącym wszystko, co organiczne na naszej planecie" – przyznawała artystka. Jej tkaniny są zapisem duchowego doświadczenia, próbą uchwycenia tego, co niewidzialne, wyobrażone, intuicyjnie odczuwalne.

Tworząc, artystka sięgała po nietypowe materiały – jutę, sizal, końskie włosie, sznurki. „Nie lubię ani zasad, ani instrukcji – tych wrogów wyobraźni. Korzystam z techniki tkania, przystosowując ją do własnych idei" – mówiła. Każdy abakan był dla niej eksperymentem, nowym początkiem. Odrzucała powtarzalność, traktując ją jako zaprzeczenie twórczego poznania, co widoczne jest także w dziełach prezentowanych na wawelskiej ekspozycji.

Szczególne znaczenie w jej sztuce miał dotyk – zarówno w procesie tworzenia, jak i w odbiorze dzieła. „Dotykam i dowiaduję się o temperaturze... Jaka jest naprawdę? Nie dotknąwszy,

MATERIAŁ PROMOCYJNY







JEREMI DOBRZAŃSKI / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU x5

nie wiem" – pisała. Dla Abakanowicz dotykanie było sposobem poznania świata, jego faktury i prawdy. Artystka potrafiła wytworzyć iluzję zmysłowego doświadczenia – wyobrażeniowego dotyku, który uruchamia pamięć i emocje.

KSZTAŁT PUSTKI

I choć w muzeum bezpośredni kontakt z tkaniną jest niemożliwy, wyciszona Sala Senatorska staje się przestrzenią *sacrum*, miejscem kontemplacji i spotkania ze sztuką współczesną. W tej ciemnej przestrzeni, wśród pulsujących tkanin pochodzących z dwóch różnych światów, odbiorca staje się częścią opowieści. Nić, która łączy przeszłość z teraźniejszością, prowadzi ku poznaniu samego siebie. Miękkie, drgające formy dominują nad otoczeniem, ale zarazem otulają widza, pozwalając mu się w nich „schować". Artystka pragnęła, by odbiorca uczestniczył w dziele – „by wszedł w porowatość tkanego materiału tak głęboko, by mógł się w nim niemal schować".

Abakanowicz traktowała wystawy jak samodzielne dzieła sztuki. Z niezwykłą precyzją aranżowała przestrzeń, dbając o światło i proporcje. „Odbieram przestrzeń sal wystawowych jako pustkę o nadanym kształcie. Wbudowuję w nią różne obiekty, aby osiągnąć jak najwyższy poziom napięć" – opowiadała. Na Wawelu napięcie to osiągnięto poprzez wprowadzenie abakanów w istniejącą już przestrzeń ekspozycyjną i muzealną, tworząc dialog między dawnym i nowym, królewskim i współczesnym, dekoracyjnym i surowym. ©

DR BOGUMIŁA WIŚNIEWSKA,
NATALIA KOZIARA-OCHĘDUSZKO,
ANDRZEJ SZCZEPANIAK
– kuratorzy wystawy „Abakanowicz. Bez reguł. Arrasy i abakany na Wawelu", otwartej do 6 stycznia 2026 r.

Wystawa we współpracy z Galerią Starmach i Fundacją Marty Magdaleny Abakanowicz Kosmowskiej i Jana Kosmowskiego.

Partnerzy

Mecenas Główny Zamku Królewskiego na Wawelu
Mecenas Edukacji i Partner Strategiczny Zamku Królewskiego na Wawelu
Partner Strategiczny Zamku Królewskiego na Wawelu
Mecenas Zamku Królewskiego na Wawelu

Patroni Medialni

PAWEŁ

Bravo:
Winne mity



Trzy i pół stopnia odchylenia osi ciała od pionu. Oto najnowsze antidotum na antysemityzm. Nic dotąd nie skutkowało, trzeba próbować. W przyszłym roku magistrat wiedeński ma wcielić w życie projekt – zgłoszony kilkanaście lat temu – przeróbki pomnika legendarnego burmistrza Karla Luegera. Rządził na przełomie stuleci i pod jego pieczą miasto dokonało znacznego skoku cywilizacyjnego. Zarówno w obszarze bazy – wodociągi i ścieki, prąd i gaz – jak i nadbudowy, czyli instytucji dających wsparcie mieszkańcom. Paradoksalnie, późniejszy „czerwony Wiedeń" z jego np. budownictwem socjalnym, budzącym naszą zazdrość, bazował na tym, co Lueger zostawił następcom. Paradoksalnie, bo był onże, wedle dzisiejszych standardów, skrajnie prawicowy i wedle każdych standardów jadowicie antysemicki. Nie on jeden, ale z racji popularności w jednej z metropolii tamtej epoki stoi wysoko na półce patronów koszmaru, jaki wkrótce się rozpętał.

W latach 20. Lueger dostał od miasta prestiżowy plac i solidny pomnik. Włodarze mają od dawna kłopot, jak zachować wdzięczność dla odnowiciela Wiednia, a jednocześnie zaznaczyć, że się go należy wstydzić. Usunięcie pomnika mogłoby zostać uznane za akt wybielania historii. Dotychczas o wstyd dbali spontanicznie mieszkańcy, którzy regularnie oblewali podobiznę Luegera farbą. Teraz pomnik ma zostać odczyszczony i przechylony o 3,5 stopnia – tak, żeby tą dziwną pozycją „zakłócał przestrzeń publiczną". Autor pomysłu wyjaśniał, że chodzi o przełamanie monumentalności w sposób, który podrażni oko przechodnia i zasygnalizuje, że ten pan na cokole wielkim burmistrzem był, ale nie wszystko jest z nim w porządku.

Sam chyba zacznę stawać krzywo. Najpierw na przystanku, czekając na tramwaj, w ramach ćwiczenia. Nie dlatego, bym podejrzewał się o antysemityzm lub inną nienawiść do ludzkich grup etnicznych czy religijnych, nazwaną jakimś równie paskudnym słowem, ale lepiej w dzisiejszych czasach nie ufać bezgranicznie w swoją dobroć – wystarczy, że dookoła dużo niegdyś przytomnych bliźnich potraciło zdolność czytania innych przekazów niż te nasmarowane grubymi literami na ścianach (tych z cegły lub tych z fejsbuka) i emanuje totalną pewnością. Już nie wiadomo, do której ławki wypada się dosiąść, czy w ogóle można się jeszcze wpasować w jakąś zbiorowość. Może lepiej przestać szukać ideowego dopasowania i poprzestać na tym, żeby nam się wieczór zharmonizował z poprzedzającym go porankiem, i by po następnej nocy człek znów się obudził w tej samej postaci.



AVIRID / ADOBE STOCK

W kwestii tego, jak zadbać o spokojną harmonię codzienności, dostaliśmy w tych dniach dwie cenne pomoce – książki, całkiem różne, a obie jednako potrzebne. Jak dobrać wino do jedzenia – to problem będący wysoko na liście obśmiewanych snobizmów, skojarzony często słusznie z komicznymi wygibasami słownymi. Lekceważymy więc sprawę, niesłusznie, bo nawet wina będące w zasięgu klasy średniej i takaż kuchnia mogą tworzyć razem duety o potencjale przyjemności większym niż tylko suma poszczególnych części. Tomasz Prange-Barczyński w książce „Nóż w pinocie" dał przede wszystkim to, co powinien zawierać poradnik: nieco ogólnych wskazówek, przytomnie obalających pewne głupie mity (czerwone do mięsa? no właśnie niekoniecznie), oraz długą listę par, przemyślnie uporządkowaną nie tylko według składników dań, ale też technik przyrządzania, dodatków i sosów, które często przecież czynią fundamentalną różnicę.

Dużo jest przykładów kuchni polskiej, bo częściej jadamy schabowego (riesling!) niż ostrygi. Autor jest nie tylko wybitnym znawcą win, ale też człowiekiem poczciwie bliskim prostym przyjemnościom życia, co mogę zaświadczyć z długiej znajomości. Dlatego w drugiej połowie książki odwraca perspektywę: otóż zajmuje się tym, jak dopasować jedzenie do wina. Czyż nie jest tak, że często zaczynamy planowanie przyjemnego wieczoru od tego, że nachodzi nas ochota na konkretną butelkę z półki lub lodówki (na którą was namówiłem, gdyście mnie odwiedzili w barze)?



„Dlaczego potrawy do wina, a nie odwrotnie? Ponieważ wina są elementem duchowości, czymś wyższym rangą, a jedzenie elementem cielesności” – podobnego odwrócenia dokonuje Béla Hamvas, węgierski erudyta, eseista, konsekwentnie uciszany za życia przez komunę, potem z trudem odzyskany, wreszcie od niedawna wydawany także w Polsce. Jego „Filozofia wina” (właśnie wyszło wznowienie z poprawkami dawniejszego przekładu) ma niepraktyczne, prorocze i poetyckie nastawienie. Ale poezja nigdy się nie dezaktualizuje. A tę Hamvas tworzy najwyższej próby, na leciutkim rauszu, ale w ścisłych ramach umiaru i powagi, jakiej domaga się płynna esencja naszej kultury. „Właściwie nie ma wina uniwersalnego, które mogłoby być pite przez całą ludzkość z okazji jakiegoś naprawdę wielkiego święta, na przykład dnia światowego pokoju. Spośród węgierskich win proponowałbym na taką okazję jedynie wino z Somló. Paradoksalnie jest to też wino samotników. Bo dziś pokój na całym świecie jest tylko marzeniem samotników”.

To zdanie Hamvas napisał w roku 1945, akurat kiedy pokój wszystkim dookoła wydawał się czymś nareszcie osiągalnym. Czyż to nie dowód, jak bardzo wino wyostrza wzrok i rozum?

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Krem jabłkowo-selerowy ze śledziem

„Jajka nieczęsto występują jako osobne danie, chyba że mówimy o śniadaniu. To wprawdzie posiłek, któremu rzadko towarzyszy wino, jeśli jednak nadarza się specjalna okazja, wystarczy sięgnąć po wytrawny szampan lub inne wino musujące, które poradzi sobie z oleistością i lepkością żółtka na miękko oraz lekko siarkowym posmakiem jajek na twardo” – oto dowód, że Tomasz Prange-Barczyński dobrze rozumie zakres potrzeb nadwiślańskiego sybaryty. Jeśli zaś chodzi o dziwne połączenia, to ostatnio próbowałem odczarować zestaw seler-jabłko, który mnie prześladował od przedszkola w postaci sałatki waldorfskiej. I wyszła z tego lekka, przyjemna zupa.

SKŁADNIKI:
400 g selera 2 duże dość kwaśne jabłka 1 szalotka
100 g wędzonego śledzia w płatach ▪ mak ▪ masło ▪ oliwa

Obieramy jabłka, skórki wrzucamy do 0,5 l wody i gotujemy z nich wywar na wolniutkim ogniu przez pół godziny, z zielem angielskim. Siekamy drobno szalotkę, dusimy na łyżce masła przez kilka minut. Dodajemy selera pokrojonego w kostkę, solimy, dodajemy mak, dusimy, regularnie mieszając przez kilka minut. Dodajemy pokrojone w kostkę jabłka, podsmażamy wszystko jeszcze przez chwilę, podlewamy octem, zalewamy bulionem ze skórek, gotujemy około kwadransa pod przykryciem, aż seler zmięknie. Miksujemy, dolewamy ewentualnie wody, gdyby krem wyszedł za gęsty, podajemy z odrobiną dobrej surowej oliwy i paroma paseczkami śledzia, którego wcześniej porządnie wymoczyliśmy.
Do sałatki waldorfskiej Tomasz poleca rieslinga lub viogniera, obecność śledzia komplikuje sprawę. Obiecuję wam, że go spytam i wszystkim ciekawym doniosę. ©℗



DENIS / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

MISJA MIESZKANIE

JOANNA JURGA, PROJEKTANTKA:

Architektura sprawdza się najlepiej, gdy jest osadzona w kontekście. W Polsce warto odwoływać się przy urządzaniu wnętrz do zieleni iglastych lasów i beżu piasku bałtyckich plaż.

BEATA CHOMĄTOWSKA: Idealny hotel?

JOANNA JURGA: Taki, w którym jest cicho i gdzie są grube zasłony na oknach, ale można je odsłonić i wyspać się przy świeżym powietrzu.

Cisza to luksus?

Częściowo odpowiada za to okulocentryzm – przestrzeń i przedmioty wokół nas projektowane są głównie z nastawieniem na walory estetyczne. Dominują bodźce nastawione na wzrok, z pominięciem innych zmysłów. Ma być przyjemnie dla oka.

To źle?

Pomijając często koszmarną jakość tej estetyki, zwłaszcza w przestrzeniach publicznych, dyktatura wzroku w erze technologii, gdzie oko godzinami jest przyklejone do ekranu, odciąga nas od pozostałych zmysłów, równie istotnych dla odbioru rzeczywistości: dotyku, słuchu czy węchu.

Słuch, który działa bez naszej woli nawet we śnie, jest ważniejszy dla przetrwania gatunku niż wzrok, bo odpowiada za możliwości komunikacji. Tak pokierowała ewolucja, kierując się m.in. względami bezpieczeństwa. Zakres wzroku jest ograniczony do pola widzenia, które rozciąga się na wprost, a fale dźwiękowe rozchodzą się w przestrzeni. Głowa za nimi podąża. Cały czas rejestrujemy wszystkie dźwięki. Część oddziałuje na nas negatywnie: tylko ze względu na wyjątkową zdolność gatunku do adaptacji mózg ignoruje odgłosy, do których przywyka.

Tymczasem dźwiękowe otoczenie wpływa na wszystkie sfery życia: hałas przekłada się na wahania nastroju, bezsenność, depresję, problemy hormonalne, prowadzi do rozwoju chorób krążenia czy schorzeń neurodegeneracyjnych.



W pokoju hotelowym standardem jest telewizor, ale już nie wyciszenie, możliwość wyspania się w ciemności, bez klimatyzacji. To zbyt kosztowne?

Problem dotyczy też innych miejsc publicznych, np. szpitali czy szkół. Notorycznie nie przestrzegamy i nie egzekwujemy norm związanych z hałasem w środowisku zabudowanym. Architekci dopiero się tego uczą. Niewielu współpracuje z akustykami, chyba że przy projektowaniu teatrów albo sal koncertowych.

Pierwszy projekt dotyczący hałasu w przestrzeni miejskiej w Polsce zrealizowano na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej raptem dwa lata temu. Tymczasem większość z nas przebywa w miejscach, gdzie jest zbyt głośno. Nawet jeśli są atrakcyjne wizualnie, nie wspierają nas sensorycznie. Oczywiście ma to też związek z kosztami, bo jeśli na czymś najłatwiej zaoszczędzić, to na parametrach akustycznych, których nie widać. Zwykle rozstrzyga się to na etapie wykańczania, który architekci definiują w żartach jako sytuację, w której i projektant, i klient oraz jego konto są wykończeni. Do hotelu ludzie i tak przyjadą.

Jesteś architektką wnętrz, ale sposób, w jaki mówisz i piszesz o projektowaniu, bliższy jest neuronauce.

W ostatnich latach faktycznie bliżej mi do medycyny czy psychologii niż *stricte* do architektury, choć to, czym się zaj-



DEREKTEO / SHUTTERSTOCK

Szpital Khoo Teckt Puat w Singapurze

muję, właśnie jej dotyczy – a to dlatego, że w tamtych sferach jest o wiele większe zainteresowanie terapeutycznym wykorzystaniem przestrzeni. Dziesięć lat temu postanowiłam zbadać to zagadnienie w ramach doktoratu. Miałam już spore doświadczenie w urządzaniu wnętrz. Dało mi poczucie, że muszą istnieć jakieś parametry fizyczne czy biologiczne, powodujące, że ludzie czują się w danym miejscu dobrze. Musiałam to tylko zweryfikować.

I tak trafiłaś w kosmos, jednocześnie pozostając na Ziemi.

Odkryłam istnienie Mobilnej Stacji Badawczej Lunares, która służy do testowania rozwiązań technologicznych, badań naukowych i zachowań załogi w ramach symulowanych misji kosmicznych. Na drugim roku dostałam się tam na pierwszą misję, co okazało się jedną z najciekawszych przygód w moim życiu.

Co tam robiłaś?

Misja była symulacją życia na Księżycu. Przeprowadziłam w jej trakcie eksperyment, który miał stworzyć poczucie bezpieczeństwa w izolacji za pomocą jogi, ćwiczeń oddechowych, aromaterapii czy operowania sztucznym światłem tak, żeby naśladowało dzienne. Ważną częścią był audyt wzorniczy habitatu Lunares: sprawdzenie, jak ta przestrzeń wpływa na człowieka. Studiowałam funkcjonalność kuchni, przyjazność dormitorium, w którym spaliśmy, ergonomię biurek. Obserwowałam, których miejsc unikamy, a gdzie chętnie się zbieramy, jak każdy spędza czas wolny, gdzie są ulubione miejsca. Mierzyłam, robiłam notatki, obmyślając, jak uczynić tę niewielką przestrzeń funkcjonalną i przyjazną.

Jak się tam czułaś?

Ekstremalnie szczęśliwa. Ponad dwa tygodnie pełnej izolacji: szum wentylatorów, zadania do wykonania, funkcjonowanie według scenariusza. To idealne środowisko dla mnie, logiczne, dokładnie zaplanowane. Najchętniej wróciłabym tam jeszcze raz albo zamieszkała na biegunie.

Tam też już byłaś.

Przyglądałam się funkcjonowaniu polarników w bazach na obu biegunach, głównie w Stacji polarnej Hornsund na biegunie północnym. Takie ograniczone środowiska dobrze się bada, bo łatwo sprawdzić, jaki bodziec zmysłowy działa pozytywnie, a jaki negatywnie – jest bodziec i od razu reakcja.

A potem przyszła pandemia, czas koszmarny, ale dla mnie owocny. Badania w szpitalu uniwersyteckim San Raffaele w Mediolanie wykazały, że ponad połowa chorych na covid-19 zmagała się po wyzdrowieniu z depresją, stresem ↦

↦ pourazowym, lękiem albo bezsennością. Nie było to jednak bezpośrednim efektem choroby, ale przebiegu leczenia: przebywania w izolatkach bez kontaktu z bliskimi, ograniczonej swobody poruszania się, ale też cech szpitali, w których byli zamknięci.

Co można poprawić, żeby pomagały w zdrowieniu?

Bardzo wiele. Niech sala szpitalna będzie przyjemna dla oka, a użyte w niej materiały miłe w dotyku, bo zimne, puste ściany i nieustający kontakt ze sztucznym oświetleniem sprzyjają wzmożonemu odczuwaniu lęku. Nawet podczas znieczulania niepotrzebne jest pełne światło, które powoduje u pacjenta skok kortyzolu: górną lampę można zapalić, gdy już jest nieprzytomny. Niech korytarze będą dobrze oznakowane, by nie potęgowały od wejścia poczucia zagubienia.

Człowieka relaksuje zapach lasu, widok otwartych przestrzeni, przebywanie w naturze. Idealnym przykładem jest szpital Khoo Teckt Puat w Singapurze, z ogrodami na dachu, wodospadami i zielonymi ścianami, które tworzą terapeutyczne środowisko dla pacjentów i personelu. Szpital Bielański w Warszawie nie wypada pod tym względem najgorzej – jest usytuowany w parku. Pacjenci nie mogą co prawda wychodzić, ale widzą zieleń, a to już dużo.

W przypadku szpitali sprawa rozbija się zresztą nie tyle o samą architekturę, ile o potrzebę systemowych zmian, także w zakresie przepisów Sanepidu. Zyskają wszyscy, bo poprawa wyników leczenia i zwiększenie satysfakcji pracowników ochrony zdrowia przekładają się na ograniczenie kosztów.

Czym jest neuroarchitektura, którą praktykujesz i propagujesz?

Zajmowanie się architekturą terapeutyczną doprowadziło mnie do skupienia się w pierwszej kolejności na zmysłach. Interesowało mnie, jak działa ludzki mózg i jego oprzyrządowanie. Zaczęłam obserwować nasze naturalne parametry doświadczeń zmysłowych i to, co odbieramy od świata zewnętrznego: ile kolorów, bodźców, hałasu, zapachów. Zauważyłam, że często nijak ma się to do dobrostanu.

Pomogła mi w tym praktyka zen, którą zaczęłam w wieku 15 lat – kiedy siedzi się godzinami przed ścianą, to oprócz przyglądania się własnym myślom człowiek uczy się też sprawdzać, jak się aktualnie czuje, na czym siedzi, skąd wieje wiatr. Umiejętność obserwowania z boku emocji i myśli przeniosłam na praktykę projektową.

Przy okazji badań nad zmysłami zwróciłam też uwagę na to, jak osoby neuroatypowe mają przesunięte widełki na zmysłowej skali – wszystko działa na nie trochę inaczej, często dużo intensywniej. Gdybyśmy dostosowali normy do nich, wszyscy by zyskali. Jeśli zmniejszymy natężenie hałasu ze względu na autystów, wszyscy zaczną się lepiej wysypiać i będą mogli się skoncentrować, przez co poziom nerwowości w społeczeństwie spadnie wykładniczo. Łączę wiedzę o biologii człowieka z takimi rozwiązaniami architektonicznymi, które wspierają potrzeby naszych organizmów.

Jak to wygląda w praktyce?

Klienci, z którymi współpracuję, muszą być gotowi na to, że przyjdę zobaczyć, gdzie trzymają kubek do kawy, gdzie suszą pranie i czytają książki oraz czy czytają w łóżku. Zadam im dużo trudnych i dziwnych pytań.

Wiele decyzji dotyczących wyglądu wnętrza podejmowanych jest pod wpływem wzorców, które nijak mają się do przyzwyczajeń przyszłych użytkowników. Pamiętam wielkie mieszkanie na Powiślu, należące do dobrze sytuowanej pary, która nie gotowała, ale miała wizję 40-metrowej kuchni wyposażonej w najdroższy sprzęt. Kiedy spytałam, po co im to, usłyszałam: bo musi być kuchnia. Zaproponowałam, że może ograniczymy ją do takiej powierzchni, na której coś odgrzeją – ostatecznie udało się ściąć ten metraż o połowę.

Możliwe, że trafiają do mnie osoby, z którymi można się dogadać. Ale w ostatnich czasach wielokrotnie słyszałam, że przestrzeń ma być „instagramowa" i dobrze się kadrować w kwadracie. To nie jest zadanie dla mnie. Marmur w sypialni też jest raczej kiepskim pomysłem... Ale oczywiście: realny wygląd rzeczy ma też znaczenie dla tego, jak się czujemy. Inaczej doświadcza się dotykiem lub dźwiękiem drewnianej podłogi, inaczej laminatu. W Polsce nie sprawdzą się ostre kolory, jak karmin czy kobalt. Na równiku, gdzie słońce pada pod kątem 90 stopni przez cały rok, wyglądają ciekawie i intensywnie. U nas zimą zyskają siny odcień.

A co wygląda dobrze w polskich wnętrzach?

Architektura sprawdza się najlepiej, gdy jest osadzona w kontekście. Wybierając barwy, faktury i materiały, warto czerpać z lokalnej gamy i materiałów. Np. w Polsce – z zieleni iglastych lasów, szarego beżu piasku bałtyckich plaż czy stalowego błękitu nieba. Jeśli dociepli się takie wnętrze drewnem, które jest naturalnym izolatorem, doda naturalne, wełniane dywany i lniane tkaniny, zyskamy przestrzeń, która sprawia wrażenie bezpiecznej, jest przytulna i jasna.

Dobrze pojechać w miejsce, w którym czujemy się dobrze – na ulubioną łąkę, do lasu, nad rzekę czy morze – zrobić zdjęcia i wyciągnąć z nich gamę kolorystyczną opartą na półtonach. Polecam też klientom: zanim zdecydujecie się na zakup mieszkania, wynajmijcie coś w okolicy na dwa tygodnie. Dowiecie się, czy jest tam hałas, jak daleko do przystanku, czy jest biblioteka, kawiarnia, warzywniak i gdzie wyjść z psem. Porozmawiajcie z sąsiadami. Jeśli nawet przeprowadzka przesunie się z tego powodu o pół roku, jest to niewielki koszt w perspektywie 10-15 lat, bo dziś już rzadko kiedy mieszkanie jest na całe życie.

Oprócz dobrych miejsc do życia, stworzyłaś też projekt związany ze śmiercią.

Nazywał się NURN – Design For Death. To było w 2014 r. Jeszcze podczas studiów na wzornictwie przemysłowym zaprojektowałam biodegradowalną, pływającą urnę do pochówku na morzu, która zgarnęła wiele nagród. Obmyśliłam technologię, wykorzystując lukę w polskim prawie pogrzebowym, które nie pozwala na rozsypywanie prochów, ale dopuszcza pochówek na morzu w odległości trzech mil morskich od brzegu – takie prawo istnieje w większości krajów europejskich od średniowiecza, bo dotyczyło marynarzy.

Opatentowałam ten wynalazek, powstała z niego firma, razem ze wspólniczką Martyną Ochojską znalazłyśmy inwestora. Zaczęłyśmy tworzyć też inne urny. Idea była taka, że będą powstawać lokalnie, z naturalnych materiałów i że będzie je

produkować spółdzielnia zatrudniająca osoby z niepełnosprawnościami.

Urny były nietoksyczne, można było malować na nich podczas ostatniego pożegnania – odbyła się nawet wzruszająca ceremonia w Niderlandach, gdzie dzieci żegnały w taki sposób mamę. W sumie pochówków było kilkanaście, ale pomysł zbankrutował – dziś traktuję go jak gigantyczną lekcję biznesową.

Co się nie udało?

Popełniłam typowy błąd młodego projektanta, czyli stworzyłam grupę badawczą ze znajomych, a nie ludzi, którzy przygotowywali się na śmierć. Znajomym się podobał, ale w Polsce nie było jeszcze miejsca na zajmowanie się umieraniem, zmieniła to dopiero pandemia. Poza tym branża pogrzebowa to u nas biznes o trochę mafijnej specyfice.

A skąd w ogóle u Ciebie takie zainteresowania: z jednej strony nauki biologiczne, z drugiej architektura, projektowanie?

Wychowywała mnie babcia. Kiedy nie mogłam spać, mówiła, żebym urządzała miejsca, w których byłam. Najpierw urządzałam więc w głowie przedszkole, potem podstawówkę, pokój lekarski w szpitalu – bo jestem z lekarskiej rodziny.

Od początku wahałam się: czy zostać neurochirurgiem, jak ojciec, czy może robić coś związanego ze sztuką. W końcu na złość rodzicom pojechałam do Singapuru na studia w zakresie sztuk pięknych, ze specjalnością malarstwo nowoczesne, choć wciąż jeszcze rozważałam medycynę. Potem za radą ówczesnego chłopaka poszłam na ostatni nabór do Polsko-Japońskiej Szkoły Technik Komputerowych na świeżo otwarty kierunek: architektura wnętrz. Już na pierwszym roku zaczęłam pracować jako projektantka.

Twoje realizacje szybko zaczęły się pojawiać na zdjęciach w magazynach wnętrzarskich. Trafiały tam też Twoje mieszkania. Mówisz, że przeprowadzałaś się 16 razy.

Dzięki temu mam pewność, co mi służy, i wiem, że każdy jest pod tym względem inny. Ja mogę mieć dość ciemne mieszkanie, bo nie jestem zależna od słońca, budzę się zawsze między 5 a 6 rano. Ale bezwzględnie musi być w nim cicho. Mogę też mieć wszystkie meble z second handu albo znalezione na śmietnikach, ale za to uwielbiam stare budynki i materiały, które oddychają, drewniane podłogi i drewniane, stare okna.

Jednostronne, super szczelne mieszkanie – to nie dla mnie, wolę przebywać w chłodzie. Nie musi też być duże. Teraz z mężem, psem, a w weekendy również z dziećmi żyjemy na 40 metrach w starej kamienicy w warszawskim Śródmieściu. Mieszkanie przypomina trochę katedrę, bo ma 3,5 metra wysokości. Mąż, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy, śmiał się, że jestem ośmiornicą – stoję czasem pośrodku mieszkania na drabinie i sięgam wszędzie.



ALEKSANDRA ZABOROWSKA / MATERIAŁ PRASOWY

DR JOANNA JURGA jest projektantką przestrzeni, innowatorką, wykładowczynią, specjalistką od neuroarchitektury. Prowadzi badania nad ludzkimi zmysłami i poczuciem bezpieczeństwa. Wydała „Szałas na hałas. O tworzeniu poczucia bezpieczeństwa za pomocą zmysłów w domu, przestrzeni i Kosmosie" (2022) oraz „Hotel Ziemia. Żyć i mieszkać dobrze" (2025).

Nie jesteś więc przeciwniczką mikrokawalerek?

Jestem za tym, żeby można było adaptować na mieszkania wszystkie pomieszczenia, które nadają się do życia, np. stare sklepiki w parterach kamienic. Potrzebujemy tańszych, łatwiej dostępnych mieszkań w miastach, by zastopować rozlewanie się ich na kiepsko skomunikowane przedmieścia z zabudową łanową.

Znam osoby, które świetnie czują się na 16 metrach, ale niech to będzie mieszkanie z wentylacją, łazienką i toaletą w osobnym pomieszczeniu, osobną kuchnią czy aneksem kuchennym, spełniające wszystkie normy sanitarne, a do tego z regulowanym przez miasto długoterminowym czynszem. I niech to będzie świadoma decyzja o wyborze do życia miejsca, które jest *de facto* lokalem usługowym.

Dziś to często kredyt za wejście w dorosłość, z rurami biegnącymi po ścianie, wykończone najtańszymi płytami wiórowymi, które zaraz spuchną od wilgoci. Zgodnie z przepisami mieszkanie nie może mieć mniej niż 25 m kw., więc tego typu mikrokawalerki nie mają prawa istnieć.

A otoczenie mieszkania? Uważasz, że to znacznie ważniejsze, bo w środku można zawsze wiele zmienić.

Spędzamy zbyt dużo czasu we wnętrzach. Potrzebujemy ruchu w sprzyjającym, najlepiej zielonym otoczeniu. Dlatego coraz trudniej żyje mi się w dużym polskim mieście. Cenię sobie dostępność, lubię chodzić. Przeszkadza mi hałas i lęk przed przyrodą, skutkujący wycinkami starych drzew. Idealnym miejscem wydaje mi się Norwegia, a ze względów zawodowo-logistycznych takie miasto jak Bergen: 250 tys. mieszkańców, dużo drewnianej architektury, z każdej strony morze. Właśnie w Norwegii, podczas prawdziwej zimy, napisałam sporą część nowej książki.

Czym jest hotel Ziemia, który znalazł się w jej tytule?

To nasza planeta, piękne i darmowe miejsce, z którego nie potrafimy mądrze korzystać. Dlatego w pierwszej części książki wychodzę nie tylko od ludzkiej perspektywy zmysłowego postrzegania, ale pokazuję nasz *Umwelt*, czyli subiektywny świat postrzegania i działania, w jakim funkcjonuje dany organizm, na tle innych. Dalej przyglądam się domom od środka i z zewnątrz, w tym różnym formułom miast, sporo miejsca poświęcając neuroarchitekturze, ale też wspólnotowości. Widzę w niej ostoję autentyczności i szansę na uratowanie naszego gatunku. Mam dość kapitałocentrycznego oglądu świata, w którym każdy jest panem swojego losu i sam ma sobie poradzić. To bzdura, z którą daleko nie zajedziemy.

© Rozmawiała BEATA CHOMĄTOWSKA

TOMASZ

Stawiszyński: *Pochwała ambiwalencji*



Żyjemy, jak wiadomo, w późnej fazie kultury narcyzmu, a to znaczy m.in., że różne aspekty naszego życia zbiorowego i indywidualnego działają wedle schematów charakterystycznych dla tej właśnie psychologicznej struktury. Jednym z nich jest dynamika idealizacja-dewaluacja – w stosunku do siebie, innych i świata.

Podmiot o narcystycznej proweniencji najczęściej widzi rzeczywistość w czerni i bieli. Otaczający go ludzie są albo straszni, źli i wstrętni, albo na odwrót, cudowni, mili, kochani i najlepsi. Przy czym cechy te są przechodnie, a zbiory płynne. Ktoś, kto jeszcze wczoraj był uosobieniem cnót, może stać się znienacka wcieleniem wszystkiego, co najgorsze, a największy wróg przekształcić się naraz w najbliższego przyjaciela albo kochanka, po to tylko, żeby za jakiś czas znowu zmienić status. Słowem: brak przestrzeni na niuanse, a co najważniejsze – na ambiwalencję, słowo klucz w psychoanalitycznej tradycji, która ma wielkie zasługi, jeśli chodzi o opis narcystycznych specyficzności.

Wypisz-wymaluj polityka, nieprawdaż? W politycznych i światopoglądowych sporach, które zawzięcie toczymy, mechanizm idealizacji-dewaluacji działa na najwyższych obrotach, nie ma żadnej złożoności, istnieją tylko ludzie dobrzy (my) i źli (oni), ludzie cudowni (my) i wstrętni (oni). Prowadzi to oczywiście do nieuchronnych paradoksów i kolizji z realiami, które, jak na złość, nie chcą odzwierciedlać tej binarnej matrycy i nieustannie prowokują trudności oraz paradoksy.

Skoro bowiem polityczny oponent jest wyłącznie zły i głupi, należy automatycznie deprecjonować każde jego słowo i gest. Co jednak w chwili, kiedy ma rację? Otóż w takim przypadku jedno z dwojga: albo trzeba iść w zaparte i twierdzić z pełnym przekonaniem, że białe jest czarne, albo też, mimo wszystko, w końcu się z nim zgodzić. No ale tak postąpić nie sposób, bo to wszak zdrada i zaprzaństwo, zazwyczaj więc brnie się w zaprzeczenie, co oczywiście działa tylko doraźnie, w pewnym momencie nieuchronnie zadziała zasada rzeczywistości, od jej bolesnych interwencji nie ma odwołań i uników.

Mnóstwo takich sytuacji znajdziemy w polskiej polityce, ale na międzynarodowej arenie wydarza się właśnie coś o znacznie poważniejszym gabarycie. Mówię, rzecz jasna, o Donaldzie Trumpie i jego niekwestionowanej roli w doprowadzeniu do zawieszenia broni – a może pokoju – w Gazie. Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy Trumpa nie lubili, niezależnie od tego, jakiego byśmy w nim nie widzieli zagrożenia dla demokracji, wolności badań naukowych i elementarnej racjonalności życia publicznego – nie sposób odmówić mu jednego. Faktycznie zatrzymał tę hekatombę, tę przerażającą masakrę, która działa się na oczach całego świata.

Czy to będzie pokój trwały? Czy i do jakiego stopnia poprawi się sytuacja ludzi, którzy żyją w Gazie? Czy doprowadzi to do rozliczenia gabinetu Beniamina Netanjahu za dokonane tam zbrodnie? Czy w tej sytuacji w ogóle możliwe jest jakieś „przywrócenie sprawiedliwości" albo „zadośćuczynienie"? Nie wiemy tego i zapewne przez długi czas nie będziemy wiedzieć. Niewątpliwie jednak historia tego rozejmu, który zaowocował zaprzestaniem bombardowań i zabijania ludności cywilnej oraz uwolnieniem izraelskich zakładników porwanych przez terrorystów z Hamasu, rzuca wyzwanie wielu naszym standardowym przekonaniom oraz nawykom poznawczym i emocjonalnym. Pokazuje, że – co za niespodzianka – także ludzie, których mamy za wyłącznie złych, nieobliczalnych, groźnych lub też pozbawionych intelektualnych dyspozycji do zajmowania się polityką, potrafią czynić dobro, nie są więc tak naprawdę karykaturami rodem z naszych spolaryzowanych głów. Cóż, rzeczywistość jest po prostu znacznie bardziej różnorodna niż czarno-białe klisze, którymi ją gorliwie oklejamy.

Niby to wiadomo, niby to banał, niemniej za każdym razem, kiedy coś takiego się okazuje, jest to dla wielu zaskakujące. Owszem, warto by było wreszcie skorzystać z okazji i raz na zawsze porzucić epistemologiczne prostactwo. Ale oczywiście znacznie łatwiejsza aniżeli zniuansowanie wizerunku Trumpa (i świata w ogóle) będzie teraz jego idealizacja lub dewaluacja. Nie ma nic prostszego, niż natychmiast obwołać go wielkim mężem stanu, godnym pokojowego Nobla (nawiasem, jeśliby doprowadził do trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie, niechże tego Nobla bierze), albo też całkowicie zlekceważyć wszelkie jego sensowne i pożyteczne działania. Psychoanaliza jednak sugeruje, że dojrzałość psychiczną osiąga się wraz ze zdolnością do tolerowania ambiwalencji. Oprócz wielu innych odmian tolerancji, z których sporo udało nam się już wypracować, przydałaby się jeszcze ta.

Osiągnąwszy ją, moglibyśmy się nagle znaleźć w świecie, w którym rozwiązania najbardziej palących problemów są bliżej, niż się wydawało, podziały układają się zupełnie inaczej, niż w to zapalczywie wierzyliśmy, a ludzie znowu nas zaskakują, zamiast odgrywać tylko rozdane role białych lub czarnych charakterów. Dokładnie tak, jak zaskoczył nas Trump, który zapisze się być może w historii nie tylko jako groteskowo zakochany w sobie polityczny performer, lecz także jako ktoś, kto dokonał czegoś z pozoru niemożliwego i ocalił życia dziesiątek tysięcy ludzi.

Nieprawdopodobne połączenie? Ależ skąd, nie ma w nim nic osobliwego. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

Albatros travel



4,6
5

Oslo, Bergen i norweskie fiordy

Udaj się do najpiękniejszych miejsc w kraju wikingów. Zobacz majestatyczne fiordy, góry rzeźbione lodowcem i wodospadami oraz klimatyczne miasteczka Norwegii.

Podróż do Norwegii to przygoda pełna fiordów, gór i klimatycznych portowych miasteczek. Z Oslo pojedziemy przez Hamar i Lillehammer do parku narodowego Rondane, potem Drogą Trolli do Geiranger nad słynnym fiordem. Odwiedzimy Bergen z kolorową dzielnicą Brygen, popłyniemy z Gudvangen do Flåm podziwiając wodospady i malownicze osady, zatrzymamy się w Geilo, a podróż zakończymy w Oslo, ciesząc się norweską przyrodą i kulturą.

4 kolacje w cenie

6 dni
Wyloty z Warszawy
24/06, 10/07, 16/07
12/08, 18/08 2026

od **5.998,-**





4,8
5

2 posiłki dziennie

Rejs wzdłuż wybrzeża Chorwacji

Popłyń w niezapomniany rejs po najpiękniejszych chorwackich wyspach, zobacz Split i Dubrownik oraz wykąp się w krystalicznie czystych wodach Adriatyku.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Splitu. Rejs na wyspę Hvar. **Dz. 2** Rejs z Hvaru do miasta Trstenik. Przystanek na kąpiel. **Dz. 3** Rejs do Dubrownika i zwiedzanie Starego Miasta, wpisanego na listę UNESCO. **Dz. 4** Przystanek na kąpiel przy wyspach Elafickich. Park Narodowy Mljet. **Dz. 5** Mljet – Korcula. **Dz. 6** Korcula – Brac. Pucisca – urokliwe portowe miasteczko. **Dz. 7** Brac – Split. Spacer po mieście i Pałac Dioklecjana. **Dz. 8** Split. Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 17/06, 29/07, 26/08 2026 | **8.498,-**



4,8
5

New York, New York

Pełna przygód podróż do jednego z najbardziej fascynujących i tętniących życiem miast na świecie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot do Nowego Jorku, USA. **Dz. 2** Nowy Jork, Brooklyn Heights, Wall Street, Ground Zero i Most Brooklyński. **Dz. 3** Nowy Jork, Uptown z Upper West Side, Muzeum Historii Naturalnej, Central Park i Muzeum Guggenheima. **Dz. 4** Nowy Jork, Downtown z Flatiron Building, Greenwich Village, SoHo, Little Italy (Małe Włochy) i Chinatown (Dzielnica Chińska). **Dz. 5** Nowy Jork, Midtown z Empire State Building, Rockefeller Center, Fifth Avenue i rejs do Statuy Wolności i Ellis Island. **Dz. 6** Nowy Jork. Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 7** Przylot do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 26/04, 30/04, 09/07, 30/07, 03/09, 15/10, 10/12 2026 | **od 8.998,-**

REKLAMA

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP02**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opeike polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

REKLAMA

Kraków

Kraków
miasto sportowych emocji 2025

Zarząd Infrastruktury Sportowej w Krakowie

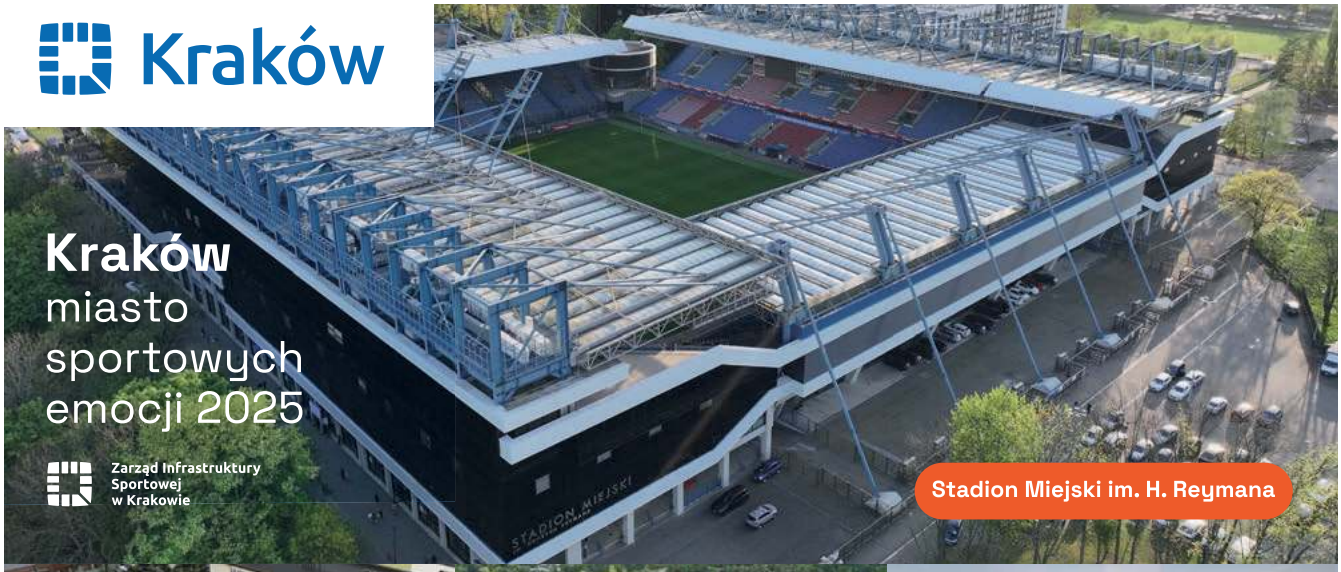

Stadion Miejski im. H. Reymana


Hala widowiskowo-sportowa przy XXX Liceum Ogólnokształcącym


Zakrzówek

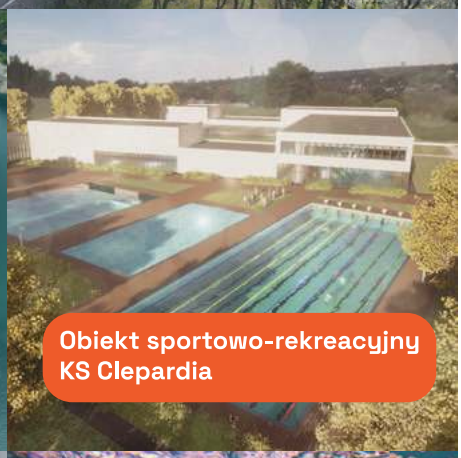
Obiekt sportowo-rekreacyjny KS Clepardia



22. TAURON Cracovia Maraton

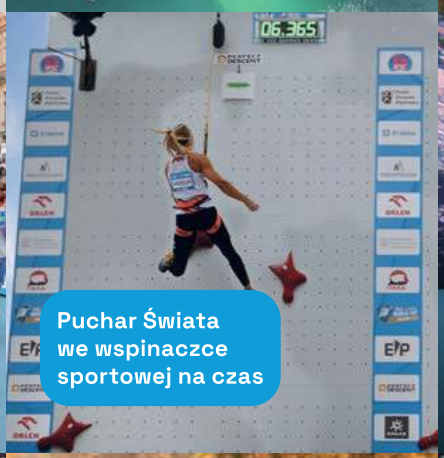

Puchar Świata we wspinaczce sportowej na czas

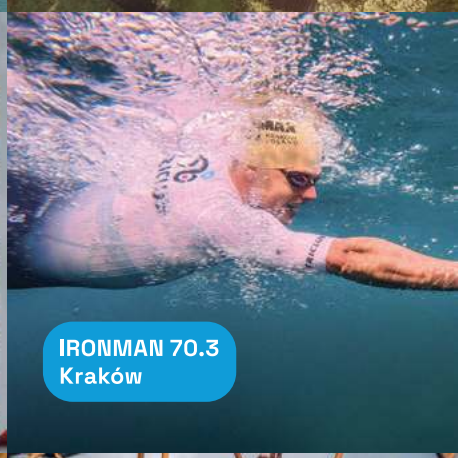
IRONMAN 70.3 Kraków



22. Memoriał H.J. Wagnera


11. PKO Cracovia Półmaraton Królewski


Mistrzostwa Europy Ninja